

PISMO
WYDZIAŁU FILOLOGICZNEGO
UNIwersYTETU W BIAŁYMSTOKU



NUMER 1/2013

Redaktor prowadzący: dr Krzysztof Korotkich

Redaktor numeru: Ewa Gorlewska

Zastępca redaktora numeru: Małgorzata Wojtowicz

Rada Redakcyjna:

Marcin Bajko (UwB), Magdalena Bajko (UwB), Jolanta Doschek (Wiedeń), Ewa Gorlewska (UwB), Monika Jurkowska (UwB), Zbigniew Kaźmierczak (UwB), Krzysztof Korotkich (UwB), Halina Krukowska (UwB), Jan Leończuk (KP), Tomasz Modelski (LP), Bogusław Nowowiejski (UwB), Joanna Pietrzak-Thébault (UKSW), Krzysztof Puławski (UwB), Urszula Sokólska (UwB), Włodzimierz Szturc (UJ), Małgorzata Wojtowicz (UwB)

Zespół Redakcyjny:

Redaktorzy działu PRÓBA NAUKI...: Ewa Gorlewska, Małgorzata Wojtowicz

Redaktor działu TRANSLATORIUM: Ewa Gorlewska

Redaktorzy działu STREFA DIALOGU: Monika Janiszta, Monika Jurkowska

Redaktorzy działu OTWIERAMY SZUFLADY (NIE TYLKO SWOJE): Katarzyna Wojno (poezja), Marta Tarasiuk (proza)

Redaktorzy działu KĄTEM OKA: Anna Kropiewnicka, Adriana Dziegielewska

Redaktorzy działu KTÓŻ TO WIDZIAŁ?: Natalia Filinowicz, Izabela Markowska

Redaktorzy działu STUDENCI PO GODZINACH: Anna Bajguz, Agnieszka Kochańska

Redaktor działu ZŁOTE USTA: Piotr Białomyzy

Współpraca / Autorzy tekstów: prof. Halina Krukowska, prof. Zbigniew Kaźmierczak, prof. Włodzimierz Szturc, dr Ryszard Gaj, dr Anna Nosek, dr Joanna Pietrzak-Thébault, mgr Magdalena Bajko, mgr Marcin Bajko, mgr Krzysztof Puławski, Marta Bartoszewicz, Piotr Białomyzy, Anna Brańska, Kamila Cieśluk, Monika Danielak, Kinga Duszak, Ewa Gorlewska, Jan K. Gosiewski, Izabela Grzegorzewska, Natalia Guziejko, Monika Janiszta, Monika Jurkowska, Karolina Klejbuk, Karol Kopańko, Tomasz Kowalczuk, Marta Kozieradzka, Barbara Medajska, Wojciech Muszyński, Jakub Olszewski, Piotr Karol Suszczyński, Marta Tarasiuk, Urszula Trochimowicz, Katarzyna Wojno, Małgorzata Wojtowicz, Dorota Worona, Julita Zbiegień

Korekta: Magdalena Bajko, członkowie redakcji

Opracowanie graficzne: Krzysztof Korotkich i Tomasz Modelski
we współpracy z Anną Kropiewnicką, Izabelą Markowską, Piotrem Białomyzym

Skład: Krzysztof Korotkich we współpracy z Izabelą Markowską

Wydawca: Studenckie Koło Naukowe Klub Humanistów, Instytut Filologii Polskiej,
Plac Uniwersytecki 1, 15-420 Białystok
<http://ifp.uwb.edu.pl>



Copyright © Klub Humanistów UwB/autorzy tekstów

Numer dofinansowany przez Książnicę Podlaską im. Łukasza Górnickiego
oraz Parlament Studentów UwB

ISSN – 2300-4983

druk: Prymat w Białymstoku



SPIS TREŚCI

1. PRÓBY CZAS ZACZAĆ

- Powitanie

* Od Redakcji, *Kilka słów na początek* 5

* Krzysztof Korotkich, *Próby słowa* 7

- słowo od Władz Wydziału:

* Prodziekan dr Agata Rozumko, *Słowo dziekana* 8

2. PRÓBA NAUKI...

- studia, polemiki, interpretacje:

* Włodzimierz Szturc, *Fenomenologia maski* 9

* Ryszard Gaj, *O źródłach Mantaigne'owskiego mitu dobrego dzikusy* 17

* Marcin Bajko, *Płacz towiańczyków. Słowacki – Goszczyński* 21

* Anna Nosek, *Dziecko w sztuce Stanisława Wyspiańskiego* 35

* Magdalena Bajko, *Śmierć to nie dziura... – Wspomnienie o ks. Twardowskim* 42

* Ewa Gorlewska, *Słowo zerwane z łańcucha* 50

* Magdalena Bajko, *Żywot mugola poczwiego, czyli... dulszczyzna po angielsku* 57

- felietony i eseje:

* Piotr Białomyzy, *Literatura poza literaturą* 62

* Małgorzata Wojtowicz, *Kilka uwag o edukacji patriotycznej
we współczesnej szkole* 65

* Jakub Olszewski, *Maska* 67

3. TRANSLATORIUM

* Joanna Pietrzak-Thébault, *Skrzydlaty amor* 69

* Krzysztof Puławski, *O czym naprawdę czytamy, kiedy wydaje nam się,
że czytamy to, co czytamy?* 76

* Piotr Białomyzy, *Ugryź się w język... Cudzy* 84

4. STREFA DIALOGU

- wywiady:

* Wywiad z Prof. Józefem Bachórzem 85

* Wywiad z Rektorem UwB Prof. Leonardem Etelem 88

* Wywiad z Prof. Tadeuszem Bujnickim 94

* Wywiad z Janem Kamińskim 96

* Wywiad z Prof. Marianem Śliwińskim 98

* Wywiad z Prof. Jarosławem Ławskim 99

- rozmowy:

* Wojtowicz M., *Na straży historii – praca archiwisty* 102

5. OTWIERAMY SZUFLADY (NIE TYLKO SVOJE)

- poezja i proza naszych studentów

* Katarzyna Wojno, wiersze **104**

* Izabela Grzegorzewska, wiersze **111**

* Julita Zbiegień, wiersze **112**

* *Haiku i limeryki* **115**

- prace laureatów Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego i Czesława Miłosza (I i II edycji):

* Kamila Cieśluk, *Piękna* **118**

* Kinga Duszak, *Nowy świat* **125**

* Jan Gosiewski, *Wybudowali pomnik* **126**

* Karolina Klejbuk, *Spacer z Miłoszem* **128**

* Karol Kopańko, *Bardo* **130**

* Karol Kopańko, *Ecce homo* **135**

* Tomasz Kowalczyk, *Sproszkowane słowa* **144**

* Barbara Madejska, *Komunikat Miłosza* **145**

* Piotr Karol Suszczyński, *Miłoszowi – proroctwo, które się spełni* **146**

6. KĄTEM OKA

* Urszula Trochimowicz, *Transformejszyn* **147**

* Monika Danielak, *Przyjazne dusze* **148**

7. STUDENCI PO GODZINACH

* Koło Naukowe Polonistów **150**

* Regionalni **151**

8. ZŁOTE USTA

* Zbigniew Kaźmierczak, *Iluzorium* **152**

9. ROK JULIANA TUWIMA W BIAŁYMSTOKU 154

KILKA SŁÓW NA POCZĄTEK...

Jako wydawcy niniejszej publikacji pragniemy na wstępie przedstawić się i zaprezentować naszą inicjatywę. Jesteśmy studenckim kołem naukowym, działającym na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku. Założycielem i opiekunem naukowym Klubu jest dr Krzysztof Korotkich. Początki naszej działalności sięgają roku akademickiego 2010/2011. Grupa studentów, w większości z III roku, postanowiła założyć koło naukowe Klub Humanistów, które znalazło przytulny kąt w Zakładzie Badań Interdyscyplinarnych i Porównawczych Wschód-Zachód. I chociaż dopiero w 2011 zostaliśmy oficjalnie powołani do istnienia, nie przeszkadzało to nam w pracach. W Instytucie Filologii Polskiej bowiem pozwolono nam nie tylko się zatrzymać, ale również włączono w wir pracy (przede wszystkim przy organizacji konferencji naukowych oraz spotkań autorskich, czy też zachęcono do organizowania konkursów literackich).

Od początku i z założenia jesteśmy kołem interdyscyplinarnym, zrzeszającym humanistów, poczynając oczywiście od filologów, przez kulturoznawców, historyków, filozofów, aż do humanistów z Politechniki Białostockiej – nawiązaliśmy bowiem współpracę z

Kołem Humanistycznym z tej uczelni!

Przez około dwa i pół roku zorganizowaliśmy szereg imprez. Wśród najważniejszych warto wymienić nasz wkład w przygotowanie i przeprowadzenie pięciu Międzynarodowych Konferencji Naukowych (wśród których, aby wymienić tylko te ostatnie, warto wspomnieć zeszłoroczne: *Międzynarodową Konferencję Naukową Żydzi Wschodniej Polski Kultura – Tradycja – Piśmiennictwo* – 19 czerwca 2012 r., *Międzynarodową Konferencję Naukową Sybir Wylesiedlenia – Losy – Świadczenia* – 4-6 września 2012, czy też *Międzynarodową Konferencję Naukową Józef Ignacy Kraszewski. Pisarz – Myślicie – Autorytet* – 14-16.11.2012). Ponadto przygotowaliśmy liczne spotkania z przedstawicielami kultury i literatury. Czasami, jak w przypadku spotkania z Ignacym Karpowiczem czy Joanną Szerszunowicz połączone były one z warsztatami literackimi dla młodzieży licealnej i studentów. Czasami zaś były to filozoficzne dysputy (jak w przypadku zeszłorocznych również spotkań z drem Ryszardem Gajem i Prof. Zbigniewem Kaźmierczakiem, którzy to przedstawiali nam swoje doświadczenia związane z podróżami, czy to do Ameryki Łacińskiej,

czy też do Indii). Szybko ześmy tych spotkań nie mogli zakończyć, jak przystało na prawdziwe spotkania z filozofią... Ostatnim naszym spotkaniem była grudniowa rozmowa z Janem Kamińskim o jego „Książce meldunkowej”.

Dodatkowo jednym z naszych celów jest docieranie do licealistów i to nie tylko tych z naszego miasta. Pomagają nam w tym spotkania warsztatowe (np. wspólne tworzenia dadaistycznych tekstów – kwiecień 2011, limeryków – marzec 2012, czy haiku – maj 2012) oraz konkursy, wspomniany już Literacki im. Stefana Żeromskiego i Czesława Miłosza, którego trzecią edycję już w tym roku przeprowadzamy oraz wiedzy o literaturze, przeprowadzane w mniejszych grupach (np. w lutym 2012, kiedy gościliśmy licealistów z II LO w Suwałkach). Spotykamy się też czasami na rozmowach (w październiku 2012 poruszyliśmy, na przykład temat ściągania z uczniami III LO w Białymstoku). W tym roku planujemy udać się do miast i miasteczek Podlasia, aby przeprowadzić warsztaty prozatorskie (reportażu lub eseju).

Oprócz działań własnych, podejmujemy się też przedsięwzięć wydziałowych (jak na przykład podczas zeszłorocznych Dni Wydziału), ogólnouczelnianych (nasz udział w I Forum Kół i Organizacji Studenckich UwB w grudniu 2012 roku) czy też miejskich (udział w Festiwalach Nauki – maj

2012 i Sztuki i Kultury Żydowskiej „Zachor” – czerwiec 2012).

Niniejsza publikacja to nasz kolejny pomysł. Mamy nadzieję, że „Próby. Nieregularnik Filologiczny” stanie się czasopismem całego Wydziału, a także swoistym pomostem pomiędzy wykładowcami, studentami i licealistami. Chcielibyśmy, by zapoczątkowana w pierwszym numerze periodyku tradycja przetrwała i pozostała tutaj nawet wtedy, kiedy opuścimy już tak gościnne dla nas progi Uniwersytetu. Wszystko po to, byśmy wracając pamięcią do tych pięknych, studenckich lat, mogli też wracać do kolejnych numerów pisma, którego stajemy się inicjatorami. Niniejszy numer poświęcony on jest „Obliczom słowa”, bo jakże wiele ich jest? Właściwie, zamiarem tego pierwszego numeru było zebranie różnorodnych tekstów, przekonanie się o własnej literackiej płodności, przewyciężenie własnych obaw przed wypowiedzeniem słowa... Niech ten pierwszy numer naszego pisma otworzy nasze usta i pozwoli na podjęcie próby pisania, która choć trudna to często jakże niezwykle owocna i satysfakcjonująca. Niech stanowi furtkę do kolejnych numerów „Prób”.

Redakcja

KRYSZTOF KOROTKICH

PRÓBY SŁOWA

Próbować trzeba! Aby poznać własne możliwości, zmierzyć się z wyzwaniem, jakie stawia czas, wreszcie by poznać innych, w niekończących się próbach dialogu, dyskursu, w debatach i w rozmowach. Jakoś całkiem oczywistym okazał się od początku tytuł periodyku powołanego do istnienia z potrzeby studentów i wykładowców filologów, a to z powodu 480 rocznicy urodzin Michela de Montaigne'a (1533–1592), autora najwyższej próby *Prób* intelektualnych, a to z racji minionej niedawno bez większego rozgłosu 130 rocznicy śmierci Autora pięknego wiersza *Próby* – Cypriana K. Norwida:

Błogosławione pieśni malinowe,
Błogosławione pieśni kalinowe;
Błogosławione otchłanne niebiosy,
Obłoki, wiatrem gnane jako stada,
I kołysane wiatrem ciężkie kłosa –
– Duch się w harmonię męką nie układa:
By w pieśni stanąć, dość stanąć pod progiem;
Odetchnąć dosyć, by odetchnąć Bogiem!

Błogosławiona jest gorycz wiośniania,
Wśród pękających drzew rozpowietrzana,
Drzew, co od ziemi jak kolumny rosną,
Gdy w niebie miękkich gałęzi obręcze
Podobne mają do harf strojnych wiosną
I psalmem: „Święty!” – tak że patrząc, klęczę.

Śmiało można przywołać cały szereg innych ważnych „prób” filozoficznych czy literackich, będących świadectwem walki duchowej, zmagania rozumu oraz wysiłku wynikającego z poszukiwania odpowiednich słów, co doskonale uczynił Jerzy Liebelt (*Próby*):

Gnuśne i harde.
Nieokrzeseane
Jest twoje czoło,
Gdy się ku górze
Jak berło wznosi
Rządzące tobą.

W Sejmowym Roku Juliana Tuwima, obchodzonym również na Uniwersytecie w Białymstoku (Ogólnopolska Konferencja Naukowa *Julian Tuwim. Tradycja – recepcja – perspektywy badawcze*, 18 czerwca 2013, pod Honorowym Patronatem Pani Ewy Tuwim-Woźniak) próby poetyckie okazują się szczególnie celne, czuwa nad nimi bowiem Mistrz słowa, wieszcz poezji tak lekkiej, jak głębokiej, kierujący swe rymy z równą odwagą i do dzieci, i do dorosłych. Korzystając z przykładów poetyckiej odwagi, uwolnionej przez Tuwima, chcieliśmy zainicjować takie pismo, które będzie miejscem spotkania doświadczonych już badaczy, uczonych, nauczycieli akademickich z pokoleniem studentów, ale również z tymi całkiem młodymi, pełnymi pomysłów – uczniami szkół średnich. Spotkanie jest niezbędne, aby to, co nazywamy istotą humanizmu, mogło nie tylko przetrwać, ale się rozwijać, rozkwitać, zmieniać się we wspaniałe owoce nauki i sztuki. Słowo w niniejszym numerze traktowane jest jako materia, narzędzie, cel i misja działania. Niektóre teksty wydobywają sens jego tajemnicy bardziej bezpośrednio, inne studia wskazują na subtelność i nieuchwytność – jakże ważny aspekt słowa. Jesteśmy dumni, że już w pierwszych „Próbach” swoje słowo zechcieli opublikować znani jego badacze: historyk literatury i dramaturg – Prof. Włodzimierz Szturc (UJ), italianistka, edytorka i kulturoznawczyni – Dr Joanna Pietrzak-Thébault (UKSW) filozofowie: Prof. Zbigniew Kaźmierczak i Dr Ryszard Gaj oraz wspaniały tłumacz – Mgr Krzysztof Puławski (UwB). Zapraszamy gorąco do współpracy wszystkich zakochanych w literaturze, w słowie, w myśli i w pięknie.

Krzysztof Korotkich

AGATA ROZUMKO

SŁOWO DZIEKANA

Jestem przekonana, że czasopismo „Próby” okaże się sukcesem na Wydziale Filologicznym UwB. Istotą pracy filologa są, jak powszechnie wiadomo, studia nad językiem oraz tworzona w nim literatura i kultura. Badaczowi literatury tytuł *Próby* przywoździ w pierwszym rzędzie na myśl eseje szesnastowiecznego myśliciela Michela de Montaigne’a. Kolejnym skojarzeniem są zapewne próby literackie podejmowane przez innych – mniej lub bardziej utalentowanych – twórców, także filologów, bo fascynacja tekstem i słowem nie ogranicza się zazwyczaj do badań dzieł uznanych autorów, ale skłania też do twórczości własnej.

Język to nie tylko zbiór form i znaczeń, to również klucz do kultury i mentalności ludzkiej, którego zgłębianie może być pełne fascynujących odkryć. To także kontakty językowe, kulturowe i interkulturowe. Zagadnienia współczesnej filologii różnią się nieco od tematów nurtujących filologów dawniej – zmieniają się formy językowe i konteksty funkcjonowania języka, zmienia się warsztat filologa. Odmienne bywają też problemy filologii polskiej i filologii obcych, które większy nacisk kładą na translatoologię i komunikację interkulturową. Ich cele i istota badań są jednak podobne. Tworzące nasz Wydział filologie: polska, angielska, francuska, rosyjska i białoruska, a także kierunki mieszane: angielski z hiszpańskim, francuski z hiszpańskim, rosyjski z angielskim dostarczają z pewnością wielu tematów do twórczej dyskusji.

W książce *Zawód z pasją* (2005)

Paweł Hebda i Jerzy Madejski wymieniają cechy, które ich zdaniem powinien mieć dobry tłumacz, a moim – także dobry filolog. Są to: wyobraźnia, dokładność i precyzja w wyrażaniu się oraz myśleniu, większa niż przeciętna wrażliwość na słowo, umiejętność łatwej komunikacji z innymi, kultura bycia, wiedza językowa i wiedza obejmująca kulturę, literaturę, obyczaje obszaru językowego, w którym się porusza. Przyda się także refleks i umiejętność koncentracji w trudnych warunkach pracy. Wszystkich tych cech życzę Zespołowi tworzącemu „Próby”, a Czytelnikom pisma – inspirującej lektury.



dr Agata Rozumko, Prodzianka Wydziału Filologicznego ds. Nauki – jest anglistką, językoznawcą. Studia magisterskie i doktoranckie odbyła w Instytucie Filologii Angielskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. W swoich badaniach naukowych zajmuje się angielsko-polskim językoznawstwem kontrastywnym, koncentrując się na elementach gramatyki i leksyki obu języków mających uwarunkowania kulturowe. Interesuje się także historią języka angielskiego i paremiologią.



WŁODZIMIERZ SZTURC

FENOMENOLOGIA MASKI JAKO *INNEGO BLIŻNIEGO*

Z dotychczasowych przemyśleń, związanych nie tylko z maską różnych narodów Afryki, ale i Oceanii czy Ameryki, wyłonił się wniosek, że maska jest przede wszystkim mapą twarzy i że jest ona konkretyzowana przez prawa *mimetyczne* czyli takie, które ustalają związki przyległości pomiędzy naturą, mitem albo treścią sennych wizji. Maska odwołuje jej twórcę do określonej wspólnoty ludzkich doznań i spostrzeżeń, jest więc *bliska* człowiekowi, który jej używa i temu, kto ją widzi, a zarazem jest *inna* od niego, bo nie jest z nim tożsama¹. Jak mapa jest obrazem układu elementów świata albo zjawisk zachodzących realnie lub przewidywanych, przekazanych w zmniejszeniu lub przeciwnie – wyolbrzymionych cech lub kardynalnych punktów, którymi rządzi topograficznie ułożona sieć umownych znaków, tak maska zawiera znaki podstawowo-

¹ Używam terminologii Edmunda Husserla w ujęciu Bernharda Waldensfelda, *Topografia obcego*, przeł. Janusz Sidorek, Warszawa 2002.

we dla wspólnego doznania przestrzeni realnych znaczeń dostępnych wyobraźni, pamięci i wiedzy o świecie.

Tym, co nadaje sens masce jako mapie twarzy, są przede wszystkim oczy; inaczej byłaby tarczą. Nawet jeśli są to oczy namalowane lub przyklepione, jak często w przypadku *masek koszowych*, to i tak w konstrukcyjnym centrum świata maski jest oko, dwoje oczu, a bywa też, że troje, jeśli pojawia się atawistyczne oko duszy na środku czoła.

W przypadku mapy-twarzy antropologia kulturowa odwołuje się do kilku ikonicznych dokumentów. Pierwszym z nich jest najstarsza mapa świata (czyli „twarz” świata) wykonana w glinianej tabliczce z pierwszego zasiedlenia Dwurzecza (około 3 800 p.n.e). Przedstawiona tam północna Mezopotamia z Eufratem i symetrycznymi pasmami górskimi, zamknięta w owalu opasanym wstęgą wód była jeszcze w VI w. p.n.e. podstawową formą przedstawienia *imago mundi*. Mapy starożytnego świata w centrum miały oko (lub oczy) świata: Babilon, Jerozolimę, Mekkę w czasach arabskich, albo, w przypadku map kopalni, *złoty skarb*, jak ten na planach podziemi w Nubii sporządzony dla Ramzesa II w XIII w. p.n.e. Złoto Egiptu (*Słońce – oko Ra*) było centralnym punktem mapy świata kopalni, zaś jej powierzchnia odpowiadała rzeźbie ludzkiej twarzy.

Oczy maski, oczy człowieka zakładającego maskę, sprawiają, że jest ona *innym, choć tak samo podobnym, bliźnim*, owym „drugim”, który przenika przez „trzeciego”. Dlatego maski oglądane w muzeach, w separacji od naturalnego środowiska i żywej przestrzeni, sprawiają wrażenie uśpionych płaskorzeźb, pograżonych w wiecznym trwaniu swego nieruchomego czasu; są milczące i nieobecne – jak instrument, do którego nie zasiadł jeszcze muzyk, lub zawieszona na gwoździu kołatka. Dla fenomenologa to właśnie „wymarzony stan” rozpoczęcia trudu ożywienia tej uśpionej struktury, która ożyje, gdy uzyska wzrok, a zatem ruch, energię, koloryt i temperaturę.

Nie jest to rozważanie oderwane od wiedzy praktycznej. W wielu kulturach Afryki zachodniej, u Dogonów, Bambarów, Malinke i Minyanka maski przygotowane lub odłożone po rytuale „śpią” w jaskiniach, podziemiach lub w chronionej sferze lasu. Niektóre z nich, stare maski właśnie, w ciemności podziemia oczekują swej śmierci, chwili, kiedy po prostu rozsypią się w proch. Złożone w swej „sypialni” należą do męskiej społeczności, mają swego opiekuna, mogą być wyjęte i uczestniczyć w ceremonii pogrzebu, zakończenia prac na polach lub uzdrawiania. Dostęp do piwnicy masek mają dzieci (*N'domo* Bambarów) i tam poznają kolory stosowane do malowania masek, czasem znaczenie barw używanych do malowania, materiał, z którego są wykonane². Nie ma tu jakiegoś zakazu do-

² Zob. Germaine Dieterlen, *Masques. Societes traditionelles d'Afrique Occidentale*, w: *La Masque. Du rite au theatre. Reunis et presentes par Odette Aslain et Denis Bablet*, Paris 1985, s. 27-32.

stępu, tak jak nie zakazuje się dzieciom w ogóle penetrowania piwnic i zakamarków domostwa. O jaskiniach masek jeszcze będzie mowa.

Przywołane wcześniej różne rodzaje *mimesis* są oczywiście istotne ze względu na „przedmiot przedstawienia”. Trzeba jednak pamiętać, że jest on zaledwie jednym z kilku obszarów naśladownictwa, z jakimi związana jest maska. Drugim, wchodzącym w ścisłą relację z *przedmiotem naśladowania* jest *sposób naśladowania*, którego domeną jest wybór określonych cech indywidualnych i szczególnych związanych z charakterem przedstawienia, jego funkcją (odstraszania, przywabiania, leczenia, upominania). Ważna jest obserwacja świata natury i wynikająca z niej, a potrzebna w tworzeniu maski jest świadomość *mimikry*: wykonawca maski widzi, że bezbronne owady, na przykład muchówki, strojem naśladowują kształty i witrażowe cechy skrzydeł drapieżnych ós; że niegroźne węże wyglądają jak ich jadowici krewni; powszechna jest wiedza o metafazach kameleona, krewetki lub morskiej mątwy. Znana jest, mówiąc uczenie, *homomorfia* pąteczaków, niektórych motyli podobnych do liści, wodnych koników oraz nietoperzy. To wszystko świadczy o szczególnej zdolności upodobnia w świecie *mimesis*³. Uczestniczą w tym również zjawiska *mimikry homochromicznej* – zacierają się różnice między tłem a osobnikiem, gdyż zmienne barwy i kształty plam, cętek, pasów, żebrowań, smug, światła i cienia całkowicie upodobniają organizm do tła, na którym się znajduje.

Użycie takiej wiedzy o świecie przy wykonywaniu maski jest szczególnie istotne: organizuje ona się i kodyfikuje prawidła świata, z którego maska powstaje i który przedstawia, bo przecież należy do człowieka, który ją wykonuje, ale jest wspólnym dziełem ludzi i natury.

Zastosowanie tak ujętej kategorii *mimesis* pozwala orzec, że maska jest tym, kogo przedstawia, że reprezentuje jego osobowość, dzieje i mit twórcy, który pracuje wedle zapamiętanych wzorów i kieruje się techniką używaną przez przodków, ale pozostawia również swoje indywidualne piętno osobowości – tworzy przecież obiektywny i sakralny obraz siebie w swoim własnym świecie. To, co wydaje mi się szczególnie ważne w dzisiejszym świecie – to przywrócić artyście afrykańskiemu jego indywidualizm twórczy i dostrzec odrębność tak mnogich kultur i obrazów świata. Dzięki indywidualizmowi wykonania respektującemu wszakże prawa *mimesis* ujawnia się tabuistyczna sakralność i totemiczna (obronna) funkcja maski; zakrywa ona twarz człowieka przed wejrzeniem innych, innych – niepowołanych, źle życzących, ciekawskich. Nie chodzi tu zatem o zasłanianie twarzy maską, ale o to, że to właśnie ona przed innymi spojrze-

³ Zob. liczne studia Roggera Caillois, zwłaszcza *Le mythe et l'homme*, Paris 1938; oraz klasyczną rozprawę Louisa Murata *Les merveilles du monde animal*, Paris 1914. Na ten temat istnieje zresztą wielka bibliografia prac z dziedziny neurologii zwierząt, lecz nie taki punkt widzenia nas tu zajmuje.

niami osłania twarz używającego maski człowieka. Dopiero widowisko, taniec, śpiew, rytuał, zbudowanie wspólnoty obrzędowej może doprowadzić do wzajemnego przeniknięcia się światów, w którym to rytuale agregacji *obcy* stanie się *bliźnim*. Póki co – zasłaniamy twarz przed obcym wzrokiem, przed urokiem i zadanym wstydem oglądania *innego*.

Przypuszczam jednak, że nie można zgodzić się na zbyt łatwe uogólnienia pojawiające się wraz z powyższą hipotezą. Może powinniśmy dostrzec, że każdorazowe spotkanie z maską otwiera i niejako „zasadza” odmienny system kulturowy. Jednak wiążące jest spostrzeżenie, że niezależnie od pochodzenia maski, miejsca jej wykonania i celu, jakiemu jest poświęcona – odbija najpierw nasze utajone lęki i pragnienia, smutki i radości, by w ten sposób objawić się jako katalizator wspólnych popędów czy napędów, emocji i terapii tych emocji. Obcowanie z maską musi nastąpić po akcie wzajemnego odsłonięcia się przed sobą dwóch obcych istot: maski i patrzącego na nią *innego* człowieka.

Ale bywa i tak, że, bo to konieczne, osłonięciu ulega zdarzenie, tajemniczą spowita zostaje okoliczność ważna dla określonej grupy ludzi lub zasadniczy dla danej społeczności ryt. Dotyczy to zwłaszcza obrzędów inicjacji, rytów separacyjnych, przygotowujących do wejścia w *stadium liminalne (progowy)* rytuału⁴. Maską przedstawia wówczas osłonięte miejsce; jest nim dom albo szalas, w którego wnętrzu zawierają się te elementy wiedzy, które posiada szaman lub przewodnik inicjacji. Używam tu obrazu domu, mając na uwadze *maski koszowe* pochodzące z Kamerunu. Z jednej strony przedstawiają one architekturę znaną z okolic Jeziora Czad – osiedla budowane przez plemiona Musqu z kopulastymi domami z gliny a z drugiej – plecione ule pszczele, zwane u nas *kószkami*, będące przedmiotem agrarnego kultu w północnym Kamerunie. Ten typ ula ma pochodzenie europejskie, znali go Rzymianie (co widać już na kilku freskach z Pompei), ale na tereny środkowo-zachodniej Afryki mogli go przywieść w XVII i XVIII wieku Francuzi albo Portugalczycy, którzy takimi ulami posługiwali się swoich krajach, co zresztą nie wyklucza faktu, że konstrukcje uli koszowych wszędzie zapewne były podobne i ich kształt nie musi być wcale efektem zapośredniczeni kulturowego.

Maska koszowa z Kamerunu jest związana z inicjacją chłopów. To dom-ule, na którego wieńcu umieszczono dość geometrycznie przedstawione oczy oddające charakterem zarazem twarz i sylwetkę człowieka. Jest tu zarazem widoczna pewna „owadzia” *mimesis*, tak charakterystycz-

⁴ Używam pojęcia rytu przejścia w znaczenia nadanym przez Arnolda van Gennepa w pracy pod takim tytułem. Stanowisko van Gennepa oraz wyrastające z niego kategorie antropologiczne, między innymi u Gilberta Duranda, omawiam w artykułach zebranych w: Włodzimierz Szturec, Marek Dybizbański, *Mitoznawstwo porównawcze*, Kraków 2006, s. 227 – 246.

na dla sztuki Kamerunu (obok mimetyzmu płazów, jaszczurek i krewetek (słowo *kamerun* to nazwa rzeki *krewetek*).

W dorzeczu Nigru spotykamy również inną maskę inicjacyjną, której *mimesis* zawiera się w świecie architektonicznej, geometrycznej konstrukcji. Jest nią mozaika geometryczna odpowiadająca ornamentyce solarnej z maski z Burkina Faso z Mali.

Maska ta jest – jak gotycka rozeta – obrazem świata, obrazem regularnym, symetrycznym, o dwóch centralnych osiach: na linii krążkowych oczu i na linii pionowej – nosa i ust. Antropomorfizm maski jest umowny: twarz została obrysowana w ujęciu owalu zamkniętego w koncentryczne okręgi złożone z układów złotorudych trójkątów zazębionych w grafitowe triangle, stanowiąca okręgi podobne pasmom rybich łusek. To właśnie jest *ichtiomorficznym* ornamentem tej maski, której usta zresztą mają wyraźnie „rybie” cechy. Maską z Burkuna Faso jest zespołem żywiołów natury: element słoneczny scala tu znaki wodne (ryba, łuska, kręgi rozchodzące się wokół centrum) oraz znaki ziemne (barwy ochry i ugru, „nieomal dotykalna rzeźbiarskość i plastyczność przedstawienia). Unoszona w tańcu ku niebu – maska żyje w świecie powietrza, wychylona ku słońcu, którego, jako pana stworzenia, uosabia i odbija zarazem. Co więcej: tego rodzaju sznury trójkątów odpowiadającą ornamentyce banderoli bębnow używanych w widowiskach związanych ze zbiorem zbóż w okolicach Segou. Gdyby zastosować w tym miejscu interpretację postfreudowską, którą, niestety, dość często już się stosuje w odczytaniu masek⁵, to można by mówić nawet o inicjacyjnej masce seksualnej (ze względu na wykrój ust i związane z ich centralnym ułożeniem funkcje wejścia do wnętrza ziemi), ale takie podejście wydaje się mi zbyt odległe od rozumienia świata przez ludzi z dorzecza Nigru. Inaczej myśli się o inicjacji seksualnej nad Dunajem i Sekwaną, inaczej nad rzekami Afryki.

Jeśli przyjrzeć się zupełnie innej masce z Burkina Faso, *Puchaczowi*, widać i tu wyraźne podobieństwo w układzie dwu osi: *oczu* oraz *nosa i ust*. Choć kolorystyka, charakter (*ornitomorfia*) oraz strój maski i jej konstrukcja są odrębne niż w przypadku poprzedniej i co innego przekazują, to właśnie to symetryczne uporządkowanie, geometryzacja twarzy, „okrągowa” kompozycja oczu oraz ornament złożony z trójkątów wpisanych w banderolę (dodatkowo: we wnętrzu dzioba *Puchacza* mieszczą się trójkątne zęby) wskazują na pewną stałą dyspozycję tego plemienia do podporządkowania świata systemowi solarnemu, którego obrazem pełnym była właśnie wcześniej przywołana maska solarna.

Wśród masek o charakterze obronnym częste są mimetyczne przywołania ornamentu skóry węża, wzoru ujętego w zespół kratownic

⁵ Zob. Jean-Thierry Maertens, *Le Masque primitif et la sexualite*, w: *Le Masque*, dz. cyt., s. 33-40; a także: Peter M. Weil, *The masked figure and social control*, „Africa” 41, 1971, s. 279-283.

spływających po rzeźbie nosa maski N'Tomo (Bambara, Mali). Maska służy ochronie młodych chłopców przed agresją ze strony złych mocy. Ornament węzowy, pojawiający się na linii nosa oraz przeniesiony na opaskę z czoła, współorganizuje swoiste „imperium węża” wraz z wystającymi ponad część górną czaszki wyprężonymi ogonami, w których wydrążono otwory przekształcając je w puszczalki. Maską zamiast oczu ma zaciemnione oczodoły – tym bardziej staje się groźna i nieprzewidywalna spojrzeń. Pewności stanowiska w obronie tajemnicy strzegą zamknięte usta maski oraz utrzymywanie jej kolorystyki w tonacji kory drzewa tak, że może łatwo ukryć się – by pozostać nie dostrzeżoną – w gęstwinie drzew lub w mroku.

Pozostawiając w tej chwili na inne przemyślenia niezwykle bogactwo rytualne Dogonów, znakomicie, jak nigdzie indziej, właśnie w Polsce opracowywane, pragnę zwrócić uwagę na fakt, że maski nie można oglądać jako maski twarzy tylko, albo jako maski połączonej ze stelażem barkowym i *nasadą* (oraz z *nakładkami*). Należy je widzieć jako całość postaci i tylko tak można je odczytywać w kulturze. Sprawa symboliki jest tu najmniej ważna, ponieważ zwykle roztopia się w topice europejskiej symbolologii.

W społeczeństwach Afryki zachodniej maska jest instytucją związaną z obrzędami rolniczymi, żałobnymi i – oczywiście z inicjacją. Zawsze jest wyrazem konkretnego mitu i wyraża określony obraz kosmosu i opowiada jego dzieje. Inaczej mówiąc: jest *bliska* jako *obca*, ponieważ uzmysławia i wyraża wspólnotę ludzi i ich świata. Pokazuje, że wspólne są początki świata wszystkich istot żyjących, że wiedzę o tym posiadają przodkowie i że każdy obrzęd jest przywołaniem nowego początku wszechświata.

Wyraźnie o tym przekonują maskowe obrzędy inicjacyjne już przywołanego plemienia Bambara⁶. Najważniejsza dla tego plemienia maską jest *Komo*, a poprawniej: *głowa Komo*. Oznacza ona całość człowieka i każda część tej „totalnej maski” ma swoje znaczenie. Głowa oparta jest na przedstawieniu pomarszczonego i wyliniałego już łba *starej hieny*, której mordą przedstawia pysk *krokodyla*; nad maską wiją się wyostrome i poskręcane rogi *antylopy*, odpowiadające błyskawicom pierwszego dnia tworzenia świata. Postać nosząca maskę ubrana jest w suknię zrobioną ze zwojów bawełny, do których doczepiono 266 piór *sępa*, szyja, co ważne, jest odsłonięta, podobnie jak pozbawiony upierzenia jest przelyk tego straszego ptaka. Tancerze Bambara mają ponadto grube, upodobnione do nóg słonia, osłony na podudziach. W dłoniach trzymają ostre noże, którymi posługują się w trakcie inicjacji.

⁶ Opis (sprzed trzydziestu z górą lat, zachowujący w swych zasadniczych rysach także dzisiejszą postać obrzędu, przedstawił Germanie Dieterlen w cytowanym artykule *Masques...*, dz cyt., s. 28, 29.

Głowa Komo (Komo ku) jest zespołem elementów zootypycznych związanych przede wszystkim ze śmiercią i pożeraniem padliny: a więc *stara hiena, krokodyl, sęp* stanowią tu podstawowy układ najniższego paśma istnień, których istota jest śmierć jako pożarcie martwego ciała, które po przejściu przez trawiące wnętrze wymienionych zwierząt odrodzi się nowo i przejdzie do krainy duchów opiekuńczych plemienia, by wcielając się w nowe maski strzec pamięci o drodze inicjacji, którą same przeszły. W ten sposób młody uczestnik rytu staje się starcem w wiedzy i wreszcie może być traktowany jako dojrzały członek plemienia. Rogi *antylopy* oraz nogi *słonia* stanowią tu ramę inicjacji rzędu wyższego, bowiem łączą niebo (piorun, boga, grom, błyskawicę) z mądrością człowieka wtajemniczonego w ciąg najwyższego szczebla wiedzy o nieśmiertelności nadanej przez boga w akcie stworzenia. Ten akt, w postaci maski (a więc maska wyraża czynność także) znany jest jako *Faro*, świadek i sumienie przemian dokonanych na każdym szczeblu istnienia i życia społeczeństwa. Szczególnie ważny jest w plemienu Malinke, ale ma swe rytualne znaczenie jako obserwator inicjacji wśród ludzi Bambara. Zdaniem antropologów – teatrologów (Germaine Dieterlen, Jacqueline Jomaron) *Faro* przedstawia dwa aspekty poznania tajemniczego i sekretnego życia człowieka: *hiena i sęp* reprezentują przeszłość, obrzęd plemienny jest po to, by ujawnić prawdziwe wartości istnienia związane z mocą boga i najwyższego wtajemniczenia, z których najważniejsze jest odrodzenia świata. Również plemię Minyanka, sąsiadujące z poprzednimi, przejęło podobne rytuały „totalnych” masek.

Uzupełnieniem inicjacyjnej roli *mimesis* maski *Komo* jest znaczenie stałych barw, oznaczających, jak u Dogonów, konkretne elementy życia: *czern* to woda, szczególnie woda Nigru (*nigredo / czern mistyczna*), *czerven* (*ogień, usta, miłość, mowa*), *biel* (*powietrze, oczyszczenie, wapno higieniczne, czysty oddech*), *żółcień* (*ziemia, glina, ochra, pole, praca*). Celowo używam tu odniesień dynamicznych, bowiem rozumiem maskę nie jako element kostiumu, ale jako czynny obraz ruchu i przemian człowieka. Bo *mimesis* nie jest skupiona na obrazie, ale przenosi wszelkie czynności konstytutywne dla inicjacji za pośrednictwem maski.

Szeroko o tym mówią rytualne zasady przedstawienia kosmosu i jego dziejów w obrzędach Dogonów. Jednak pisać o Dogonach nie mam śmiałości. Jest przecież tak, że najważniejsze prace im poświęcone (i to w skali światowej) wyszły spod pióra polskich afrykanistów. Odwołania, jeśli już nie ustawiczne cytowanie książki Lucjana Buchalika wydanej – choć bez daty, ale obecnie – przez Muzeum w Żorach (tytuł: *Dogon ya gali*) byłyby konieczne i sprowadziły by moje uwagi do częstego streszczenia poglądów Autora. Zagadnienie maski Ogonów pozostawiam więc jako własność intelektualną przywołanego wyżej badacza i podróżnika.

Dopiszę jedynie, że w przywołanym tu sposobie czytania maski na sposób fenomenologiczny istotne jest pozostawienie masce właśnie jej pierwotnego i zarazem indywidualnego języka. Oznacza to, że sama maska otwiera koło hermeneutyczne swoich znaczeń i że większość sądów wypowiedzianych przez strukturalistów i funkcjonalistów (od połowy XX wieku) winna ulec weryfikacji ze względu na bezpośrednie badania nad *ethnosem* kultur Afryki, Oceanii i Indonezji.

Włodzimierz Szturc was born in Beskidy. He teaches comparative study, mythology and archeology of theatre at the Jagellonian University and history of theatre and drama at the Academy of Theatre in Cracov. He was a professor at the Institute national des Langues et Civilisations Orientales in Paris and taught a course in world literature at the Francois Rabelais University in Tours. He cooperated with a number of institutions, including the Centre de Recherche sur L'Imaginaire (Grenoble) and Frans Roggen Foundation (Ghent). He became closely acquainted with a lot of cultures in Indonesia and Africa, participated in expeditions to Greece.

Włodzimierz Szturc is the author of several critical studies, dramas and books. He has published for example *Romantic irony* (1992), *On the Revolution of the Romantic Orbs* (1997), *The Theory of the Romantic Drama in Europe XIX c.* (1999), *Archeology of Imaginary* (2001), *The Comparative Mythography* [with M. Dybizbanski] (2006) and *The New Spaces. Studies on the Human Passion* (2011).

Włodzimierz Szturc wykładał komparatystykę, obecnie zaś mitografię, rytualistykę i archeologię teatru w Uniwersytecie Jagiellońskim (Katedra Teatru i Dramatu) oraz historię teatru w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie. Był wykładowcą w Instytucie Języków i Cywilizacji Orientalnych (IN-ALCO) w Paryżu oraz prowadził kursy literatury powszechnej w Uniwersytecie Francois Rabelais w Tours. Współpracował z wieloma instytucjami, między innymi z Centrum Badań nad Wyobraźnią (Grenoble) oraz Fundacją Frank Roggen (Gandawa). Poznawał odległe kultury podróżując po Grecji, Indonezji i Afryce. Pisze dramaty, z których kilka zostało wystawionych w teatrze.

Jest autorem wielu artykułów, dramatów i książek. Opublikował m.in. *Ironię romantyczną* (1992), *O obrotach sfer romantycznych. Studia o ideach i wyobraźni* (1997), *Teorie dramatu romantycznego w Europie XIX wieku* (1999), *Archeologię wyobraźni* (2001), *Moje przestrzenie. Szkice o wrażliwości ludzkiej* (2004), *Mitoznawstwo porównawcze* [z M. Dybizbańskim] (2006) i *Nowe przestrzenie. Szkice o namiętności* (2011). Obecnie pracuje nad rytami w kulturach świata oraz zajmuje się opisem i fenomenologią maski, głównie rytualnej, inicjacyjnej a także mitami zawierającymi źródła do rekonstrukcji najstarszych widowisk w Babilonii i Egipcie.



RYSZARD GAJ

O ŹRÓDŁACH MONTAIGNE'OWSKIEGO
MITU *DOBREGO DZIKUSA*

Idea *dobrego dzikusa*, mimo że znana w starożytności i średniowieczu, nabrała większego znaczenia na początku renesansu – zapewnia nas Angel Losada⁷. Do jej popularności najbardziej przyczynili się odkrywcy będący w służbie hiszpańskiej. Krzysztof Kolumb mniemał, że odkrył raj, a za nim to samo głosili o Indiach Zachodnich, będący na służbie hiszpańskich królów: Włoch Pedro Mártir de Anglería (po włosku Pietro Martire d'Anghiera), Włoch z Florencji Amerigo Vespucci, Hiszpan Francisco López de Gómara i Hiszpan, słynny obrońca Indian i zwolennik ich dobrowolnej ewangelizacji, Bartolomé de Las Casas.

Myśliciele humanistyczni podejmują ideę „dobrego dzikusa” w swoich koncepcjach, między innymi: angielski myśliciel Tomasz Morus, hiszpański filozof Juan Luis Vives, Hiszpan Antonio de Guevara, a w końcu XVI wieku Francuz Michel Montaigne. W wiekach XVII i XVIII pojawiają się liczne opowieści o Ameryce pisane przez podróżników i misjonarzy, takich jak Hiszpan Francisco Coreal, francuscy jezuita Lafitau i Charlevoix. Znalazły się one w słynnej *Histoire Generale des voyages* pod redakcją Abate Prebo-

⁷ Na podstawie artykułu: Losada A., “La doctrina de Las Casas y su impacto en la Ilustración Francesa” w: *En el Quinto Centenario de Bartolomé de Las Casas*, Madrid 1986, s. 169-181.

sta. Losada zapewnia nas, że te wszystkie relacje są pod ewidentnym wpływem Las Casasa⁸.

Myśliciele oświecenia otrzymali już ideę bardzo dojrzałą - jak pisze José Luis Abellan: „W rewolucyjnej myśli francuskiej XVIII wieku podstawową rolę, jakby motoru, gra mit „dobrego dzikusa”, który zakłada – poprzez racjonalistyczny proces budowy prawnych założeń Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela – zasadę absolutnej równości wszystkich wobec prawa. Tekstem klasycznym tego myślenia mityczno-utopijnego jest *Rozprawa o pochodzeniu i podstawach nierówności pomiędzy ludźmi* (1954) Jeana-Jacquesa Rousseau⁹. Losada upiera się, że podstawowe założenia renesansu i humanizmu hiszpańskiego w XVI wieku są tymi źródłami, z których głównie czerpał Rousseau do wypracowania swoich idei.

Carlos Rangel dowodzi, że „Poszukując tego, co już istniało w ich dążeniach, oczekiwaniach, odkrywcy hiszpańscy stworzyli mit najpotężniejszy w oczach nowożytnych: mit ‘dobrego dzikusa’, w wersji amerykańskiej lub amerykańskiej, mit niewinności człowieka sprzed jego upadku, opowieść, która odniosła nieskończony sukces w historii idei, brzemienisty w ogromne konsekwencje... Mit dobrego dzikusa odpowiada na lęki charakterystyczne dla europejskiej cywilizacji zachodniej - chrześcijańskiej, skoncentrowanej na swej historyczności. Mit głosi, że człowiek był dobry, ale cywilizacja go skorpumpowała. Jeżeli istniała Złota Epoka, a znajdujemy się w Epoce Żelaza albo Epoce Brązu, to nie mógł zdarzyć się większy cud, aniżeli odnalezienie tej prymitywnej epoki, współistniejącej z naszymi czasami, i jak pojawienie się tej prawdy, że ludzie niezbrukani cywilizacją, niewinni, przetrwali”¹⁰.

Poszukiwanie Ziemi Raju – pisze Losada - było celem pierwszych konkwistadorów hiszpańskich z Kolumbem na czele, odzywały się stare sny o Złotej Epoce i stanie niewinności. I okazało się, że Raj nie zniknął, ale wcześniej, sytuowany jako dawne królestwo na wschodzie, odnalazł się: w tym przypadku była to Ameryka. Kolumb, opierając się na autorytecie Świętych Ojców, wierzył, że odnalazł Ogród Rozkoszy, ziemski Eden (zachwyił się Zatoką Paria przy północnych brzegach Ameryki Południowej). Zachwył Kolumba odtwarza J. Manzano y Manzano: „Rajska Rzeka przed rozlaniem się w jeziorze nawadniała Ogród Rozkoszy. Z tego powodu (i jeszcze poprzez swój klimat; cudowne warunki dla Indian, piękno regionu itd.) Kolumb nazwał tamtą ziemię... ogrodami: dla niego były to ogrody Edenu”¹¹.

W 1511 roku Pedro Martir de Anglería (Pietro Martire) wydaje pierwszą *Dekadę* ze swej *Decadas de Orbe Novo*, a w 1530 r. publikacja zostaje powtórzona w Alcalá z pozostałymi ośmiu *Dekadami* oraz wielkim dziełem

⁸ Tamże, s. 170.

⁹ Abellan J. L., *Los orígenes españoles del mito del buen salvaje*, Madrid 1976. Cyt. Za: tamże, s. 170.

¹⁰ Rangel C., *Del buen salvaje al buen revolucionario*, Caracas 1976, s. 27. Za: tamże, s. 170.

¹¹ Manzano y Manzano J., *Colon y su secreto*, Madrid 1976. Za: tamże, s. 170-171.

Opus epistolarum. Dekady..., wydano jeszcze wiele razy po angielsku, niemiecku, francusku i holendersku. Anglería pisze w nich o „odkryciu ziemskiego raj”, o idealizowanych prymitywnych ludziach, zwanych także później „nagimi filozofami” i oczywiście „dobrymi dzikusami”. „Mają Indianie – pisze Mártir w *Dekadach* – ziemię, tak jak sól i wodę, za wspólne, i nie ma u nich podziału na ‘moje’ i ‘twoje’, nasienia wszelkiego zła, ponieważ zadowolają się bardzo skromnymi dobrami, a tego mają na swych ziemiach pod dostatkiem. Dla nich jest to Złota Epoka. Nie zamykają swoich siedzib ani fosami, ani ścianami, ani płotami. Żyją w otwartych ogrodach, bez praw, książek, sędziów; z natury szanują tego, kto jest uczciwy; mają za złego i perwersyjnego kogoś, komu sprawia przyjemność krzywdzenie bliźniego”¹².

Las Casas jeszcze intensywniej popularyzuje ideę „dobrego dzikusa”, której ucieleśnienie widzi w Indianinie, w wydanej w Hiszpanii w Sewilli w 1552 r. skandalizującej broszurze *Brevísima Relación de la Destrucción de las Indias* (*Krótką relacją o zniszczeniu Indii*, ukazała się w Polsce), a którą przedstawił na dworze hiszpańskim w 1542 r. Przetłumaczona na język francuski przez Jacquesa de Migrode ukazała się we Francji w 1579 roku, na rok wcześniej przed *Próbami* M. Montaigne’a (1580), ale po francusku poza Francją już w 1973 r. Wcześniej pojawiła się po holendersku (1572), a jeszcze wcześniej po angielsku, łacinie i niemiecku. Podobno ustępowała w owym czasie pod względem popularności jedynie Biblii. Jest to zrozumiałe, ponieważ wiele krajów zazdrościło Hiszpanii kolonii i powodzi złota, jakie przywożono z Ameryki, a ponadto Holendrzy walczyli o niepodległość od Hiszpanii, także Włosi, często najeżdżani przez Hiszpanów, chętnie dowiadywali się z książki Las Casasa o masowych zbrodniach Hiszpanów wobec Indian. Zapewnia nas Losada, że „było mało przypadków, podobnych do tego, w historii książki”, i że „nie mogło być europejskiego intelektualisty, interesującego się amerykańską rzeczywistością, który by nie czytał dzieła Las Casasa”¹³. Las Casas, jako oficjalny Protektor Indian pisze w wielu traktatach o niewinnych Indianach, okrutnie traktowanych przez Hiszpanów oraz o zniszczonych ziemiach. Prosi jednocześnie króla Hiszpanii o zmianę tej sytuacji. W *Brevísima...* rysuje dualizm: Indianie – pokojowe i anielskie byty, zwane „owcami”; Europejczycy – gwałtowni i skorumpowani destruktorzy – „wilki”.

Michel Montaigne, którego matka była Żydówką z hiszpańskiej Saragossy, i który odziedziczył po ojcu dużą bibliotekę pełną książek hiszpańskich, mógł (domyśla się J. L. Abellan) czerpać dla swoich esejów („prób”) z *Prób*: „O Pojazdach” i „O Kanibalach” z dzieła Las Casasa. Montaigne, podobnie jak Las Casas, rysuje już znaną nam opozycję: barbarzyństwo (wyobrażenie do-

¹² Martir de Anglería P., *Descubrimiento ‘De Orbe Novo’, pierwsza Dekada*. Cyt. za: A. Losada, *La doctrina...* dz.cyt., s. 171-172.

¹³ Losada A., *La Doctrina de Las Casas...*, dz. cyt., w: tamże, s. 172.

broci i szczęśliwości) wobec cywilizacji europejskiej (wyobrażenie korupcji). Píše także o okrucieństwie Hiszpanów wobec Indian. Montaigne musiał czerpać wiedzę o Ameryce od Hiszpanów, a nie, jak błędnie twierdzi Levi Strauss, od Francuza Lary'ego¹⁴, który podróżował do Brazylii, gdzie Hiszpanów po prostu nie było.

Montaigne nie cytuje bezpośrednio Las Casasa, ale, jak sądzi Marcel Bataillon, idea podniesiona przez Hiszpanów „wisiła w powietrzu” i w ten czy inny sposób musiała mieć na niego wpływ. Francuski filozof nie znał hiszpańskiego, ale musiał czytać dzieło A. de Guevary *El relox de principes (Zegar książąt, 1529)*, w której zawarł biografię Marka Aureliusza, która po francusku ukazała się w 1555 r. „Że Montaigne – pisze Abellan – znał Guevare, jest więcej niż pewne, i że się nim inspirował, jest dużo bardziej niż prawdopodobne”¹⁵. Montaigne wspomina w *Próbach* o swoim ojcu i jego zamiłowaniu do książek hiszpańskich, a szczególnie do dzieła Guevary. Montaigne też z pewnością korzystał z pracy hiszpańskiego historyka L. de Gomary *Historia general de las Indias (1552)*.

Jedno uderza u hiszpańskich rejestratorów i interpretatorów „odkrycia” Ameryki, że tak uporczywie trzymają się tego określenia w stosunku do ziem, gdzie mieszkali ludzie w zorganizowanych wspólnotach politycznych. Montaigne nie miał bezpośrednich doświadczeń z „pokojowymi” i „lęklivymi” autochtonami, ale jednak czuł, że coś jest nie tak z tą ponoć wyższą, „chrześcijańską cywilizacją” i roszczeniami Europejczyków do niesienia „misji”.

dr Ryszard Gaj – adiunkt w Katedrze Filozofii Wydziału Historyczno-Socjologicznego UWB. Zajmuje się problemami historii, kultury i filozofii hiszpańskiej, Ameryki Łacińskiej (teologia wyzwolenia) oraz prowadzi badania nad polityczno-socjologicznymi aspektami życia społeczeństw latynoskich. Autor książki *Ortega y Gasset (2007)*.

¹⁴ Levi Strauss w wywiadzie dla „Le Figaro Leteraire”, 10, 12, 1992. Za: S. C. Levi Strauss: „No hay nada mas peligroso para la humanidad que las religiones monoteistas”, „ABC”, 20.12.1992, s. 67.

¹⁵ Abellan J. L., Za: A. Losada, “La doctrina de Las casas y su impacto en la Ilustración Francesa” w: *El Quinto centenario...*, dz. cyt. s. 176.



MARCIN BAJKO

PŁACZ TOWIAŃCZYKÓW. SŁOWACKI – GOSZCZYŃSKI

Wpływ przytomności Towiańskiego
tak działa na zwolenników jego, że
stają się płaczącymi niewolnikami.

Zygmunt Krasiński¹⁶

1. Towiańczycy – święci i łzy

Poeci romantyczni wylewali morze łez, czasem tkliwie, innym razem – spazmatycznie. Przejęli ten styl po swych osiemnastowiecznych, sentymentalnych ojcach i dziadach, podobnie jak oni, nadając łzom pozytywną waloryzację. Łzy metaforyczne, umowne i konwencjonalne. Łzy wylwane w listach, czyli te, których autentyczności nie można było zweryfikować, lecz należało wierzyć w ich istnienie, w to, iż je uroniono. A różnica to niebagatelna, gdyż wyznania typu: „ja względem ciebie mam sumnienie pełne łez i żalu”, są czymś innym niż relacje na temat tego, że ktoś w danej sytuacji zalał się rzęsistymi łzami.

¹⁶ List do Delfiny Potockiej (Rzym, 14 stycznia 1843). Cyt za: Z. Krasiński, *Sto listów do Delfiny*, wyboru dokonał i wstępem opatrzył J. Kott, Warszawa 1966, s. 93.

Interesuje mnie głównie autentyzm zapisu pamiętnikarskiego bądź epistolarnego, choć zapisy tego typu mogą być – i często były – świadomie kreowane. Pragnąc dotrzeć do istoty zjawiska płaczu romantycznego, przy wszystkich ograniczeniach wynikających ze świadomego zawężenia pola badawczego do jedynie dwóch twórców, traktuję owo zjawisko jako pewien rodzaj ekspresji warunkowany ściśle określonym obyczajem epoki (modą, konwencją)¹⁷. Jednakże ten „poziom” czytania płaczu (płacz-ekspresja, płacz-obyczajowy) przecinać będzie poziom inny, a mianowicie wymiar płaczu religijnego. Wydaje się to zrozumiałe, zważywszy na specyfikę towianizmu oraz marzenie o „świętych obcowaniu”, towarzyszące wielu braciom Koła Sprawy Bożej w pierwszych latach jego istnienia.

Słynna trójca poetów towiańczyków: Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński. Pierwszy z nich właściwie nie płakał, przynajmniej nie opowiadał o tym w listach. Drugi, jak wiadomo, był płacziwy do granic nieprzyzwoitości, jeszcze zanim stał się bratem Juliuszem. Ostatni zaś, zgoła niepłacziwy, począł popadać w stany uniesień znaczonych łzami (choć niezbyt często) dopiero po wejściu do Koła Sprawy Bożej, wypierając się swych demokratycznych sympatii i dawnego, antyklerykalnego wizerunku. Zajmiemy się tu właśnie nimi, bratem Sewerynem oraz Juliuszem Słowackim, towiańczykiem „chwilowym”, jeśli porównać jego roczne członkostwo w Kole z kilkudziesięcioletnim towianizowaniem autora *Dziennika Sprawy Bożej*. Proporcje rozłożmy adekwatnie do „kalibru” ich poezji oraz natężenia płaczu.

Drogi poetów przecięły się na przełomie 1842 i 1843 roku. Juliusz Kleiner twierdził, że autor *Sobótki* wprowadzając się do mieszkania Słowackiego przyczynił się do przełamania jego samotnictwa¹⁸. Rzeczywiście, musiało to być nie lada wyrzeczenie ze strony gospodarza mieszkania na rue de Ponthieu 30...¹⁹ Jakkolwiek znali się już wcześniej, to dopiero członkostwo w Kole Sprawy Bożej uczyniło ich braćmi. I mimo że Goszczyński potępi później brata Juliusza za jego egoizm, pychę i upadek duchowy, zakończony w listopadzie 1843 roku głośnym wyjściem z Koła, to zawarta wówczas przyjaźń przetrwa, zaś odstępca wesprze finansowo i duchowo borykającego się stale z brakiem środków do życia brata Seweryna, który będzie mu za to niezwykle wdzięczny, pozostawiając tego

¹⁷ Zatem płacz byłby jeszcze jednym ze „stylów zachowań romantycznych”, pominiętym podczas pamiętnego sympozjum, które odbyło się w Warszawie 6-7 grudnia 1982 roku. Zob. *Style zachowań romantycznych. Propozycje i dyskusje sympozjum. Warszawa 6-7 grudnia 1982 r.*, pod red. M. Janion i M. Zielińskiej, Warszawa 1986.

¹⁸ J. Kleiner, *Juliusz Słowacki. Dzieje twórczości*, t. 4: *Poeta mistyk*, wstęp i oprac. J. Starnawski, Kraków 1999, s. 13.

¹⁹ Autorka monografii Goszczyńskiego zwraca uwagę: „(...) zastanawiająca jest historia ich [Słowackiego i Goszczyńskiego – M.B.] dziwnej, krótkiej przyjaźni – dziwnej, bo trudno znaleźć ludzi mniej pasujących do siebie powierzchownością, umysłem i temperamentem”. D. Sosnowska, *Seweryn Goszczyński. Biografia duchowa*, Wrocław 2000, s. 19.

świadczenia w listach nie tylko do swego dobroczyńcy, wciąż „brata” Juliusza, ale też do Ludwika Nabelaka z 1847 roku: „Słowacki odnowił także ze mną stosunki dawnej miłości, a czystszej, niż była kiedykolwiek. Mam o nim dobre nadzieje. Pokory, jaką mi teraz pokazuje, nigdy podobnej w nim nie widziałem”²⁰.

Goszczyńskiego i Słowackiego łączyło oczekiwanie. Czekali przełomu duchowego, gdyż, tak jak wielu innych przyszłych towiańczyków, doświadczali głębokiego kryzysu egzystencjalnego, do którego doprowadziło m.in. poczucie głębokiego osamotnienia. Samotność nie była zresztą niczym nadzwyczajnym w tej „kulturze samotnych mężczyzn”²¹. Jednakże nie osamotnieniem i samotnością się tu zajmujemy, lecz płaczem, *nota bene* często z osamotnienia wynikającym i z nim powiązanim. W przypadku Słowackiego, co widać w jego listach do matki, tak właśnie jest. Na cztery miesiące przed wejściem do Koła, w jednym z najkrótszych listów pisał: „Nieweseli my wszyscy i tą niewesołością wzajemnie się trudzimy, bo nie mamy rodzin, nie mamy związków rodzinnych – każdy do ścian pustych wraca... odzwyczailiśmy się płakać nad nieszczęściami innych, jak mnichy – rzadko kto zachował serce bijące i dar życia z ludźmi – ale inaczej być nie może – a inni na naszym miejscu może by byli gorszymi”²². Jeśli Słowacki pisze: „odzwyczailiśmy się płakać”, świadczy to tylko o niezwykle wysokiej waloryzacji łez, a także o tym, że są one znakiem współodczuwania, czymś, co wiąże ludzi ze sobą.

Towiańczycy to zatwardziali bojownicy Sprawy, bezkonfliktowo łączący w sobie oschłość i wylewność, surowość z egzaltacją i płaczliwością, przejawiającą się w słynnych ekstatycznych wybuchach²³. Krzykliwość i płaczliwość były najczęściej podkreślanymi cechami członków Sprawy Bożej, zwłaszcza podczas ich spotkań we własnym gronie, gdy chęć zademonstrowania swego oddania Mistrzowi i Sprawie osiągała apogeum. Płacz nieodzownie towarzyszył nowym jej adeptom²⁴. Większość z nich wylewała oczyszczające łzy w momencie wejścia do Koła. Niektórzy, jak Słowacki, z racji swej przyrodzonej płaczliwości, pozosta-

²⁰ List do Nabelaka, 12 czerwca 1847, [w:] *Listy Seweryna Goszczyńskiego (1823-1875)*, zebrał i do druku przygotował S. Pigoń, Kraków 1937, s. 215). Słowacki zaś, w czasie wspólnego mieszkania z Goszczyńskim zwierzał się Salomei: „mam także zbywający pokój, który przyjął ode mnie jeden z niepospolitych przyjaciół, jeden z posagowych ludzi... jeden z tych, na których ramieniu można się oprzeć śmiało... Przez ścianę go mając czuję się weselszym” (I, 515). List z 18 marca 1843 roku.

²¹ Zob. A. Witkowska, *Cześć i skandale. O emigracyjnym doświadczeniu Polaków*, Gdańsk 1997.

²² *Korespondencja Juliusza Słowackiego*, oprac. E. Sawrymowicz, t. 1, Warszawa 1962, s. 475. Dalej oznaczam numer tomu (I lub II) oraz podaję stronę.

²³ A. Witkowska, *Towiańczycy*, Warszawa 1989, s. 98.

²⁴ Autorka *Seweryna Goszczyńskiego. Biografii duchowej*, powołując się na uwagi Williama Jamesa, zwracała uwagę na to, że zjawisko płaczu, będącego procesem towarzyszącym silnym wzruszeniom braci, należy wpisywać w kontekst doświadczeń religijnych (D. Sosnowska, *Seweryn Goszczyński...*, s. 135, przypis 44).

wali w stanie wzruszenia całymi tygodniami i miesiącami po przystąpieniu do Koła. Rzecz jasna musiały zaistnieć ku temu sprzyjające okoliczności. Znamienna jest notatka Goszczyńskiego, sporządzona nazajutrz po zebraniu braci u Mickiewicza: „[28 XI 1842 r.] Wczorajsze posiedzenie zrobiło zbawienny skutek. Juliusz Słowacki powiedział mi, że stan jego w dniu wczorajszym był taki sam, jak w podróży do Ziemi Świętej, a osobiście w Jerozolimie. Tak był cały dzień do łez rozrzewnionym. On widzi w tym wszystkim zbliżenie się ku nam przyjaznych duchów większe niż kiedykolwiek”²⁵.

Jak pogodzić teatralizację zachowań z autentycznością wyrażania? Płacz na pokaz i płacz szczerzy, wylew duszy... Dotyczy to szczególnie mniej więcej pierwszych dwóch lat od założenia Sprawy Bożej, zanim tak zwany „ton morzący”²⁶ zdominował stosunki między braćmi, choć – co istotne – sam Towiański nie miał zbyt dobrego zdania o ludziach często płaczących. Potępiał zwłaszcza płaczliwość swych adeptów²⁷.

Zarówno Słowacki, jak i Goszczyński właśnie w ten sposób się zachowywali, a przynajmniej tak kreowali swe autoportrety: w listach oraz w *Dzienniku*. W przypadku pierwszego z nich zmiana powodów płaczu będzie uderzająca, jeśli jako najwyrazistszy przykład jego przedtowanistycznych łez potraktujemy słynny, wielokrotnie już interpretowany liryk *Rzym*. Wprawdzie w przeciwieństwie do listów nie jest to świadectwo bezpośrednie, jednakże, tak jak w przypadku dużej części utworów literackich poety, możemy uznać ten wiersz za dokument bezpośrednich, intymnych przeżyć. Trzykrotne powtórzenie: „Nagle mię trącił – płacz na pustym błoniu // I zdjął mię wielki płacz... // I nigdy takich łez nie lałem...”²⁸ wskazuje na skalę oraz gwałtowność przeżycia. Jednak wszystkie łzy wylane przez Słowackiego przed spotkaniem z Towiańskim, a zwłaszcza w tak zwanym okresie rzymskim oraz w czasie podróży na Wschód i tuż po niej, we Florencji, znacznie różnią się od tych, które uroił po 12 lipca 1842 roku. Otóż – w skrócie rzecz ujmując – od momentu przyjęcia wiary w posłannictwo Mistrza Andrzeja przestaje Słowacki pła-

²⁵ Cyt. za: J. Starnawski, *Juliusz Słowacki we wspomnieniach współczesnych*, Wrocław 1956, s. 111. W *Dzienniku Sprawy Bożej* nieco inny zapis: „Wczorajsze posiedzenie [tzn. z 27 XI] zrobiło zbawienny skutek na braciach; wszyscy ogólnie byli wzruszeni. Juliusz Słowacki powiedział mi, że stan jego na dniu wczorajszym był zupełnie taki sam, jak kiedy zwiedzał Ziemię Świętą, a osobiście Jerozolimę. Tak był cały dzień aż do łez rozrzewniony. On widzi w tym wszystkim zbliżenie się ku nam przyjaznych duchów większe niż kiedykolwiek (op. cit., s. 46).

²⁶ Jest to określenie Goszczyńskiego. Zob. A. Sikora, *Towiański i rozterki romantyzmu*, Warszawa 1984 (rozdział *Ton morzący*, szczególnie s. 109-111).

²⁷ Zob. A. Witkowska, *Towiańczycy*, op. cit., s. 23.

²⁸ J. Słowacki, *Wiersze. Nowe wydanie krytyczne*, oprac. J. Brzozowski i Z. Przychodniak, Poznań 2005, s. 113, wersy: 1, 10, 16. Por. Cz. Zgorzelski, *Liryka w pełni romantyczna. Studia i szkice o wierszach Słowackiego*, Warszawa 1981, s. 119-120; B. Kuczera-Chachulska, „Płacz” Słowackiego. *Liryczna wartość motywu*, w: *Przemiany form i postaw elegijnych w liryce polskiej XIX wieku*, Warszawa 2002.

kać na smutno, odrzuca melancholizowanie. Łzy nabierają charakteru wzniosłego, oczyszczającego i świętego nieledwie, aczkolwiek będzie ich zdecydowanie mniej niż przedtem. Natomiast Goszczyński, wcześniej niezbyt płaczliwy, raczej twardo stąpający po ziemi człowiek, zacznie płakać w chwilach podniosłych i rozrzewniających. Łzy staną się pozytywnie waloryzowanym, widowym znakiem narodzin człowieka Nowej Epoki. Zanim doprecyzujemy całą tezę, przyjrzyjmy się sylwetkom obu poetów pod kątem tego, jak, gdzie i dlaczego płakali.

2. Brat Juliusz – płacz wyssany z mlekiem matki

Autora *Snu srebrnego Salomei* określano często mianem poety „łzawego”. Już pierwsi badacze twórczości i biografii poety dostrzegli niezwykłą ilość łez nie tylko w jego poezji, lecz również w życiu osobistym. Są one wszechobecne. Po okresie młodzieńczym, a więc w przypadku Słowackiego w dużej mierze sentymentalnym, gdyż właśnie w tej estetyce stawiał swe pierwsze kroki jako poeta, zamiast osuszania łez możemy zauważyć znaczne wzmożenie ich natrętnej, chciałoby się rzec, obecności. Późniejszy niepokorny brat Juliusz miał zatem skłonność do płaczliwości. Wiemy to zarówno z jego własnych słów, z listów do matki, jak również ze wspomnień współczesnych. Wedle świadectwa Konstantego Gaszyńskiego, Słowacki około 1844-1845 roku „często bardzo, mówiąc, łzami się zalewał [...], gadał niestworzone duby, albo płakał”²⁹.

O ile można podważać wiarygodność wspomnienia raczej niechętnego poecie Gaszyńskiego, o tyle uwarunkowania rodzinne zdają się potwierdzać i w jakiś sposób tłumaczyć „płaczliwość” autora *Beniowskiego*. W kwietniu 1842 roku kończył list do matki: „Całuję ciebie, droga moja – i proszę, i proszę, i proszę – jak dziecko ze łzami i natrętnie – przyjeźdź!” (I, 477). Wielce to wymowne. Nie dziwi więc stwierdzenie, iż o „płaczliwości” Słowackiego przesądziła płaczliwość jego matki, Salomei Bécu³⁰. Autor *Słowackiego. Encyklopedii* z właściwą sobie przesadą suponował: „Należy tu oczywiście (próbując zrozumieć łzy Salomei) wziąć pod uwagę i to, że te wybuchy płaczu miały miejsce w takiej dziwnej epoce, która tolerowała płaczących, a nawet im sprzyjała, i w której wobec tego niezwykle chętnie i często płakano, i chętnie też przyznawano się do bezwstydných lamentów – nawet dorośli mężczyźni, łkając i szlochając, nie

²⁹ J. Sarnawski, *Juliusz Słowacki we wspomnieniach...*, s.124.

³⁰ Zob. K. Ziemia, *Wyobraźnia a biografia. Młody Słowacki i ciągi dalsze*, Gdańsk 2006 (szczególnie rozdziały: *Szczęście Słowackiego, Salomea Bécu i młody Słowacki. Imitacja, dialog i konflikt wyobraźni matki i syna*). Por. fragmenty pamiętnika Słowackiego w: J. Słowacki, *Dziela*, red. J. Krzyżanowski, t. XI, Wrocław 1952, s. 163. O relacjach uczuciowych łączących matkę i syna zob. też: E. Łubieniewska, *Laseczka dandysa i płaszcz proroka*, Kraków 1994, s. 99-101; K. Cysewski, *Listy Słowackiego do matki – problem obrazu autora*, w: *Poetyka przemiany człowieka i świata w twórczości Juliusza Słowackiego*, pod red. M. Śliwińskiego, Olsztyn 1997.

uważali wówczas, żeby w takim sposobie okazywania uczuć było coś nie-stosownego³¹. W stwierdzeniach tych jest sporo racji. Wystarczy zajrzeć do jej listów, adresowanych do Antoniego Edwarda Odyńca, by się przekonać, że tak jest w istocie. Tytułem przykładu: „Miło – ale smutno, płakałam czytając go (list do Odyńca – M. B.) i teraz płaczę [...] Ach, ile mnie te dziękowania kosztują łez i zdrowia! [...] Ignaś był wczoraj i płakał ze mną razem. [...] Och, ile łez, ile zdrowia ten wyjazd mnie kosztuje!”³². Łzy i płacz odbierane są zarówno przez Salomeę, jak i przez jej syna, nad wyraz pozytywnie. Słowacki stale informuje matkę o swych łzach. Zostają one wpisane w sam proces pisania listu. Jak się możemy domyślać, w przypadku Salomei jest podobnie³³.

Rok 1841, który przyniósł *Beniowskiego* oraz wielki triumf nad „jezuitami”, jak poeta określał kręgi katolickich poetów pochodzących z Litwy, wydaje się jednocześnie czasem przelomowym. Oto rozpoczyna się okres wzmoczonej religijności i wewnętrznych, oczyszczających rozrachunków, które przygotowały go niejako do wejścia w Sprawę Bożą³⁴. „A teraz wiemy – pisał do matki – że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem... Może ci się te wszystkie wyrazy dziwnymi zdadzą... może nie będziesz wiedziała, że ja tę prostą filozofiją pisząc łez mam pełne oczy i łkaniem zadławiony oddech... Ale z tego papieru wydobędzie się coś także, co ci płakać każe...” (I, 468). Bardziej interesuje nas tu jednak płacz brata Juliusza, czyli to, w jaki sposób „płakał”, będąc przez przeszło rok nieodrodnym synem sekty Towiańskiego.

Zanim pokusimy się o komentarze, przytoczmy nieco wyimków z pisanych przez Słowackiego w tym czasie listów. Możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, iż przyczyną ronienia łez był stan, wspomnianej uprzednio, permanentnej samotności. Ową samotność twórca tłumaczył sobie na różne sposoby. Niekiedy fakt bycia samotnym wyjaśniał niezrozumieniem i wrogością otoczenia, innym zaś razem konstruował mit wyniosłego, ponadprzeciętnego człowieka, skazanego na samotność wyrokiem losu lub Boga, albo po prostu wybierającego ją z własnej woli, jako swego rodzaju krzyż, który trzeba nieść, by dostąpić czegoś lub zdobyć coś ważniejszego niż pozorna szczęśliwość wśród ludzi³⁵.

³¹ J. M. Rymkiewicz, *Łzy Salomei Bécu*, w: tegoż, *Słowacki. Encyklopedia*, Warszawa 2004, s. 270. Rymkiewicz dodaje, że nawet biorąc pod uwagę szczególne zamięślenie romantycznej epoki do płaczu, to płaczliwość matki Słowackiego zdecydowanie przekraczała wszelkie możliwe normy.

³² Wszystkie cytaty z jednego listu, 3 maja 1827 roku (w innych listach podobne wyznania). Cyt. za: *W kręgu bliskich poety. Listy rodziny Juliusza Słowackiego*, oprac. S. Makowski, Z. Sudolski, red. E. Sawrymowicz, Warszawa 1960, s. 248-250.

³³ Listy Salomei Bécu do syna nie zachowały się, prócz jednego, z maja 1839 roku (zob. II, 256).

³⁴ Zob. G. Bychowski, *Słowacki i jego dusza. Studium psychoanalityczne*, wstęp i oprac. D. Danek, Kraków 2002, s. 254.

³⁵ A. Witkowska, *Słowacki towianistyczny*, w: *Słowacki współczesny*, red. M. Troszyński, Warszawa 1999, s. 216. O samotności romantyków zob. też: M. Kalinowska, *Mowa i milczenie. Romantyczne*

W przypadku autora *Kordiana* chodziło oczywiście także o sławę poetycką³⁶. Badaczka Słowackiego „towianistycznego” stwierdzała, że: „O samotności głośno w listach i poezji Słowackiego. Smakuje ją, jak sentymentalista łyzy. Ale zarazem w sposób całkowicie odrębny od emigracyjnej normy, bo jego samotność nie zna krzyku rozpaczliwych ludzi unurzanych w błocie nie tylko samotnej, ale nędznej egzystencji. Samotność Słowackiego była metafizyczna i wytworna zarazem. Smutny dandys w piaskowych szarawarkach, kamizelce w kwiaty i czarnym fraku od dobrego krawca. W tym opakowaniu dusza inaczej smuci się, płacze, wzdycha za przeszłością i narzeka na samotność”. Słowacki nie tylko smakuje samotność. Smakuje również – choć nie w taki sposób jak sentymentalista – łyzy. I nie tylko przed przełomem mistycznym, lecz także po nim, choć nie są to już te same łyzy.

Płaczliwość poety zaczęła się pogłębiać w latach pomiędzy podróżą wschodnią a wejściem do Koła. Najbardziej zmienny, pełen wahań nastrojów okres przypada na czas, w którym Słowacki, jako autor *Beniowskiego*, winien rozkoszować się swym zwycięstwem, napawać się pełnią życia. Nie bez wpływu na swego rodzaju stan odrętwienia, w jakim pograżył się w latach 1840-1842, zanim spotkał się z Towiańskim, był przyływ religijności. W tym czasie w listach do matki często pisze o Bogu, zawiera mu swój los. „Wszystko jest w ręku Boga” (I, 444) – twierdzi stanowczo. Mało prawdopodobne, że załamanie psychiczne, które wówczas przechodzi, spowodowane jest nieugiętością wciąż kochającej Krasieńskiego Joanny Bobrowej. Ona to miała widywać oczy Juliusza „często łzami zalane” (I, 461). Raczej mamy tu do czynienia z odgrywaniem przez Słowackiego roli romantycznego kochanka, gdyż trudno uwierzyć w autentyczność jego uniesień miłosnych, relacjonowanych Leonardowi Niedźwieckiemu oraz Salomei³⁷. Tak czy inaczej to łyzy stanowią miejsce wspólne, niż porozumienia między matką a synem. Są zwyczajnie swojskie, krzemienieckie i mitycznie rajske, mogą się stać wyrazem radości. Lipiec 1841 roku. Juliusz do Salomei: „Tymczasem zbieram i sadzę tulipany i patrząc na te kwiaty myślę o tobie ze łzami... O! ileż bym ja rzeczy miał tobie do opowiadania, gdybyśmy się kiedyś spotkać mogli – jak często płakałybyś i uśmiechałybyś się radośnie, słuchając o moich przygodach” (I, 463).

antynomie samotności, Warszawa 1989.

³⁶ Może tego dowodzić chociażby jeden z wczesnych wierszy, mianowicie nowa wersja wileńskiego *Nowego Roku*, czyli *Strofa Spensera*. Zob. K. Ziemia, *Wyobrażenia a biografia...*, s. 116.

³⁷ Z pisanych po francusku listów do Leonarda Niedźwieckiego: „Pani moich myśli nie daje mi ani chwili spokoju i rzadko bywa cisza na morzu, po którym płynę na pełnych żaglach. Cierpię i gryzę wędzido pieniać się [...] Niech Bóg nad nami czuwa i niech nas zbawia!” (22 maja 1841). „Życie, które tu (we Frankfurcie – M.B.) prowadzę, jest nieznośne: jestem sam, na jej łasce, duszę mam rozdarta przez nią. Jest niemożliwym znosić dłużej takie tortury...” (1 czerwca 1841). I, 452, 455. O tym samym w liście do matki: „Szałam – kochałam się – latałam za marą szczęścia w różne strony – płakałam – śmiałam się jak człowiek szczęśliwy – żyłam” (I, 462).

W pierwszym, pisanym po spotkaniu z Towiańskim liście do niej liście, syn, który wkrótce zamieni się co najmniej w brata, jeśli nie w ojca swej rodzicielki, dobitnie stwierdza: „Otoczył mnie krąg ludzi kochających – kosztuję nowego stanu duszy – zdaje się, że błogosławieństwo boże jest nade mną” (I, 491). Podmiot epistolarny³⁸, konsekwentnie kreowany przez autora listów na syna, Julka, poetę-dandysa, niestroniącego od melancholijnych wynurzeń duszy i lubiącego popłakać w odosobnieniu, teraz zamieni się w nauczyciela, apostoła Nowej Wiary... W konsekwencji tego również funkcje oraz znaczenie płaczu ulegną zmianie. Łzy mają być wylewem duszy, widocznym znakiem, świadczącym o czystości wewnętrznej, anielskości, przejawem duchowości. Podobnie jak sen lub widzenia oniryczne, łzy nabierają nowych znaczeń. Jeśli silnym wzruszeniem towarzyszy płacz, nie wolno tego zataić, zwłaszcza, gdy rozmawiają dwa sobie bliskie, a oddalone cieleśnie duchy.

W tym miejscu wprowadźmy kilka ustaleń psychologów badających naturę płaczu³⁹. W studium Helmutha Plessnera wymienianych jest pięć podstawowych grup płaczu: płacz napięty, przeważająco napięty, przeważająco rozluźniony, rozluźniony oraz nadbudowany nad nimi płacz „duchowy”⁴⁰. O ile pierwsze dwa typy płaczu, związane z fizycznością, bólem fizycznym i psychofizycznym, nie będą wchodziły w zakres naszego zainteresowania, o tyle pozostałe trzy grupy, pozostające w związku z aktami psychicznymi i duchowymi, staną się przedmiotem naszej analizy.

Wydaje się, iż z płaczem przeważająco rozluźnionym (grupa trzecia) mamy do czynienia chociażby w przywołanym tu już wierszu *Rzym*⁴¹. Płacz tego typu sprowadzany jest przez „smutek, przygnębienie, żal, tęsknotę i litość nad samym sobą [...]”. Człowiek czuje się pochwycony i przeżywa swój nastrój w ścisłym uwikłaniu w wydarzenia zewnętrzne. W najwyższym punkcie emocjonalnego poruszenia napływają łzy, w których znajduje on ukojenie, zatopienie, spokojne opano-

³⁸ Używam tu tego określenia w znaczeniu, które zaproponował Kazimierz Cysewski. Zob. K. Cysewski, *Teoretyczne i metodologiczne problemy badań nad epistolografią*, „Pamiętnik Literacki” 1997, z. 1, s. 103.

³⁹ Pamiętać jednak należy, że stosowanie zabiegów tego typu: teza/stwierdzenie z dziedziny nauki, w tym wypadku psychologii, oraz jej egzemplifikacja w materiale literacko-pamiętnikarskim jest czymś wielce ryzykownym i trzeba je traktować, jako nie w pełni miarodajne. Zob. M. Lubański, *Krytyka literacka i psychoanaliza. O polskiej psychoanalitycznej krytyce literackiej w okresie dwudziestolecia międzywojennego*, Warszawa 2008.

⁴⁰ H. Plessner, *Śmiech i płacz. Badania nad granicami ludzkiego zachowania*, przeł. i oprac. A. Zwolińska i Z. Nerczuk, postł. A. Zwolińska, Kęty 2004, s. 128-132. Plessner nawiązuje do schematu typologicznego płaczu opracowanego przez Ch. Spitz. Podkreślenie moje – M. B. Gdy nie podaję inaczej, wszelkie podkreślenia pochodzą od autora niniejszej pracy.

⁴¹ Ryszardowi Przybylskiemu płacz ten wydał się labędzią pieśnią „prawdy o doli ludzkości wtrąconej w czas, pędzonej w nieznane, w błady błękit”. R. Przybylski, *Rozhukany koń. Esej o myśleniu Juliusza Słowackiego*, Warszawa 1999, s. 118.

wanie”⁴². Podobnie, jak sędzę, płakał pielgrzym, przepędzając noc u grobu Chrystusa w Jerozolimie oraz tuż przed spowiedzią odbytą w obecności księdza Ryłło w libańskim klasztorze Betcheszban⁴³. Na temat tego ostatniego wydarzenia pisał: „Dzień Wielkiej Nocy przepędziłem w tym klasztorze i przyjechał umyślnie ksiądz jezuita ofiarując mi się za spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić, lecz jego przyjacielskie nalegania tyle sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie poranku uklęknąłem przed nim chcąc wymówić pierwsze słowo, rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność, wszystko, od czego mnie potem długie lata oddzieliły...” (I, 353).

Większość łez Słowackiego, zarówno tych należących do poezji, jak i tych, które znajdziemy w jego listach, moglibyśmy zaliczyć właśnie do trzeciej i czwartej z wymienionych przez Plessnera grup płaczu. Oczywiście chodzi tu o łzy sprzed cezury towianistycznej, bo łzy ronione przez Słowackiego-towiańczyka należeć już będą w przeważającej mierze do grupy piątej.

Czwarta grupa płaczu, czyli płacz „rozluźniony”, wypływający z „tęsknoty, załości, przygnębienia i łagodnego smutku. Człowiek chętnie pograża się tu we łzach. Wypływają one raz z głębi wewnętrznego odczuwania jako słodkie łzy, raz z płytszego źródła, jako łzy ulgi i pojednania”. Dominuje w nim uczucie wzniosłości i uszczęśliwienia⁴⁴. Przygnębienie i ogólny smutek, ale też swoisty spokój i wyciszenie to stany charakterystyczne dla Słowackiego w ostatnich kilkunastu miesiącach przed przełomem towianistycznym. Płakał w obecności Bobrowej⁴⁵, matkę zaś przekonywał, że jest szczęśliwy⁴⁶.

Być może fakt, iż poeta cenił płacz, wynika z jego, to jest płaczu, „niewinności”. Warto się też zastanowić nad podobieństwem autora oraz tych spośród bohaterów dzieł poety, którzy płaczą najwięcej⁴⁷. Wiadomo

⁴² H. Plessner, dz. cyt., s. 129.

⁴³ Z kolei o nocy spędzonej u grobu Chrystusa: „Cały dzień było mi smutno. Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa... Na wspomnienie tej nocy (tak miałem rozigrane nerwy), że łzy rzucały mi się z oczu. – Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu [...]. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami (I, 349). Zob. E. Kiślak, *Spotkanie w drodze: Maksymilian Ryłło SJ i Juliusz Słowacki*, w: *Światło w dolinie. Prace ofiarowane Profesor Halinie Krukowskiej*, red. K. Korotkich, J. Ławski, D. Zawadzka, Białystok 2007.

⁴⁴ H. Plessner, op. cit., s. 129.

⁴⁵ Zob. list pisany do niej tuż po niedoszłym pojedynkiem z Ropelewskim (I, 461).

⁴⁶ Listy z lipca i września 1841 roku (I, 462-463, 464-465). Podobnie w pierwszym z przytoczonych w tej pracy listów do matki (z marca 1842 roku).

⁴⁷ Por. uwagi B. Kuczery-Chachulskiej („Płacz” Słowackiego. *Liryczna wartość motywu*, dz. cyt., s. 171): „U Słowackiego najczęściej płaczą niewinni lub dostrzegający wielką ranę w porządku świata. Płacz staje się wówczas potencją, siłą, trwaniem; niekoniecznie oczyszcza, jak u

też, że Słowacki miał głęboką samoświadomość swej płaczliwości, podkreślał to w wielu miejscach. Oto na przykład na dwa miesiące przed spotkaniem z Towiańskim tłumaczył matce: „[...] dni i wypadki mego życia są takie, że jak Sterne wydobywam z nich łzy i rozczulenie... ale te łzy, to rozczulenie wydobyte jest ze szczegółów, nie z ogólnego wydarzenia – trzeba by więc imion i rzeczy, a to wszystko ciebie obchodzić nie powinno...” (I, 483). Refleksja ta zdaje się potwierdzać to, iż na początku 1842 roku płacz Słowackiego miał charakter „rozluźniony”. Z drugiej strony wyznanie to świadczy również o posługiwaniu się pewną konwencją o sentymentalnej proveniencji.

Płacz „duchowy”: „płacz wzruszenia, poruszenia, miłości, poświęcenia, nabożności”, piąty typ w przywołanej klasyfikacji, wyróżnia się brakiem gwałtowności i raptowności wyrazu⁴⁸. Właśnie z takich pobudek wypływają łzy Słowackiego w tym okresie jego życia. W końcu, jak powiedzieliśmy, otoczył go „krąg ludzi kochających”, zakosztował „nowego stanu duszy”, zdawało mu się, że jest nad nim błogosławieństwo boże (I, 491). W cytowanym liście mowa jest też o śnie, w którym Juliusz powraca w rodzinne strony. Razem z matką spaceruje po gaju w Czerczy. Wspomnienie tegoż snu wywołuje w nim silne wzruszenie. Pisał: „Cóż byś ty, droga, zrobiła widząc mnie u nóg twoich... na ławie domku twego? Na samą myśl taką łzy zalewają mi oczy – i serce leci ku tobie” (I, 491-492). We wrześniu wyznaje jej zaś, że od wielu lat nie był tak rozrzewniony... Zosia, czyli *alter ego* poety, „fantastyczka, woli się na girlandy bocianów, ciągnących nad morzami, patrzeć i płakać, krzycząc tak jak one na całe niebiosa” (I, 495). W zasadzie towianizm autora *Balladyny* ograniczył występowanie wszechobecnego wcześniej w jego pisarstwie motywu łez. „Skarbnik boży”, jak się określił w liście do Krasińskiego (I, 505), nauczyciel własnej matki (I, 511) i całej swej rodziny, łagodnie dociskający współbraci z własnej „siódemki”⁴⁹ – takie było nowe oblicze poety, starającego się zachować łzy na odpowiednie, stosownie podniosłe, chwile.

Wszystko ma jednak swój koniec. Pierwszy wyjazd do Pomic przypieczętował definitywne rozejście się Słowackiego z coraz bardziej formalizującym się Kołem. Na miesiąc przed oficjalnym z niego wyjściem pisał do Salomei, opowiadając o swym pobycie nad Atlantykiem: „[...] nigdzie od wspomnień uciec nie można – nigdzie od łez – i od tęsknoty” (II, 19). Od tej pory płacz Juliusza będzie ponownie przyjmował charakter „przeważająco rozluźniony” i „rozluźniony”. Tylko chwilami – w momentach wyjątkowo podniosłych, mistycznych uniesień – będzie on płakał tak jak w okresie, kiedy był prawowitym członkiem Koła Sprawy Bożej.

Mickiewicza, wszak płaczą tu przede wszystkim bezgrzeszni”.

⁴⁸ H. Plessner, op. cit., 132. W schemacie Ch. Spitz odpowiada płaczowi określonymu duchowo.

⁴⁹ Chodzi o list do Tomasza Nielubowicza z 8 kwietnia 1843 roku.

3. Brat Seweryn, czyli płakać odświętnie

„W godzinę po przebudzeniu się dość późnym – notował autor *Dziennika Sprawy Bożej* – przyjechał Nabelak i mówił mi o Towiańskim. Był tak poruszony, że mi nieraz swoim słowem łzy wycisnął”⁵⁰. Wcześniej, w nocy, autor tych słów miał sen, który dosyć często bywał przywoływany i komentowany przez badaczy⁵¹. Poeta uczył „wielką boleść w dolnej części brzucha i w tylnym otworze”⁵². Działo się to 4 czerwca 1842 roku, a więc niespełna dwa miesiące przed dniem przyjęcia wiary w posłannictwo Mistrza „ostatecznie” i „na zawsze”. Goszczyński w tym czasie, właściwie już od kilku miesięcy, bacznie przygląda się osobie oraz żywo interesuje działaniami założyciela Sprawy Nowej Epoki. Ulega też znaczącym przemianom. Autor bezkompromisowej *Uczty zemsty*, niegdyś twardy galicyjski konspirator przechodzi wyraźny kryzys, znajduje się na zakręcie życiowym. Nagły zwrot ku religijności oraz ogólne zwątpienie w dotychczasowy system wartości sprawiają, że staje się on bardziej podatny na wszelkie zewnętrzne wydarzenia, dopatrując się w nich głębszych znaków prawdziwie istniejącej rzeczywistości. Staje się też człowiekiem dosyć łatwo popadającym w stany afektacji, którym często towarzyszyły łzy. Nie znaczy to jednak, że Goszczyński płakał na zawołanie, jak niektórzy bracia. Zresztą modlił się do Boga o to, by oczyścił jego serce ze „wzruszeń, żądz, namiętności nieślachetnych, podłych, cieleśnych”⁵³. Jednakże nie zawsze modlitwy przynosiły pożądany skutek.

W sierpniu 1842 roku, już jako zdeklarowany towiańczyk, pisał do Lucjana Siemieńskiego, próbując zwerbować go do Koła: „Dwa już miesiące, jak żyję dzień i noc w tym świecie, mogłem się już wyczerpać z uniesień nad jednym przedmiotem; jest to więc mój stan zwyczajny: i mój i każdego z moich spółwierców”⁵⁴. Pierwsze uniesienia były z pewnością radosne i, jak się wolno domyślać, Goszczyński uronił niejedną łzę szczęścia podczas owych „uniesień”.

⁵⁰ S. Goszczyński, *Dziennik Sprawy Bożej*, t. 1, oprac. i wstęp Z. Sudolski, przy współpracy W. Kordaczuk i M. M. Matusiak, Warszawa 1984, s. 25.

⁵¹ Zob. D. Siwicka, *Ton i bicz. Mickiewicz wśród towiańczyków*, Wrocław 1990, s. 134-137. S. Rosiek, *Komu (i jak) śnił się Adam Mickiewicz po swej śmierci?*, w: *Mickiewicz. Sen i widzenie*, pod red. Z. Majchrowskiego i W. Owczarskiego, Gdańsk 2000, s. 160-164; M. Bieńczyk, *Czy romantyzm jest odpowiedzialny za brak psychoanalizy w kulturze polskiej?*, w: *Nasze pojedynki o romantyzm*, red. D. Siwicka i M. Bieńczyk, Warszawa 1995, s. 27-34; K. Kopczyński, *Seweryn Goszczyński wśród żołnierzy i braci. Głosa do „odrzuconego obrazu” romantyzmu*, w: *Zapomniane wielkości romantyzmu. Pokłosie sesji*, red. Z. Trojanowicz i Z. Przychodniak, Poznań 1995, s. 113-118, K. Rutkowski, *Braterstwo albo śmierć. Zabijanie Mickiewicza w Kole Sprawy Bożej*, Gdańsk 1999 (część II: *Odkrycie brata Goszczyńskiego. Śmierci nie ma*, szczególnie strony 120-121).

⁵² S. Goszczyński, *Dziennik Sprawy Bożej*, op. cit., s. 25.

⁵³ Tamże, s. 32.

⁵⁴ *Listy Seweryna Goszczyńskiego*, op. cit., s. 146. List z 23 sierpnia 1842 r.

Wyobrażenia Goszczyńskiego wiązała łzy i płacz ze sferą przeżyć sakralno-religijnych, na co wskazują zarówno jego sny⁵⁵, jak i szczególnie wzruszenia, których doznawał wobec „relikwii” czczonych w swej wspólnocie. Tak było przy okazji ofiarowania przez Towiańskiego swym uczniom słynnego sztandaru Chrystusa, który ci uczcili „łzami miłości”⁵⁶, a także podczas wręczenia czterem braciom specjalnych medali. Pobłogosławione przez Mistrza i przesłane za pośrednictwem brata Ferdynanda Gutta, przyjęte zaś zostały przez nich z rąk Mickiewicza 3 czerwca 1843 roku. Pod tą datą kronikarz Sprawy zapisał: „W najgłębszym wzruszeniu, z płaczem ucałowaliśmy ręce i nogi Adama. Rozrzewnienie i płacz były powszechne. Głębokie wzruszenie odjęło mi pamięć na resztę słów, kiedy nam wkładał medale i po ich włożeniu. Z płaczem ucałowaliśmy nogi i ręce Adama. Zakończyliśmy najserdeczniejszym wzajemnym uściśnieniem się i ucałowaniem”⁵⁷. „Rozrzewnienie i płacz były powszechne” – oto sedno zebrań towiańczyków w początkowej fazie działalności sekty. Łzy w obliczu świętości, którą w jakimś stopniu posiadały przedmioty pobłogosławione przez Mistrza, oznaczają autentyzm przeżyć. Być autentycznym, czystym – to ideał człowieka Nowej Epoki, a do takowego ideału autor *Dziennika Sprawy Bożej* usilnie dążył. Zresztą, wśród towiańczyków panowała wówczas, jak się zdaje, zgodna opinia, że – wedle słów Mickiewicza – „nigdzie takiej modlitwy nie masz jak w naszym Kole i takich łask nigdzie Bóg nie zlewa”⁵⁸. Właśnie on, zastępca Towiańskiego, wyraźnie zakłopotany i chyba zupełnie nierozrzewniony, potwierdza relację Goszczyńskiego: „Bracia byli wzruszeni [...]. Płakali i ściskali się ucałowaniem nantejskim. Brat Pilchowski mnie w rękę pocałował i był wzruszony. Niech Bóg to ucałowanie przyjmie i da mu za nie kroplę nową miłości. Bracia ślubujący uściskali moje nogi. Staralem się w duchu ten ich akt pokory odnieść Panu i połączyć z duchem Mistrza, unizając się nawzajem przed braćmi w duchu. Obrzęd ten bardzo mi trudny”⁵⁹.

⁵⁵ Choćby ten z 16 marca 1843 roku (płaczący obraz Matki Boskiej).

⁵⁶ S. Goszczyński, *Dziennik Sprawy Bożej*, op. cit., s. 54.

⁵⁷ Ibidem, s. 70.

⁵⁸ Słowa Mickiewicza z listu do Ignacego Domeyki (Paryż, 24 października 1842). Cyt. za: A. Mickiewicz, *Dziela*, t. XVI, Warszawa 2004, s. 111. Kilka miesięcy od wypowiedzenia tych słów, autor pisanego wówczas *Księdza Marka* prawdopodobnie tej opinii już nie podzielał, gdyż zyczajnie „upadł” (nie zwrócił się do Mistrza z prośbą o medalik). Por. list Mickiewicza do Ferdynanda Gutta z 3 czerwca 1843 (ibidem, s. 172 oraz komentarz wydawców do tegoż listu).

⁵⁹ Tamże. Sprawozdania z tej wyjątkowej chwili, w wersji zarówno Goszczyńskiego, jak i Mickiewicza, przytoczyła Witkowska w swej monografii towianizmu, w rozdziale opisującym obrzędy oraz relacje panujące wewnątrz sekty, dając znaczący komentarz, w którym podkreśliła rolę pokory i płaczu w obrzędach towiańczyków: „Całowanie rąk i obłapianie nóg są to tzw. gesty pokory, analogiczne do płaczu pokory. Tak więc chodziło nie tylko o urzędowo dozwolone emocje, ale o odpowiednie ich zabarwienie znaczeniowe. Ponieważ pokora jako cnota moralna ceniona była najwyższej, przeto można było do woli całować ręce i obłapiać nogi, ćwicząc publicznie własną pokorę i szlachając równie pokornym płaczem”. A. Witkowska, *Towiańczycy*, op. cit., s. 103.

Znamienne jest, że autor *Zamku kaniowskiego* nie wylewał łez w listach. Nawet w tych pisanych do bliskich mu wówczas osób: Lucjana Siemieńskiego, Józefa Bohdana Zaleskiego czy Ludwika Nabelaka, nie znajdziemy podniosłych wzruszeń, które – co prawda nieczęsto – pojawiały się na kartach *Dziennika*, dotyczących interesującego tu nas przedziału czasowego.

Odpowiadając na pytanie o to, jak płakał Goszczyński, wypadnie stwierdzić, iż płakał „od święta”⁶⁰. I to dosłownie chyba, gdyż dzień każdego ze świąt ustanowionych przez sektę był potencjalnym powodem do wylewu łez. Sięgając z kolei do typologii, którą zastosowaliśmy w opisie płaczu Słowackiego, można łatwo stwierdzić, że Goszczyński, jak wielu innych braci, płakał na sposób „duchowy”. Powodem płaczu stawały się najczęściej wzruszenie, nabożność, poczucie wyjątkowości i podniosłości chwili, obcowanie z świętością... Jak pisał Émile M. Cioran, łyż są śladami świętych...⁶¹

W przypadku towiańczyków, traktowanych jako zbiorowość „płacząca”, należałoby raczej mówić o ich niezwyklej skłonności do popadania w egzaltację, która niekoniecznie musiała objawiać się płaczem. Lecz zawsze w perspektywie ponadindywidualnej, dominowała liczba mnoga: „Sztandar Chrystusa, któryśmy dzisiaj uczcili łzami naszej miłości, ukazał się całemu światu w świetle niebieskiego zjawiska. Biada temu, kto ma oczy, a nie widzi”⁶². To o słynnym sztandarze Koła oraz o komecie, tej samej, w której Słowacki zobaczył boski znak przyświadczejący związkowi serc braci⁶³. Natura większości sekt ma to do siebie, że czyni z ludzi automaty. Tak też było z towiańczykami, co w końcu, wiele lat później, kronikarz Sprawy Bożej dostrzeże. Słowacki ujrzał to bardzo szybko. Otworzył oczy już po kilkunastu, jeśli nie po kilku miesiącach, by móc płakać tak jak dawniej, choć w rzeczywistości, po doświadczeniu towianistycznym, ani myśli, ani słowa, ani też łzy nie mogły być już takie, jak przedtem, narodził się bowiem poeta-mystyk...

Zygmunt Krasiński, wielki przeciwnik towianizmu, płakał również często jak Słowacki, przynajmniej w listach, i to nie tylko tych adresowanych do Delfiny. Zaczęliśmy od niego, na nim przeto zakończmy, gdyż płacz i egzaltacja w ostateczności okazują się nicią łączącą wierzących w

⁶⁰ O tym, co Słowacki sądził na temat świąt pisał J. Ławski, interpretując *Święta przyszłe narodowe*. Zob. J. Ławski, *Ironia i mistyka. Doświadczenia graniczne wyobraźni poetyckiej Juliusza Słowackiego*, Białystok 2005 (rozdział szósty).

⁶¹ Zob. É. M. Cioran, *Święci i łyż*, przełożył i wstępem opatrzył I. Kania, Warszawa 2003, s. 9.

⁶² S. Goszczyński, *Dziennik Sprawy Bożej...*, s. 54.

⁶³ D. Sosnowska, *Seweryn Goszczyński...*, dz. cyt., s. 160: „Wzruszeniowość towiańczyków śmieszy lub irytuje, wzbudzając zarazem wątpliwości, jak ją traktować: jako skrajną postać romantycznej mody na czułość? Przejaw sekciarskiej patologii? Rodzaj teatru? Każda z tych interpretacji wyjaśnia jakiś aspekt towianizmu. Dorzucić można jeszcze jedną, religijną, traktującą wzruszenie dobrocią Pana jako efekt stanu zwanego świątobliwością”.

wyższy porządek rzeczywistości. No i jest jeszcze coś, co łączyło ich wszystkich, a mianowicie cesarz Francuzów. Pisał autor *Irydiona*:

Zzimniałem jak trup [...] – i potok łez wylał mi się z ocz. Szlochałem, jak Ty w Fryburgu – czując śmierć zimna w głębi serca, i serce strasznie bolało. Wołałem wciąż w głębi duszy: „Dialy, Dialy”, potem zostałem na krześle niewzruszony i już nie poszedłem do nikogo. Zostałem z moimi dobrymi i wiernymi i wielkim duchem Napoleona, dowodzącego, że Chrystus Bogiem⁶⁴.

mgr Marcin Bajko – pracownik Katedry Badań Filologicznych „Wschód-Zachód” Instytutu Filologii Polskiej UwB. Autor studiów poświęconych twórczości polskich romantyków oraz modernistów. Edytor polemicznej rozprawy Tadeusza Micińskiego *Walka o Chrystusa* (Białystok 2011), wydanej po raz pierwszy od publikacji pierwodruku oraz autor tomu studiów poświęconych twórczości tego pisarza – *Heroiczna apokalipsa* (Białystok 2012).

⁶⁴ List do Delfiny Potockiej z 9 stycznia 1843 r. Cyt. za: Z. Krasieński, *Sto listów do Delfiny*, dz. cyt., s. 92.



ANNA NOSEK

DZIECKO W SZTUCE STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO¹

W albumie malarstwa Stanisława Wyspiańskiego z 1925 r., przygotowanym przez Stanisława Przybyszewskiego i Tadeusza Żuka-Skarszewskiego czytamy:

W studiach Wyspiańskiego dziecko odgrywa rolę naczelną, a jest to zawsze dziecko-dramat. Dramat – to niemowlę u piersi, w którym chęć życia, instynkt walki o byt, ujawnią się z tak szczerą, bezwzględną, brutalną niemal siłą. Dramat – to dziecko, jakby po raz pierwszy dostrzegające świat zewnętrzny i patrzące nań okiem zdziwionym, olśnionym, w którego głębiach wszczałek myśli się budzi. Dramat – te dziewczęta miejskie, blade, anemiczne, skrofoliczne, wpatrujące się w chudą roślinkę w doniczce, czy łapczywie wchłaniające całą woń fiołka z głodem, nienasyconym nigdy.

Dramat – te podlotki, zaniepokojone zagadką życia, nieznaną, odgadywaną, straszającą, ponętą. Dramat – to Macierzyństwo: psychologiczna zagadka pokoleń, myślą, czuciem i instynktem skupionych około początku życia, u samego źródła. Czy one ładne? O, nie! Ale piękne, niezmiernie piękne siłą i obnażoną prawdą wewnętrzną, która z nich bucha².

¹ Artykuł stanowi nieznacznie zmienioną wersję niepublikowanego referatu, wygłoszonego na studenckiej konferencji *Krakowskim szlakiem Młodej Polski* w 1999 r., powstał on pod kierunkiem prof. Jadwigi Zacharskiej.

² *Stanisław Wyspiański. Dzieła malarzkie*, tekst napisali S. Przybyszewski i T. Żuk-Skarszewski, indeks opracował S. Świerz, Bydgoszcz 1925, s. 64, 66.

Dziecko w sztuce Wyspiańskiego to również dla współczesnego badacza bardzo ciekawe zagadnienie interpretacyjne, ewokujące mnogość znaczeń, może właśnie dlatego, że stanowiło dla samego autora *Wesela* tajemnicę, a jednocześnie wartość szczególną, „obiekt”, z którym był emocjonalnie związany. Znajduje to potwierdzenie przede wszystkim w jego malarstwie. Wyspiański z wielką pasją, wielokrotnie portretował zarówno własne, jak i cudze potomstwo, z fotograficzną wręcz dokładnością próbował uchwycić specyfikę dzieciństwa i różnych jego etapów.

Fascynacja „małym człowiekiem” ujawnia się u tego artysty już w początkach twórczości artystycznej. W 1894 roku umieszcza on w witrażu *Polonia* nagich chłopców wyciągających ręce ku Madonnie (zdaniem Urszuli Makowskiej jest to ujęcie secesyjne), a rok później chce wprowadzić dzieci wyobrażające Aniołów do kościoła Franciszkanów. Te dwa wczesne ujęcia dzieci mają wartość szczególną z tego powodu, że sytuuje się je wobec sacrum. Związek dziecka z sacrum, czy szerzej z transcendencją (podobnie jak motyw nietrwałości tej fazy istnienia) jest bowiem równie ważnym kluczem interpretacyjnym do wielu portretów dziecięcych Wyspiańskiego, jak ich powiązanie z secesją³, zwłaszcza że elementów secesyjnych (takich jak tło, ornament) nie ma na przykład w portretach niemowląt, zwłaszcza wtedy, gdy są jedynym modelem. Motywy kwiatowe pojawiają się zaś w ujęciach dzieci starszych lub tych najmłodszych, ale w otoczeniu osób dorosłych, np. matki. Na brak ornamentu, rekwizytów zwraca uwagę *Główka niemowlęcia*, najbardziej chyba szkicowa, pozbawiona koloru, tła, uchwycona jakby w pośpiechu, sprawiająca wrażenie niegotowej, nieukończzonej przez Wyspiańskiego. Takie ujęcie najlepiej chyba oddaje istotę dzieciństwa jako fazy nietrwałej, w której człowiek staje się, a nie jest. „Niekompletność” portretu niemowlęcia wskazuje jednocześnie na status niepełnego istnienia, jego nieukończoność. Brak dodatkowych rekwizytów na portretach dzieci najmłodszych świadczy jednocześnie o porażeniu, zdominowaniu autora tematem dzieciństwa, które nie potrzebuje ozdóbek. Samo w sobie zachwyca, jest tajemnicą wartą zgłębienia.

Dzieciństwo nabiera w malarstwie Wyspiańskiego cech autonomicznych, a jednocześnie ulega indywidualizacji. Twórca zarzuca wzorzec mały – dorosły, czy klasyczny model dzieci upozowanych, a zauważa specyfikę dzieciństwa jako fazy życia różniącej się od dorosłości. Wy-

³ Stąd trudno do końca zgodzić się z U. Makowską, która widzi w obrazach dzieci, zarówno starszych, jak i najmłodszych jedynie ich powiązania z secesją. Młodsze dzieci, zwłaszcza te z licznych *Macierzyństw*, egzemplifikują, zdaniem badaczki, żywotność i płodność natury, zaś starsze - wanitatywne siły natury, przypominając, według niej, zasuszone kwiaty: „Są równie jak one nietrwale i kruche”, kiedy opierają w geście znużenia głowę na dłoni, na stole, na poręczy krzesła. Zob. szkic U. Makowskiej, *Dziecko w malarstwie polskiego modernizmu*, w: *Mit dzieciństwa w sztuce młodopolskiej*, Warszawa 1992, s. 26.

Wypiański eksponuje naturalność i piękno dzieci najmłodszych, ich pyzate buzie, potargane włosy, usta, do których spontanicznie wkładają palce. Poprzez szeroko otwarte oczy niemowlęcia, czy rozchylone usta dużej ilości małych modeli (*Główka Helenki* 1901, *Portret synka* 1901) pokazuje też malarz zdziwienie, a zarazem zaciekawienie otaczającym światem.

Indywidualną cechą dzieciństwa w twórczości krakowskiego artysty jest też androgynizm, brak ukształtowanej płci. Stąd pojawiają się na portretach chłopcy przypominający dziewczynki (*Portret synka* 1901, *Śpiący Staś* 1904), które to podobieństwo podkreślają elementy dziecięcych fryzur (potargane długie włosy) i stroju (luźne sukienki). Tej fazie życia przysługują jednocześnie charakterystyczne kolory: biel, jasne brązy, żółcie, błękity. Jednobarwne stroje, pozbawione ornamentów i ozdób wydobywają delikatność sylwetki, subtelność, piękno jasnych, okrągłych twarzy dziecięcych, ich niewinność i doskonałość.

W ciekawy sposób akcentuje autor *Wyzwolenia* związek najmłodszych dzieci ze sferą sacrum. Widać go w kilku wersjach *Macierzyństwa*, gdzie Wypiański stylizuje swą żonę na Matkę Bożą trzymającą Dzieciątko Jezus. Ujęcie takie powtarza się także w jego twórczości dramatycznej. W akcie II *Wyzwolenia*, rozdarty, poszukujący swego miejsca Konrad, po starciu z Maskami, wkracza w przestrzeń domu. Widzi izbę mieszkalną i oświetlone drzewko, zawieszane u stropu. „Nad kolebką pochylona matka ssać daje piersi dzieciątku i kołysze się w takt nuconej półgłosem kołędy. Aniołowie to obstawili kolebkę chórem” – czytamy w didaskaliach⁴. Widok ten wywołuje w Konradzie tęsknotę za żoną, dzieckiem, ale też zachwyty nad tajemniczym misterium macierzyństwa, prowadzący do sakralizacji kobiety i dziecka, ich stylizacji na Świętą Rodzinę. Wypiański wskazuje na ubóstwienie tego, co jest codziennością (dziecko ssące pierś) poprzez zbliżenie kontekstu Bożonarodzeniowego wyczekiwania na Mesjasza, z widokiem matki pochylonej nad kołyską. Dalej Konrad mówi:

Gwiazdka zeszła i świeci,
nad kolebką dziecięcą,
nad miłością zabłysła matczyną.
Światło błysło stuleci,
Radość nocy tej święcą:
Gwiazda zeszła nad ŚWIĘTĄ RODZINĄ.

Oto dziecię w kolebce,
matka nad nim schyłona.
Okolo niej Anieli?
Domże to mój? Mnie żona?⁵.

⁴ S. Wypiański, *Wyzwolenie. Noc listopadowa*, Kraków 1987, s. 125.

⁵ Tamże, s. 127-128.

Oprócz sakralności macierzyństwa eksponuje autor *Wesela* jego piękno i tajemniczość. Doskonale oddaje to obraz *Macierzyństwo* (1905), na którym widzimy oprócz dziecka z matką, dwie identyczne dziewczynki (obraz ten określił sam Wyspiański jako *Zonę z Helenami*). Jedna z nich całkowicie skoncentrowana na misterium macierzyństwa, z zaciekawieniem i ogromnym przejęciem wpatruje się w ssące pierś dziecko, druga zaś – sprawia wrażenie nieobecnej, oddającej się marzeniu i kontemplacji nad fenomenem bycia matką⁶. Wychodzi się tu więc poza mechanistyczne traktowanie przyrody – biologia staje się tajemnicą, którą człowiek obserwuje i zgłębia.

Także w późnej fazie dzieciństwa dostrzega Wyspiański elementy charakterystyczne. Ponieważ dzieci starsze sytuują się bliżej dorosłości, ich twarze, zwłaszcza dziewczynek, są pociągłe, mają już ukształtowane, ostrzejsze rysy (*Dziewczynka*, *Popiersie dziewczynki*, *Głowa chłopca*). Uwagę zwracają przeświecające, jasne cery, smutne miny, pozy zdradzające skupienie i zamyślenie, a także bierność czy widoczna na kilku portretach dziecięcych pobożność, poszukiwanie transcendencji przez dzieci (*Portret Helenki*).

Motyw pobożności, a co za tym idzie powaga i smutek starszych dzieci powtarzają się również w dramatach Wyspiańskiego. Oczy wpatrzone w niebo, skupienie i zamyślenie, nadmierna wrażliwość wynikająca z pełnienia funkcji „pośrednika Boga” to cechy charakterystyczne Joasa z dramatu *Sędziowie*. W didaskaliach czytamy, że żydowski chłopiec „patrzy (...) szeroko rozwartymi, jasnymi oczyma; włos rudy o złotawym połysku (...). Cera przeświecająca, różowa i biała (...), rękawy koszuli nie zapięte, odsłaniające chude, wątłe ciało (...), bosa łydki i haftowane pantofelki bez napiętków”⁷. Typ postaci, jaki reprezentuje Joas, czy większość starszych dzieci z pasteli Wyspiańskiego jest charakterystyczny dla malarstwa prerafaelickiego. Chude, wątłe ciało, wiotkość, bladeść, a szczególnie biel twarzy miały odkrywać w obrazach prerafaelickich „duchową istotę człowieka”, a same postacie swoim zachowaniem, czy wyglądem sugerowały istnienie transcendencji. M. Podraza-Kwiatkowska zwraca szczególną uwagę na oczy postaci prerafaelickich, przez które następuje kontakt ze światem idealnym⁸. Podobnie jak na większości portretów dziecięcych autora *Akropolis*, są one zazwyczaj jasne, duże, zapatrzone w dal lub w niebo, niewidzące (*Główka Helenki* 1895, 1900, *Dziewczynka w czerwonej sukience* 1895). Zdaniem M. Podraza-Kwiatkowskiej ślepiec,

⁶ Bardzo ciekawą interpretację tego obrazu jako portretu zdwojonego przedstawił W. Bałus, zob. tenże, *Do granic tożsamości. O portretach zdwojonych Stanisława Wyspiańskiego*, w: *Stanisław Wyspiański. W labiryncie świata, myśli i sztuki*, pod red. A. Czabanowskiej-Wróbel, Kraków 2009, s. 349-350.

⁷ S. Wyspiański, *Sędziowie*, w: Tegoż, *Dramaty*, t. 2, Kraków 1970, s. 399.

⁸ M. Podraza-Kwiatkowska, *Symbolizm i symbolika w poezji Młodej Polski*, Kraków 1994, s. 118-119.

albo „widzący ślepiec” w sztuce młodopolskiej symbolizował „bądź to niemożność ujrzenia prawdy, bądź to nieumiejętność – wobec przecucia istotnej prawdy – adaptacji w świecie otaczającym”⁹. Izolacja większości dzieci z portretów czy dramatów Wyspiańskiego bierze się więc także z ich związku z transcendencją, z boską prawdą, zakrytą przed oczami dorosłych. Podobnie sądzi J. Zacharska, kiedy pisze, że osamotnienie, hermetyczność dziecka modernistycznego ma swe źródło w roli boskiego pośrednika. Jest ono często bezbronne, nieświadome zła, które tylko przeczuwa (jak Joas)¹⁰. Mimo to staje się narzędziem Boga, jego prawdy (przez co zazwyczaj cierpi lub przynosi zgubę najbliższym). Izolacja i hermetyczność małego człowieka, która na obrazach Wyspiańskiego uwidacznia się choćby w geście zakrycia ust rączką (*Główka dziecka*, 1905) wskazuje także, że „świadomość i doświadczenia duchowe dziecięcych bohaterów są nieprzeniknioną tajemnicą, której oni nie chcą lub nie potrafią przekazać”¹¹.

Uwagę widza czy czytelnika zwraca bierność dziecka w utworach Wyspiańskiego, która wiąże się oczywiście z problemem izolacji, ale też przewagą życia duchowego nad realnym. Tak jak na portretach ukazane jest ono w stanie wyczekiwania, zasłuchania, w bezruchu, tak jego aktywność w literaturze „ogranicza się do samego istnienia w określonym kształcie lub biernego uczestnictwa w obrzędzie, do krótkich, jednozdaniowych oświadczeń czy odpowiedzi na pytania”¹². Zwłaszcza, że niektóre gesty dzieci, na przykład podpieranie ręką głowy, powtarzają się wielokrotnie zarówno na portretach Wyspiańskiego, jak i w dramatach. Ulubionym zajęciem Joasa, oprócz grania na skrzypcach jest „klęczenie na ławie, wspieranie łokciami stołu, a dłońmi twarzy”¹³. Bierność dorastających dzieci, podobnie jak ich „niewidzące oczy”, wiążą się, moim zdaniem, ze szczególnym rodzajem aktywności, polegającym na wysiłku zapatrzenia w głąb siebie, pracy wyobraźni. W tym sensie naśladują dzieci z portretów Wyspiańskiego szczególny typ człowieka dorosłego, stając się figurą bohatera modernistycznego, który również poszukiwał transcendencji oraz waloryzował działanie w sferze własnej świadomości.

Charakterystyczna, zwłaszcza dla portretów malarskich jest senność lub stan snu, w jakim przedstawia Wyspiański dzieci (*Śpiący Mietek*,

⁹ Tamże, s. 119.

¹⁰ O nieświadomości i związanej z tym niewinności dziecka, będącego pośrednikiem Boga wspominała J. Zacharska, powołując się zresztą na dziecko z *Achilleis*. O Troillusie Kasandra mówi: „Boś ty niewinny i masz w oczach czystość, / i twój wzrok jest pogodnie patrzący / i żeś ty niewiedzący”. Zob. J. Zacharska, *Świadectwo dziecka w literaturze Młodej Polski*, w: *Dzieciństwo i sacrum. Studia i szkice literackie, pod red. J. Papuźńskiej*, Warszawa 1998, s. 117.

¹¹ Tamże, s. 120.

¹² Tamże, s. 120.

¹³ S. Wyspiański, *Sędziowie*, dz. cyt., s. 399.

Śpiący Staś, Śpiące dziecko). Świadczy to o szczególnym zainteresowaniu autora *Legionu* snem, który zdaniem niektórych badaczy służy jako technika w niektórych dramatach tego artysty. Wpisuje go także w młodopolską fascynację somnambulizmem czy oniryzmem. Sen to motyw łączony przez twórców modernistycznych ze śmiercią, chęcią ucieczki od świata, nirwaną w przypadku dekadentów, lub ze światem duchowym (wzorzec prerafaelicki)¹⁴. Nie można jednak do końca stwierdzić, czy sen dziecka w sztuce Wyspiańskiego można interpretować jako wyraz jego izolacji, chęci ucieczki od życia (co łączyło by dziecko z jednostką modernizmu). Bezdyskusyjny za to jest fakt widocznej w stanie snu tajemniczości małego człowieka oraz duchowej aktywności, która dopiero wtedy może znaleźć ujście (przebywa on bowiem w świecie irracjonalnym, pozazmysłowym, zakrytym przed dorosłymi). Swoistość śpiącego dziecka w sztuce Wyspiańskiego polega jednocześnie na eksponowaniu jego bezbronności, a także nieświadomego otwarcia na świat i transcendencję, które wyraża gest rozłożonych rąk.

Ostatnią rzeczą, na jaką warto zwrócić uwagę w twórczości krakowskiego artysty, jest skojarzenie dorastającego człowieka ze śmiercią. Jako egzemplum można przywołać obraz *Dziewczynki gaszącej świecę*, w dramatach natomiast motyw śmierci dziecka jest obecny stale (pełni jednak nieco inną rolę niż w malarstwie). Gest dziewczyny gaszącej świecę to, zdaniem U. Makowskiej, wyraźna aluzja do czynności pacholącego Thanatosa¹⁵. Elementami wanitatywnymi są też, według niej: znużenie, płaskie przeźrocyste twarze dzieci, przypominające zasuszone kwiaty, czy pojawiające się motywy ściętych kwiatów. Pokrewieństwo dziecka starszego z pasteli Wyspiańskiego ze śmiercią ma jednak również charakter metaforyczny i można je traktować jako symbol przemiany, przechodzenia w kolejną fazę życia – w dorosłość. Śmierć wiązałaby się zatem z umieraniem w małym człowieku dzieciństwa, czemu towarzyszy nieuchronnie smutek, melancholia. W takim ujęciu widać jednocześnie charakterystyczną w sztuce i literaturze Wyspiańskiego filozofię życia, pojętego jako „proces nieubłaganego spalania się”. Jak stwierdził Jan Błoński: „Jego dzieła plastyczne ukazały ten proces od strony egzystencjalnej i biologicznej – stąd ich melancholia; jego dzieła literackie od strony historii i obowiązku – stąd ich surowy klimat i patos moralny”¹⁶.

Dziecko w sztuce Wyspiańskiego staje się odzwierciedleniem uniwersalnych prawd o życiu, o człowieku, jest też pewnym fenomenem, in-

¹⁴ Zob. rozdział *Somnambulicy. O młodopolskiej konwencji onirycznej*, w: M. Podraza-Kwiatkowska, *Somnambulicy – dekadenci – herosi. Studia i eseje o literaturze Młodej Polski*, Wrocław 1985, s. 147-161.

¹⁵ U. Makowska, *Dziecko w malarstwie polskiego modernizmu*, dz. cyt., s. 27.

¹⁶ J. Błoński, *Wyspiański wielokrotnie*, oprac. i red. M. Borowski, M. Sugiera, Kraków 2007, s. 30.

dywiduum posiadającym cechy nieobecne u dorosłych. Malarz wychwytuje nietrwałość tej fazy życia modela, jej związek ze sferą sacrum, a także pokazuje piękno i tajemniczość samego dzieciństwa, które wiąże się z jednej strony z izolacją, nieumiejętnością komunikacji ze światem, z drugiej – otwarciem na świat i transcendencję. Interesujące jest również to, że Wyspiański zauważa i podkreśla, szczególnie na obrazach, wewnętrzne zróżnicowanie samego dzieciństwa, jego kolejne fazy, prowadzące nieuchronnie ku dorosłości.

Dr Anna Nosek – adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu w Białymstoku (Zakład Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa). Prowadzi badania z zakresu literatury polskiej XIX wieku, literatury dziecięcej i czytelnictwa. Jest autorką ponad 30 publikacji, w tym – dwóch antologii: *Matka, macierzyństwo w poezji Młodej Polski*. (2007), *Podlascy twórcy dzieciom. Wybór wierszy* (2009).



MAGDALENA BAJKO

ŚMIERĆ TO NIE DZIURA TYLKO ŻYCIE DALEJ

– WSPOMNIENIE

O KSIĘDZU JANIE TWARDOWSKIM

Czy możliwa jest prostota w mówieniu o sprawach ostatecznych? Jak przełamać językowo-mentalne tabu, pogodzić się z życiem i świadomością jego nieuniknionego finału? Wreszcie – jak pisać o kwestiach niepoetyckich i drażliwych, jak połączyć kapłańską wrażliwość i wiarę z niełatwą, częstokroć rozczarowującą codziennością?

Odpowiedzi na te pytania przez całe swe życie poszukiwał ksiądz Jan Twardowski. 18 stycznia 2013 roku przypadła siódma już rocznica śmierci „pogodnego kapłana”, który śmierć nazywając „chwilą największej nadziei”, dał wyraz swej niezwykłej wierze w to, iż będzie to moment

kiedy „nareszcie wszystko się wyjaśni [...] tamten świat, który tylko sobie wyobrażaliśmy, odsłoni się”¹.

Ksiądz Twardowski – poeta uśmiechu i „wiary malutkiej”, to także (o czym zazwyczaj się nie wspomina) poeta smutku i rozpacz, mający świadomość ich nieuchronnej obecności w codziennym życiu. Co więcej – był kapłanem, który nie unikał na przykład tak marginalizowanego przez duchownych tematu, jakim jest samobójstwo:

Wuj sznur przygotował
żeby się powiesić
jak żyć – kiedy czarne wszystko

ale to nieprawda
przybiegła przyłaszczka
pod nos mu podetknęła
sześć niebieskich listków
(*Sześć listków*)

Nikt w wierszach Twardowskiego nie został potępiony – ani ten, kto się powiesił: „mój synku powieszony aleś się pomylił” (*Powieszony pomyłony*), ani ten, o którym poeta pisze „wiem o tym, że nie wierzysz...” (*Preludium deszczowe*). W jego poezji znalazło się miejsce na niewiarę i zwątpienie, miłość i rozpacz, radość i samotność.

Twórczość księdza Jana Twardowskiego uznana została przez krytyków i badaczy literatury za poetycki fenomen przełomu wieków – czasów, które śmiało określić można mianem „niepoetyckich”. Podczas gdy znawcy rynku wydawniczo-czytelniczego z niepokojem obserwowali spadek społecznego zainteresowania zjawiskami literackimi, poszczególne tomiki jego wierszy i liczne wznowienia były chętnie kupowane, czytane i komentowane. Ksiądz Twardowski to bez wątpienia jeden z najbardziej znanych i najczęściej cytowanych polskich poetów ostatniego dwudziestolecia. Znamienne słowa „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...” przytaczane są zawsze wtedy, gdy pragnie się wyrazić smutek i żal z powodu czyjegoś odejścia. Nie każdy zdaje sobie jednak sprawę z tego, iż wyszły one spod pióra skromnego, warszawskiego kapłana, który całe swe życie poświęcił służbie Bogu i ludziom.

Jan Twardowski był twórcą niezwykle, traktującym siebie i swoje utwory z wielkim dystansem, tak rzadko spotykanym wśród poetów. Z zadziwiającą szczerością przyznawał, że wiersze pisze tylko w czasie wakacji, więc wcale nie czuje się pełnoprawnym poetą. Każde spotkanie z tłumami rozentuzjasmowanych czytelników było dla niego zarówno zaskoczeniem, jak i ogromnym duchowym przeżyciem. W rozmowie z He-

¹ *Jestem bo jesteś. Z księdzem Janem Twardowskim rozmawia Helena Zaworska*, Kraków 1999.

leną Zaworską poeta przyznawał: „(...) to, że ludzie czytają moje wiersze, uważam za łaskę Bożą, inaczej nie mogę tego zrozumieć. Jakiś starszek coś skrobie i nie szuka żadnego wydawcy, sami przychodzą, wydają, ludzie biorą do ręki. Przecież to nie jest takie dobre, a jednak...”².

Autor *Znaków ufności* nade wszystko czuł niepowtarzalną i jedyną więź ze Stwórcą i choć – jak sam przyznawał – nigdy nie widział Go oczami, to dostrzegał boskie działanie we wszystkim, co dane mu było przeżyć. Doskonale rozumiał też potrzebę bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem, z człowiekiem przytłoczonym życie i zagubionym pośród codzienności. Ksiądz Twardowski pochylał się nad każdym z osobna, nad ludzkimi problemami i słabościami, cieszył się w chwilach czyjegoś szczęścia i smucił się, gdy widział, że komuś jest źle. Zawsze jednak wierzył w mądrość Bożych zamysłów i pragnął pokazać czytelnikom, jak ważną i niezwykłą wartością jest nadzieja. W jednym ze swych najpiękniejszych wierszy pisał:

Nie płacz w liście
 nie pisz że los ciebie kopnął
 nie ma sytuacji na ziemi bez wyjścia
 kiedy Bóg drzwi zamyka – to otwiera okno
 odetchnij popatrz
 spadają z obłoków
 małe wielkie nieszczęścia potrzebne do szczęścia
 a od zwykłych rzeczy naucz się spokoju
 i zapomnij że jesteś gdy mówisz że kochasz.
 (Kiedy mówisz)

Ksiądz Jan traktował potencjalnego czytelnika nie tylko jak kogoś bliskiego, z kim można porozmawiać, komu można się zwierzyć ze swych słabości, lecz również jako kogoś, komu wiele kwestii trzeba wytłumaczyć. Pogodny kapłan konstruował swe wiersze tak, aby ich odbiorca stawał się współuczestnikiem i partnerem w kontaktach z Bogiem, aby nie odczuwał przejmującego dystansu, jaki pomiędzy Bogiem a człowiekiem stworzyła teologia.

Twórczość autora *Powrotu Andersena* ma charakter bardzo osobisty, przenosi w wielowymiarową, intymną sferę relacji ze Stwórcą prowadzonych z dwóch perspektyw – ludzkiej i kapłańskiej. Jak zauważył Waldemar Smaszcz: „Poeta (...) pozwala wejrzeć czytelnikowi zarówno do swojej duszy jak i warsztatu pisarskiego, nie ukrywa przed nim własnego trudu, jaki podejmuje, by nadać właściwy kształt językowy owym niełatwym sprawom, o których mówi”³.

² *Jestem bo Jesteś*, dz. cyt., s. 27.

³ W. Smaszcz, *Ks. Jan Twardowski. Poeta nadziei*, Białystok 2003, s. 8.

Pisanie o kwestiach religijnych to zadanie trudne, zważywszy na fakt, iż dotyka się jednej z najdelikatniejszych sfer funkcjonowania człowieka – sfery *sacrum*. Twórczość chrześcijańska pełna jest monumentalnych, przepelnionych patosem dzieł, traktujących Boga jako nieosiągalnego, dalekiego, potężnego władcę, którego należy wielbić przy pomocy przesyconych ekspresją słów. Nie brakuje również utworów, w których ważne problemy przesłonięte zostały wizyjnym rozmachem uniemożliwiającym czytelnikowi dotarcie do ukrytych sensów.

O poecie bardzo trafnie wyraziła się Magdalena Żelasko, pisząc, iż: „Jan Twardowski nadał poezji religijnej nową jakość, stworzył model diametralnie różny od tradycyjnego i urzędowego pisania o Bogu i wierze”⁴. Jego niestereotypowe widzenie spraw wiary spowodowało, że język dotychczasowej poezji religijnej okazał się daleki i nieprzydatny. Twierdził, że: „Słowa są zmęczone, te słowa, którymi mówi się do Boga, o Bogu. Szuka się więc nowych słów”⁵. Pogodny kapłan uważał, że wykwinny język do Pana Boga nie pasuje, unikał więc skomplikowanej metaforyki i wyszukanych środków leksykalno-stylistycznych. Postulował powrót do ewangelicznych korzeni liryki religijnej, kiedy to wszelkie prawdy przekazywane były językiem prostym, pozbawionym literackiej ornamentyki i teologicznej nadbudowy. Książd Twardowski „po mistrzowsku łączył poetyckie figury z mową potoczną, zabawne spostrzeżenia z refleksjami natury filozoficznej i estetycznej. Oszałamiał odbiorcę sposobem widzenia świata, bogactwem szczegółów, niepospolitą oczywistością paradoksalnych obserwacji i zaskakujących wniosków”⁶. Sam poeta przyznawał, że: „Tajemnica wewnętrzna Boga, świata, człowieka jest tak wielka, że nie ma możliwości, by ją ogarnąć i nie ma słów, by ją wyrazić”⁷.

Poetyckie portrety postaci takich jak Bóg Ojciec, Jezus Chrystus i Matka Boża skonstruowane zostały w sposób zupełnie nowy, daleki od wszystkiego tego, do czego przyzwyczała nas tradycja chrześcijańska i dotychczasowa liryka religijna. Oto najważniejsze czynniki leksykalno-stylistyczne, dzięki którym poeta osiągnął tak niezwykle efekt.

1. Prostota języka i kolokwializmy

Prostota stanowi jeden z podstawowych wyznaczników nadających kształt utworom księdza Jana. W przeciwieństwie do poetów współczesnych, poszukujących niezwykle, nowatorskich form wyrażania swej twórczej ekspresji pogodny kapłan konstruował swoją poezję przy pomo-

⁴ M. Żelasko, *Nie przyszedłem pana nawracać... Szkic o życiu i twórczości ks. Jana Twardowskiego*, Wrocław 2007, s. 77.

⁵ *Jestem bo Jesteś*, dz. cyt., s. 87.

⁶ M. Żelasko, dz. cyt., s. 77.

⁷ *Jestem bo Jesteś*, dz. cyt., s. 93.

cy słów najprostszych, a dzięki temu najbardziej zrozumiałych. Za niedościgniony wzór Twardowski uznał Ewangelię, która zapisana została przez niewykwalifikowanych literacko uczniów Jezusa Chrystusa. Zdaniem autora *Znaków ufności* jasno nazywa ona różne zjawiska i stany, a wszelkie niejasności stara się wytłumaczyć w sposób obrazowy. Ksiądz Jan postanowił więc konsekwentnie pracować nad językowym kształtem własnych wierszy, tak, aby problematykę religijną móc wyrazić za pomocą najprostszych środków językowych. O swoim zamiarze pisał w sposób następujący:

Postanawiam popracować nad tym
 żeby się pozbyć
 byka retoryki
 wazeliny stylizacji
 galanteryjnych pauz
 wypucowanej składni
 lirycznego śmietnika
 żeby zimą przyklęknąć
 i przynieść Ci niewykwalifikowaną ręką
 baranka śniegu.

(*Postanowienie*)

Poeta sięgnął po mowę potoczną, używaną przez ludzi podczas codziennych, nieoficjalnych kontaktów. Dzięki temu likwidował dystans wywoływany przez skomplikowany pod względem pojęciowym i składniowym język teologiczny. Ksiądz Jan pragnął odnaleźć złoty środek umożliwiający przekazanie tego, co najważniejsze bez nadmiaru słów. Obawiał się nade wszystko wierszy „przegadanych”, wołał pozostawić skłaniające do refleksji niedopowiedzenie niż powiedzieć choćby o jedno słowo za dużo. W jednym z utworów prosił samego siebie:

Żebyś (...) nie zamykał się w budce poezji –
 kiedy trzeba mówić najprościej
 o Matce Najświętszej
 o cierpliwości sakramentów dłuższej niż życie
 o ciepłym pomruku schodów po których niosą nadzieję chorym
 o śniegu który padając na ręce – uczy chyba rozdawania
 o Jezusie który nieraz wygląda między nami
 jakby chodził od nie swoich do obcych.

(*Do samego siebie*)

Ksiądz Twardowski wykorzystywał w swoich wierszach potoczne frazeologizmy, takie jak np. *zawracać w głowie* („Żebyś (...) *nie zawracał Ci głowy* kiedy układasz pasjanse gwiazd”), *być w gorącej wodzie kąpanym*, *nie mieć piątej kleпки* („Wierzę w Boga / z miłości do (...) dziewczynki *bez piątej kleпки*”), *coś się przewracało w głowie* („Tylko nam się *w głowie przewracało*”), *być sam jak palec* („Nie proszę o tę samot-

ność najprostszą / pierwszą z brzoza / kiedy zostają sam jeden jak palec”), piątą przez dziesiątą, wiercić komuś dziurę w brzuchu („nie będę panu wiercić dziury w brzuchu / pytając co pan sądzi o Mertonie”). Urszula Sokólska zwróciła uwagę również na to, że: „W celach stylistycznych Twardowski świadomie wykorzystuje kontaminacje, tj. skrzyżowanie dwu lub nawet trzech frazeologizmów, z których każdy wnosi do nowo utworzonej jednostki część swego składu leksykalnego”⁸. Kontaminacje związków frazeologicznych użyte zostały między innymi w takich wierszach jak *Nie sądz* („Mój ty w gorącej święconej wodzie kąpany”), *Żeby nie zasłaniał sobą Ciebie...* („żeby mi nie uderzyła do głowy święcona woda sodowa”), *Poza kolejką* („Matko Najświętsza spod ciężkiej betlejemskiej gwiazdy”). Dzięki frazeologizmom poeta dynamizował i ożywił język swoich wierszy, przybliżając go zarazem do mowy codziennej.

Kolokwializmy, czyli wyrazy pochodzące z języka potocznego sprawiają, że opisywane postaci i zjawiska charakteryzowane są w sposób dosadny i wyrazisty. W poezji księdza Jana duża frekwencja tego typu leksyki odnosi się do miłości, jako uczucia niedoskonałego i sprawiającego człowiekowi cierpienie. Wobec miłości poeta używał określeń takich jak na przykład: *wariatka*, *egoistka*, *gapa*, *idiotka*, *świnia*, *ślamazara*, *chamka*. W języku potocznym każdy z tych wyrazów ma asocjacje negatywne; ksiądz Twardowski, dokonując przewartościowania, ujemnie nacechowanych potocznych, sprawił, iż straciły one swój pierwotny wydźwięk.

W niektórych wierszach odnaleźć można kolokwialne zwroty skierowane wprost do czytelnika. Ich nadawcami są częstokroć postaci religijne, takie jak Bóg czy Matka Boska. Człowiek nazywany jest między innymi: *gluptasem*, *cymbalem* i *samolubem*. Wyrażenia te nie mają charakteru pejoratywnego, lecz likwidują dystans między poetą a jego czytelnikiem, wywołują efekt komitywy i przyjacielskiej poufałości. Dzięki użyciu tego typu leksyki Twardowski skonstruował niekonwencjonalne wizerunki świętych postaci, ukazał ich rozterki i ułomności. Krytycy i znawcy poezji religijnej przyznali zgodnie, że przewaga elementów pochodzących z języka potocznego nie umniejszała wcale rangi twórczości księdza Jana. Wręcz przeciwnie – kolokwializmy pozwoliły mu ukazać sferę *sacrum* z zupełnie nowej, zaskakującej perspektywy, przy czym nie umniejszało to w żaden sposób szacunku należnego opisywanym postaciom i zjawiskom.

2. Paradoksy

Twórczość Jana Twardowskiego zaliczana do nurtu literatury religijnej opiera się w znacznej mierze na paradoksach – sformułowaniach zawierających „sprzeczną wewnątrznie myśl, skłóconą z powszechnie ży-

⁸ U. Sokólska, *W gorącej święconej wodzie kąpany, czyli o frazeologii w poezji Jana Twardowskiego*, w: „Białostockie Archiwum Językowe” nr 4, Białystok 2004., s. 176.

wionymi przekonaniem⁹. Paradoxy są najczęściej wykorzystywanym środkiem wyrazu w liryce religijnej, gdyż umożliwiają wyrażenie sprzecznej natury Absolutu. Twardowski był przekonany, że o Bogu nie można mówić inaczej jak tylko przez paradoxy. Literacką inspirację dla autora *Zeszytu w kratkę* stanowiła barokowa poezja metafizyczna opierająca się na zaskakujących conceptach i niecodziennych słownych zestawieniach. Barok był jednak epoką nadmiaru i przesytu, co znajdowało swoje odbicie również w poetyckiej twórczości tamtego okresu. Pogodny kapłan nie zamierzał szokować czytelnika i przytłaczać go kunsztowną konstrukcją swoich wierszy, lecz przybliżyć wiernym skomplikowane zagadnienia wykraczające poza ludzkie możliwości poznawcze.

W swych utworach ksiądz Jan zestawiał ze sobą określenia sprzeczne pod względem semantycznym, wykluczające się nawzajem, by dzięki nim „wyrazić nieskończoność”, o czym pisał w wierszu *Surowy*. Bóg charakteryzowany jest jako *dobry* i *niemiłosierny* zarazem, *wszechmogący* i *pokorny*, *obecny* i *nieobecny*, Matka Boża jest natomiast tak *cudaowna*, że *zwyczajna*, tak *ludzka*, że *najświętsza* ze wszystkich istot. Dzięki antytetycznym zestawieniom opartym na grze brzmień i znaczeń wyrazów Twardowski wprowadzał do swych wierszy elementy oryginalne i zaskakujące, w niezrównany sposób wychwytyjąc dzięki nim zadziwiającą niezwykłość Bożych tajemnic.

3. Metafory i porównania

Autor *Powrotu Andersena* postrzegał dylematy wiary w sposób bardzo realistyczny, zdając sobie sprawę z faktu, iż wiele religijnych kwestii dla większości wiernych wciąż pozostaje zagadką, której wyjaśnienia nikt się nie podejmuje. Tradycyjna poezja religijna operowała skomplikowaną metaforyką i rozbudowanymi porównaniami, co w rezultacie prowadziło do zacierania istotnych sensów w niej zawartych. Podstawowymi wyznacznikami twórczości księdza były umiar i dbałość o istotę przekazu. Istotnymi czynnikami kształtowania atmosfery jego utworów były dosadne porównania i metafory, skonstruowane w oparciu o leksykę potoczną, najbliższą przeciętnemu, niewykwalifikowanemu literacko człowiekowi.

Tworząc niecodzienne wizerunki postaci religijnych, odwoływał się Twardowski do codziennych, ludzkich doświadczeń i zjawisk, jakie każdy z nas zaobserwować może w najbliższym otoczeniu. Bawiącą się wesoło Maryję poeta przyrównywał do *polskiego wróbla biegnącego po podwórku*, Matka Boża w ciężkich, grubych okularach była tak *ludzka jak nauczycielka nad klasówką z zielonym kleksem*. Pan Jezus jest zdaniem księdza Jana *omijany jak stary cmentarz choleryczny* i smutny niczym *łza*

⁹ M. Żelasko, dz. cyt., s. 101.

matki na starym kłęczniku. Dzięki świadomym zabiegom leksykalno-stylistycznym, poeta nakreślił obraz chrześcijaństwa dalekiego od jakiegokolwiek zinstytucjonalizowania, napuszonego i fałszywego zadęcia, dzięki czemu wszystkie prawdy filozoficzne i zasady moralne ukazane zostały w sposób bardzo prosty i przejrzysty, niepozbawiony jednak humoru, ironii i łagodnej drwiny¹⁰.

Echa twórczości Jana Twardowskiego nie umilkły wraz z jego śmiercią. Pozostawił on po sobie wiele poetyckich strof przesiąkniętych ciepłem, dobrocią i sympatią do człowieka. Odformalizował to, co przez wieki zagmatwała teologia, pokazał ludziom uśmiechnięte oblicze Pana Boga, lecz przyznał też prawo do zwątpienia i słabości wiedząc, że aby pojawiła się miłość – musi być samotność i rozpacz, do wiary dochodzi się poprzez niewiarę, śmierć zaś to „ciekawostka że trzeba iść dalej”¹¹.

mgr Magdalena Bajko – absolwentka filologii polskiej i bibliotekoznawstwa UwB, doktorantka Wydziału Filologicznego. Wśród jej zainteresowań badawczych znajduje się twórczość poetów takich jak m.in. B. Leśmian, J. Twardowski, A. Mickiewicz; koncepcja językowego obrazu świata oraz meandry współczesnej polszczyzny. Ponadto miłośniczka baśniowo-literackich światów, mitologii europejskich a także muzyki filmowej.

¹⁰ Por. U. Sokólska, dz. cyt., s. 182-183.

¹¹ Zob. *Nie bój się*, w: J. Twardowski, w: *Nadzieja, miłość, spisane pacierze*, Białystok 2007, s. 136.



EWA GORLEWSKA

SŁOWO ZERWANE Z ŁAŃCUCHA

W dziejowym ferworze czytania, interpretacji, obsesyjnej nieraz chęci przekuwania teorii na praktykę ginie (często bezpowrotnie) słowo. Wraz z nim, bez nadziei na zmartwychwstanie, umiera myśl, ziarno, które zasiał Autor. Jego ogród pełen idei, intencji, osobistych spostrzeżeń, zaczyna obrastać w roślinność zgoła nieprzewidzianą przez intelektualistę-ogrodnika. Pojawiają się w nim chwasty, które utrudniają, niekiedy uniemożliwiają dotarcie do pierwszych mieszkańców ogrodu. Ich korzenie nadal jednak tkwią w glebie, choć ta gęsto porośnięta jest samosiejkami i zielskiem. Czy da się oczyścić tę ziemię i pozwolić rosnąć kwiatom Autora?

Uratować słowo, ocalić ideę

Pragnę nakłonić do reinterpretacji pewnych idei, o których, co prawda, mówi się niepocholebnie, lecz nad którymi jednocześnie wciąż braknie głębszego namysłu. Wyrok skazujący wydawany jest w ich przypadku na fali raczej społecznego oburzenia, na mocy opinii tak zwanej większości, aniżeli w wyniku rzeczowej debaty i refleksji nad

treścią tekstów. Na publicznym indeksie ksiąg zakazanych znajdują się pisma Fryderyka Nietzschego. Nie pociesza fakt, że mają tam doborowe towarzystwo. Co ciekawe i przerażające zarazem, w dyskusjach nad wpływem (dodajmy: złym wpływem) pism filozofa, częściej pojawiają się lakoniczne omówienia najbardziej znanych z jego teorii, niż jego dzieło jako całości. Nie mówiąc już o patrzeniu na dorobek Nietzschego jako na pewien cykl - to przecież mogłoby zepsuć obrońcom moralności ich zabawę w naprawianie świata poprzez oczernianie autorów, którzy ośmielili się odstąpić od jedynie słusznej etyki chrześcijańskiej. W związku z tym, ani o widzeniu dzieła jako całości, ani tym bardziej o holistycznym ujęciu myśli Nietzscheańskiej, nie ma mowy. Twórczość zarówno Fryderyka Nietzschego, jak i innych kontrowersyjnych pisarzy jest demonizowana poprzez wyolbrzymianie wyrwanych z kontekstu twierdzeń przy jednoczesnym pomijaniu, przemilczaniu słów, które mogłyby zostać uznane za wartościowe. Trzeba przyznać, że ta wybiórczość okazała się iście szatańską (sic!) metodą w walce z myślącymi inaczej. Broń to niegodna uczciwej walki, lecz, o dziwo, skuteczna. Cel uświęca środki...? Czy nie jest to zasada propagowana przez odsądzanego od czci i wiary Machiavellego?

W potocznej świadomości, często opartej na nie na lekturze dzieł, lecz na utartych schematach interpretacyjnych, filozofia Nietzschego funkcjonuje w kontekście faszyzmu jako katalizator nacjonalistycznych przemian w świadomości Niemców pierwszej połowy XX wieku. Traktowana jest jako leżąca u podstaw zbrodniczej ideologii nazistowskiej, jedna z najniebezpieczniejszych myśli w historii. Trzeba przyznać, że to miazdząca opinia, z którą polemika wydaje się walką z wiatrakami. Znając treść dzieł niemieckiego filozofa, trudno pozostać obojętnym na tego rodzaju oskarżenia. Wobec podkreślanej przezeń niechęci zwłaszcza do antysemityzmu oraz wielu wzmianek donoszących się krytycznie do współczesnej filozofii kultury, tradycji i polityki niemieckiej, powiązania typu „nietzscheanizm-nazizm” jawią się bardziej jako nadużycie, niż jedna z możliwych ścieżek interpretacyjnych. Próbę obrony Nietzschego przed bezmyślnymi oskarżeniami stawiam sobie za cel pierwszorzędny. Nie tylko uważam, że o źródło każdej opinii należy pytać (zamiast zgadzać się nieśmiało z wątpliwymi często autorytetami), lecz jestem także przekonana, że jeśli widzimy choć cień szansy na obalenie krzywdzących autora mitów, powinno się odważnie podawać w wątpliwość zasłyszane informacje. Najczęściej podążanie linią obrony jest znacznie trudniejsze niż droga oskarżenia. Łatwiej jest bowiem wyłuskać słowo, zdanie, akapit, w którym

¹ Taki kierunek lektury proponuje Grzegorz Sowiński we wstępie do dzieła *Z genealogii moralności* Fryderyka Nietzschego.

doszukamy się niebezpiecznych moralnie treści i z ich pomocą piętrzyć spiskową teorię na temat autora, niż dementować, osłabiać nieprzychylnie komentarze, pokazując wybrane fragmenty utworów w lepszym świetle. W przypadku Nietzschego jest to o tyle trudne, że jego krytycy nie są całkiem bez racji. Ich błędem jest zbyt jednostronne odczytanie dzieł filozofa, jednak nie można odmówić im pewnej intuicji, która podpowiada, że niektóre zbyt radykalne poglądy Nietzschego mogły stać się inspiracją dla ideologów nazistowskich. Od razu chcę tu zasygnalizować moje dwie podstawowe wątpliwości. Po pierwsze, czy można winić pisarza, filozofa za to, że czytelnicy, dodam: często niezgodnie z wymową utworu, wykorzystują pojedyncze stwierdzenia do kreowania własnych idei? Po drugie uważam za niestosowne i z gruntu nieetyczne budowanie wizji poglądów filozofa, odwołując się przy tym tylko do wybranych jego twierdzeń. Pozbawianie treści jej kontekstu prowadzi do przekłamania, wypaczenia słów autora. Mam na myśli zarówno kontekst wewnątrztekstowy, jak i usytuowanie danego poglądu w całej twórczości filozofa. Zadanie pytania o znaczenie konkretnej idei dla całości poglądów uważam za kluczowe i fundamentalne dla rozumienia tego, co Nietzsche próbował przekazać swoim czytelnikom. Pewne jego poglądy zostały wchłonięte, zaadaptowane przez kontrowersyjnych ideologów, w których poczet można by zaliczyć Antona Szandora LaVey'a, Adolfa Hitlera, a także przez szereg artystów związanych z ruchem neopogańskim, czy satanistycznym. Nie należy zapominać również o dziesiątkach bohaterów dzieł literackich, którym nadano nietzscheański rys psychologiczny, a w ich usta włożono poglądy niemieckiego filozofa, często tylko po to, by podkreślić ich patologiczną osobowość oraz narcystyczne podejście do świata. Nie będę rozwijała w niniejszym tekście wątku recepcji dzieł Nietzschego w utworach literackich. Uważam, że jest to zagadnienie tak szerokie, że nie sposób rozwinąć go w kilkustronicowym tekście. Nie powinno się również łączyć kreacji twórców literatury z autentycznymi wypowiedziami polityków, ideologów, które miały bezpośredni wpływ na zmianę zastanej rzeczywistości.

Przewycięzanie siebie – wartość czy zagrożenie?

*Powiedz swojemu sercu:
"Ja jestem swoim własnym zbawicielem!"²*

Jedną z często przywoływanych koncepcji Nietzscheańskiej jest idea samoprzewycięzania. Stoi ona w opozycji do chrześcijańskiej, służalczej wobec Boga i ludzi postawy. Niemiecki filozof pomaga

² La Vey A.Sz., *Ogień-Księga Szatana-Piekielna diatryba*, w: tegoż, *Biblia Szatana*.

człowiekowi wstać z kolan i przybrać, pełną dumy i otwartości postawę pionową. Duma i otwartość to dwa filary, na których opiera się jestestwo osoby świadomej siebie, własnych zalet i ułomności. Na pierwszy rzut oka cechy te wydają się wzajemnie wykluczać. Jest to wrażenie mylące. Otóż duma jest tu rozumiana jako poczucie pewności wobec własnego "ja". Gdy wiemy, kim jesteśmy, gdy nasze poczucie własnej wartości jest silnie ukonstytuowane, niemożliwe do zachwiania, wówczas z większą otwartością i pewnością istniejemy w społeczeństwie. Większość ludzi jest słaba i nieskora do wysiłku. Nie chce szukać siły w sobie samych, bo to zadanie trudne i wymagające. Dowartościowuje się więc przez wywyższanie swoich najbardziej charakterystycznych cech: bezrefleksyjności, skłonności do ułatwiania wszystkiego, co się da, tchórzostwa wobec swoich poczynań... Jednostka nie jest w stanie przezwyciężyć oporu tej ociążalej masy. Nietzsche to zauważa i nakazuje bronić silnych przed atakiem słabych, choć brzmi to kuriozalnie. Wypada nam zapytać, gdzie szukać owej siły, wsparcia do walki nie tylko z tłumem, ale też z własnymi potworami? Nietzsche udziela jednoznacznej odpowiedzi: w sobie. Filozof przemawia do nas słowami Zaratustry:

Jeszcze siebie nie szukaliście,
Tedy mnie znaleźliście. Tak postępuje każdy z wierzących,
Dlatego tak niewiele warta jest wszelka wiara!

Wezwanie to odnosi się do osób, które oddają siebie, swoją wolę w ręce Mistrza: Boga, kapłana, kogoś, kto będzie decydował o ich postępowaniu. Myślę, że uprawnione tu będzie poszerzenie kręgu odbiorców tego wezwania. Dotyczy ono każdego, kto jest niezdolny do podejmowania własnych decyzji, kto potrzebuje doradców, pocieszycieli, ramienia do wylania swojego żalu. Nietzsche mówi stanowcze "nie" takiemu oddawaniu się w ręce kogokolwiek. Jedynym miejscem, w którym mamy szukać ukojenia jest nasze wnętrze. Musimy wsłuchać się w nasze myśli, pragnienia, niezmaczone dziesiątkami komentarzy, porad czy obietnic. Dopiero ucieczka od tej płątaniny słów, ucieczka w ciszę, pozostanie sam na sam ze sobą pozwolą na zbudowanie solidnych fundamentów naszego jestestwa. Najtrudniejsze jest zniesienie ciężaru własnej obecności, ale uciekając przed sobą, uciekamy także od życia, czyniąc je jałowym, pustym, bezwartościowym. Tego uczy, zdaniem Nietzschego, kreowanie osobowości stadnej, odwoływanie się do wyższych instancji, których wyroki są nieodwołalne. Postuluje on przyjęcie postawy przeciwnej, mianowicie pozostanie w odosobnieniu i samotne rozstrzygnięcie swoich dylematów. Filozof zdaje sobie sprawę z tego, że jest to nie lada wyzwanie. Człowiek nie powinien jednak stawiać się w szeregu słabych, pomniejszać swoich możliwości do pokonywania siebie, gdyż tym samym

odbiera sobie szansę na podróż w otchłań swoich myśli, doznań, refleksji. Staje się niewolnikiem stada i zaświatów.

Między małpą a nadczłowiekiem

Nietzscheańska kategoria samoprzewyciężenia nie jest prosta do jednoznacznego ujęcia. Wiąże się ona z postulatem przewartościowania dotychczasowych wartości, z koncepcją śmierci Boga i w jakiś sposób również z nadczłowiekiem. Wszak nadczłowiek rodzi się w wyniku przewyciężenia człowieka, który (zdaniem Nietzschego) popadł w dekadencję, zmierza ku upadkowi. Odrodzenie człowieka z jego popiołów zapowiada Zaratustra: *Ja was uczę nadczłowieka, bo człowiek jest tym, co przewyciężone być powinno!*³

Ten nowy człowiek pojawia się w wyniku swoistej ewolucji. Jest „lepszym modelem”, który rodzi się z upadku; pokonuje (przewycięża) własną degradację i jako ponad-ludzki, zwłaszcza w wymiarze etycznym, wkracza w nową formę istnienia. Idea samoprzewyciężenia funkcjonuje w sieci zależności od pozostałych kategorii. Samoprzewyciężanie, w moim odczuciu, jest najważniejszym zaleceniem niemieckiego filozofa. Echo tego przykazania pobrzmiewa w całej twórczości Nietzschego, jest tchnieniem vitalności, który winien przenikać człowieka w każdym jego działaniu. Przewyciężanie siebie pozwala także na uwolnienie się spod władzy „demonów” istniejących pod postacią kultu religijnego, duchowych pośredników czy Boga. Warto przywołać słowa wspomnianego już Zaratustry, który sam zdołał skruszyć swoje kajdany:

Cóż się stało, bracia!
Przemogłem siebie cierpiącego, zaniósłem swój popiół w góry,
Odnalazłem siebie – jaśniejszy płomień.
I oto spójrzcie! Upiór odstąpił ode mnie!

Zaratustra mówi nam, że aby uwolnić się od zewnętrznych wpływów, powinniśmy wsłuchać się w nas samych, w nasze myśli, pragnienia, uczucia. Nie możemy bać się swojej własnej obecności, lecz przeciwnie – winniśmy ją oswoić. Miarą wewnętrznej mocy człowieka jest jego zdolność do konfrontacji z własnymi słabościami, lękami. Ktoś, kto unika cierpienia, szuka ulgi, litości, współczucia (chrześcijański typ człowieka), umniejsza własne możliwości do wyjścia zwycięsko z walki o spokój

³ Cytat ten jest często przytaczany, pojawia się jednak w błędnej formie: „(...) bo człowiek jest tym, co **zniszczone** być powinno”, bądź „(...) **pokonane** być powinno”. Zdaniem niektórych badaczy, jest to tłumaczenie niezgodne z intencją Autora, ponieważ nie oddaje celu Nietzscheańskiego przewyciężenia. Ponadto słowa „zniszczenie”, „pokonanie” konotują skojarzenia z, zabiciem, unicestwieniem. Między innymi tego rodzaju translatorskie nieporozumienia tworzą fałszywy obraz Nietzschego i przyczyniają się do rozpowszechniania jego złej sławy.

swojego ducha. Ten stan wyższości jest pojmowany u Nietzschego specyficzniej: walka z cierpieniem to nie prymitywna chęć zniwelowania, nieodczuwania go, lecz permanentne mierzenie się właśnie z jego obecnością. Człowiek, który trenuje swoją siłę, mówiąc językiem Nietzschego, wołę mocy, jest zainteresowany tym, by doświadczać negatywnych bodźców. Nie tylko nie dąży do (nierealnego) usunięcia ze swojego życia bólu, przemocy, ale robi coś dokładnie odwrotnego. Każdy moment, który jest dla niego trudny, fizycznie czy emocjonalnie, traktuje jako powód do spróbowania swoich sił, rzeźbienia psychicznej, etycznej i biologicznej muskulatury. Przewyciężając swoje własne bariery, wewnętrzne i zewnętrzne trudności, buduje swoją nową jakość, staje się kimś lepszym. Co ciekawe, samoprzewyciężanie jest procesem pokonywania siebie... dla siebie. Nie chodzi tu o zwykłe biologiczne przetrwanie. Tym, zdaniem Nietzschego, zainteresowane są raczej jednostki słabe, nieudane, bojące się ryzyka utraty życia. Dla filozofa arcyważną rolę odgrywa jakość życia. Istnienie wartościowe to takie, w którym człowiek nie musi zdawać się na łaskę i niełaskę innych ludzi, systemów, wierzeń, czy bóstw. Żyjemy nie wtedy, gdy nasze serce bije, a krew krąży w naszych żyłach, lecz wówczas, gdy czynnie uczestniczymy we własnym istnieniu: jesteśmy świadomi siebie, swojej roli, gdy sami decydujemy, którą drogą chcemy iść. Uświadomienie sobie tego, że nie istnieją w nas bariery nie do pokonania jest kluczem do osiągnięcia wyższego poziomu życia.

Czyż nie jest to otwarcie bram do niebios niemal nieograniczonych możliwości? Ta myśl ma predyspozycje do stania się błogosławieństwem dla ludzi, którzy szukają samych siebie. Dlaczego nadal uważa się, że Nietzsche wyrządził ludzkości krzywdę? Jego idea samoprzewyciężenia w moim mniemaniu zasługuje na szczególną uwagę, z powodu licznych pozytywnych skutków, jakie może ona odnieść w życiu uważnego czytelnika. Uważnego i nastawionego pozytywnie, choć nie bezkrytycznie, do czytanego tekstu. Nieszczęściem tego typu idei, rozważań jest to, że pozostają one często tylko w planie teoretycznym. Przekucie ich na działanie, praktykę, jak pokazała historia zwłaszcza XX wieku, jest domeną systemów, narodów, polityki... Czy aby na pewno jest to ich jedyne słuszne zastosowanie? Gdyby tak zejść na poziom jednostkowy i spróbować pokazać, jak sugestie wielkich filozofów zmieniają pojedynczego człowieka, jego sposób widzenia świata, jego metamorfozę? Nie wydaje mi się, że byłoby to umniejszanie wartości ich cennych myśli. Jestem przekonana o czymś zupełnie odwrotnym. To właśnie pojedynczy czytelnicy dzieł myślicieli-teoretyków, budujący swoją nową jaźń, opartą na podpowiedziach swoich mentorów, zapewniają tym wielkim ideom godne przetrwanie. Realizacja myśli

filozoficznych na szeroką skalę, ich komercjalizacja i upowszechnienie często przyczyniają się do powstania złej sławy ich autorów. Ośmielę się stwierdzić, że pojedynczy czytelnik, pochłonięty przez zaangażowaną lekturę, nie uczyni danemu pogładowi tylu szkód. Moim zdaniem, po stokroć bardziej cenny jest odbiór koncepcji filozoficznej przez jednego czytelnika, który dzięki niej wydostał się ze schematu, który go przytłaczał, zmienił swą nieudolność w wolę walki, niż przez tłumy namiętnie i z zafascynowaniem patrzące w tekst, ale niedostrzegające jego głębokiego sensu.

Uważam, że idee same w sobie w ogóle nie poddają się wartościowaniu, sytuują się poza dobrem i złem. Dopiero ich realizacja może okazać się brzemienna w skutki. W związku z tym winnymi powstania zbrodniczych polityk i nauk są „interpretatorzy-praktycy”, chyba że dana idea powstała niejako na zamówienie, jako podkładka pod realizację morderczych celów. O tak odgórnie zaplanowanym zastosowaniu filozofii Nietzschego do propagandy ideologii narodowej Niemiec nie może być mowy, tym bardziej, że sam filozof wielokrotnie odcinał się od nacjonalistycznych zapędów swojego kraju. Potwierdzają to zarówno liczne fragmenty jego pism, jak i relacje znajomych Nietzschego⁴. Jego myśli mogłyby (i powinny) leżeć u podstaw zgoła przeciwnego nurtu, który afirmowałby człowieka, a nie czynił zeń potwora. Nie ma merytorycznych podstaw do stawiania filozofowi zarzutów o jego rzekomy wkład w narodziny i rozwój skoncentrowanej na eksterminacji dwudziestowiecznej ideologii.

Ewa Gorlewska – Upiór uniwersytecki. Pierwszy Sekretarz Klubu Humanistów. W poprzednim wcieleniu była skrybą. Wsadza kij w mrowisko, szuka dziury w całym, odzywa się niepytana. Chora na Nietzschego przyszła filozof i językoznawczyni, miłująca polszczyznę XIX wieku. Uważa, że wartościowa lektura to park rozrywki: krzywe zwierciadło zmysłów, karuzela duszy, strzelnica utartych poglądów. Lubi melodię folkloru połączoną z mocnymi brzmieniami. Wymarzony zawód – kustosz w muzeum narzędzi tortur.

⁴ Polecam lekturę książki F. Overbecka *Nietzsche. Zapiski przyjaciela*.

MAGDALENA BAJKO

ŻYWOT MUGOLA POCZCIWEGO, CZYLI... DULSZCZYNA PO ANGIELSKU

Boże jaki miły wieczór
tyle wódki tyle piwa
a potem płatanina
w kulisach tego raję
między pluszową kotarą
a kuchnią za kratą
czułem jak wyzwalam się
od zbędnego nadmiaru energii
w którą wyposażyła mnie młodość

możliwe
że mógłbym użyć jej inaczej
np. napisać 4 reportaże
o perspektywach rozwoju małych
miasteczek
ale

mam w dupie małe miasteczka
mam w dupie małe miasteczka
mam w dupie małe miasteczka

(Andrzej Bursa, *Sobota*)

Spektakulamy sukces odniesiony pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia przez nikomu nie znaną, młodą angielską pisarkę Joanne Rowling przeszedł wszelkie oczekiwania socjologów, literaturoznawców oraz wszystkich tych, którzy od lat uważnie śledzili tendencje panujące na światowym rynku książki. Miliony sprzedanych tomów, zbiorowa fascynacja wykreowanym przez autorkę bohaterem, a także potężna kampania promocyjna mająca na celu „wciągnięcie” w czarodziejski świat jak największej rzeszy odbior-

ców, uczyniły ze skromnej Brytyjki nie tylko jedną z najbogatszych współcześnie żyjących kobiet, ale również najpopularniejszą dziecięco-młodzieżową autorkę wszechczasów. J. K. Rowling zasłynęła jako „ta od Harry’ego Pottera” i w zasadzie mogłaby nią pozostać, odciąć kupony od zyskanego przed laty rozgłosu, pokazywać się od czasu do czasu przy okazji mniejszych lub większych imprez, udzielać się charytatywnie i wieść spokojny, dostatni żywot „osoby życiowo spełnionej”.

Ku zaskoczeniu (i zgrozie) czy-

telników pomnych urokliwych czarodziejskich opowieści rodem z Hogwartu, pewnego dnia okazało się, iż utytułowana pisarka tworzy powieść... dla dorosłych. Rowling stanowczo stwierdziła, że nie będą to wczesne losy rodziny Potterów ani saga rodu Albusa Dumbledore’a, lecz zupełnie niezależna historia odbiegająca daleko od magicznych standardów. Gdy się po czasie okazało, o czym Rowling zamierza napisać fani złapali się za głowy. Powieść o wyborach na radnego małej miejsciny? Nie było do końca wiadomo, czy pisarka mówi prawdę, czy po prostu ciekawskich robi w konia. To jest temat na książkę? Jeżeli tak – to na pewno na bardzo nudną. Polityka? Radni? Wybory? Nie dość, że trzeba to niemal na okrągło oglądać pod każdą szerokością geograficzną, to jeszcze o tym czytać? Zapowiedzi nie brzmiały zachęcająco...

Książka *The Casual Vacancy* opublikowana została 27 września 2012 roku i... oczywiście niemal od razu okazała się kolejnym sukcesem autorki. Polskie wydanie powieści ukazało się 15 listopada 2012 roku nakładem wydawnictwa Znak, a jej tytuł przetłumaczono jako *Trafny wybór*.

Złośliwi mówią, że nawet gdyby Rowling napisała instrukcję obsługi kosiarki spalinowej, to również znalazłby się tłum chętnych, by to przeczytać. Jej książkom od lat towarzyszył medialny szum i potężne akcje reklamowe, toteż wzorem doświadczeń wcześniejszych polski wydaw-

ca przypuścił szturm na czytelników. To podsycało ciekawość, ale i skłaniało do swoistego sceptycyzmu, czy przypadkiem pod wyrazistą, czerwono-żółtą okładką nie kryje się kolejny literacki koszmar pokroju *Pięćdziesięciu twarzy Greya* – książki straszącej z niemal każdej księgarskiej wystawy.

Muszę przyznać, iż do lektury *Trafnego wyboru* przystępowałam z uporczywą świadomością tego, że oto mam w ręku coś, co napisała autorka Harry’ego Pottera, ktoś, kto powołał do istnienia baśniowy, pełen tajemnic świat ukryty pośród niemagicznej codzienności. I chyba podświadomie oczekiwało się przez moment urzekającej magii, by jednak po chwili zderzyć się z jakże twardą, do granic mugolską rzeczywistością...

Spokojne, prowincjonalne miasteczko Pagford – wiktoriańskie domki, zabytkowe opactwo, niewielki rynek, schludne trawniki, słowem wszystko to, co do przyzwoitemu mugolowi do szczęścia jest potrzebne. Życie toczy się tu z dala od hałaśliwych galerii handlowych (zakupy robi się w miejscowych delikatesach), czas płynie swoim (dość leniwym) rytmem, każdy każdego zna i na pierwszy rzut oka wszystkim jest tu dobrze. Jednak pewnego dnia senną nieco miejscinę z marazmu wybudza... śmierć, w której tak naprawdę nie ma nic nadzwyczajnego. Umiera jeden z członków rady gminy, przykładowy mąż i ojciec, trener osady wioślarskiej, działacz i społecznik –

Barry Fairbrother. Jego nagłe (spowodowane wylewem krwi do mózgu) odejście wywołuje szok i skrajne reakcje – od euforycznej radości tych, którzy nie podzielali jego nowatorskich, społecznikowskich koncepcji, po złość i nagłą bezradność osób, którym był potrzebny. Śmierć Barry’ego to tymczasowy wakat w gminnej radzie, zmarły musi zostać zastąpiony przez kogoś równie mądrego. Czy w Pagford znajdują się tacy kandydaci?

Po kilkudziesięciu stronach przebijania się przez gąszcz osób, nazwisk i profesji okazuje się, iż w *Trafnym wyborze* nie można wskazać „głównego bohatera”, którym nie będzie przecież nieżyjący już Barry. Zapoznanie się z postaciami wymaga czasu i stron - autorka cierpliwie wprowadza nas do kolejnych domów, oglądamy swoiste *reality show* i nim zdołamy się zorientować, okazuje się... że zawikłane losy pagfordczyków zaczynają nas coraz bardziej obchodzić.

Obok niezadowolonej z działalności męża wdowy po Barrym, w powieści ujrzymy także rodzinę Price’ów, katowaną psychicznie i fizycznie przez „pana domu”, sadystę i nieudacznika Simona; Tessę Wall, jej męża Colina – wicedyrektora pobliskiej szkoły od lat zmagającego się z wyniszczającą chorobą psychiczną; nieudane małżeństwo Milesa Mollisona – ukochanego synalika swoich wpływowych rodziców – chorobliwie otyłego Howarda i wścibskiej Shirley, którzy wieść o śmierci Barry’ego przyjmują z nie-

skrywaną radością. Widzimy nie-szczęśliwe żony u boku agresywnych, bądź kompletnie obojętnych mężów, pozbawioną moralnych wzorców młodzież, dla której ucieczką są narkotyki, pornografia, szybki seks lub samookaleczanie. Widzimy, co dzieje się za drzwiami porządných domków i wnikamy w najintymniejsze zakamarki dusz mieszkańców. Miasteczko zdaje się aż kipieć od nagromadzonych w nim negatywnych emocji: obłudy, złośliwości i znieczulicy, pisarka zaś – warstwa po warstwie – zdejmuje ze swoich bohaterów kolejne filisterskie maski. Otrzymujemy powieść – panoramę, w której niczym w soczewce skupiają się wszelkie typy ludzkie i współczesne (nie tylko angielskie) społeczeństwo.

Hermetyczna zbiorowość nie jest przygotowana na jakikolwiek kontakt z „innością”. Sikhijaska rodzina Jawandów, Kay Bawden z córką Gaią, to według mieszkańców „element napływowy”; ci pierwsi różnią się od rdzennych pagfordczyków kolorem skóry, kulturą i wyznaniem, panie Bawden zaś londyńskim akcentem wzbudzającym i zazdrość, i obawę. W małomiasteczkowej świadomości „inny” oznacza niestety „gorszy”, negatywnie wartościowane jest wszystko to, co nie mieści się w sztywnych ramach niepisanego, pagfordzkiego kodeksu. Szczególne obawy wzbudzają mieszkańcy Fields – lokalnych slumsów, biednych przedmieść, gdzie próżno szukać grzecznych dzieci i wypielegnowanych ogródków. Fields to

wrząd, który musi być jak najszybciej usunięty, choroba, która od lat nie daje się wyleczyć lekami takimi jak alienacja i zbiorowy ostracyzm. Niestety, w rezultacie postawa „porządnych” mieszczan wobec zdecydowanie mniej porządnym, dysfunkcyjnym mieszkańcom pagfordzkich obrzeży, pociągnie za sobą śmiertelne ofiary...

Bohaterowie *Trafnego wyboru* poruszają się w dobrze znanej nam przestrzeni, nie stronią od technicznych nowinek, wirtualnej rzeczywistości i współczesnej popkultury. Nastolatki podkochują się w umięśnionych chłopakach z boysbandów, „hymnem” drużyny wioślarskiej jest jeden z przebojów Rihanny. Zarówno młodzi jak i nieco starsi obywatele, mają doskonałą świadomość porażającej mocy Internetu, z którego skwapliwie korzystają w (delikatnie rzecz ujmując) nie zawsze szczytnych celach. Tu (oprócz lokalnej strony internetowej) potężną bronią okazuje się być wszechobecny dziś Facebook, a może raczej „Faceśmietnik” – wygodny i nader skuteczny oręż przeciwko słabszym i „innym”, miejsce, gdzie choć przez chwilę można się poczuć panem życia i śmierci, a nade wszystko – panem cudzego losu, anonimowym rozdawcą cierpienia. Powieść Rowling sama jest też swoistą „książką twarzy”, katalogiem masek przeznaczonych do „publicznego wglądu”, pod którymi kryją się niezbyt urodziwe, autentyczne oblicza mieszkańców miasteczka.

Nie sposób odmówić autorce talentu „opowiadacza”, umiejętności snucia historii i co więcej – bardzo wprawnego w tę historię wciągania. Jej światy są utkane misternie, losy postaci zazębiają się, tajemnice są dawkiowane stopniowo. Rowling sięga do tradycji najlepszego pisarstwa, nieobce jej są klimaty dickenowskie przemieszane z klasyką dojrzałego realizmu. To sprawia, iż *Trafny wybór* staje się książką demaskatorską, gorzką, bolesną niemal. Przykra jest bowiem prawda o ludziach, ich wadach, mentalnej ciasnocie i uprzedzeniach. Przykra jest rzeczywistość niechcianych (i będących przedmiotem sporu w radzie) przedmieść Pagford, będących siedliskiem społecznych patologii – prostytutki, narkomanii, przemocy i gwałtu. Wstrząsające sceny przemocy domowej, seksualne fantazje niezaspokojonych kobiet i agresja narastająca w młodzieży. Daremne wypatrywanie pozytywnych postaci – każdy ma przecież coś na sumieniu, każdy tkwi w gąszczu własnych grzeszków, sympatii i antypatii.

Brutalny język, wiele stron okraszonych wulgaryzmami, których (na szczęście) polska tłumaczka nie starała się neutralizować. Zniesmaczonym powiedziec można tyle, że łagodzenie rysztockowej częstokroć mowy, jaką posługują się zwłaszcza najmłodszy bohaterowie *Trafnego wyboru*, odebrałoby książce autentyzm. Obłudne udawanie, że tego typu słownictwo nie istnieje i nie funkcjonuje, ocierałoby się dulszczyńiano-pagfordzką przyzwoitością.

Nie można niestety podpisać się pod spotykanym w prasie stwierdzeniem, iż „Rowling napisała satyrę na współczesne społeczeństwo angielskie, ukazując je w krzywym zwierciadle”. Niestety, bo *Trafny wybór* to lustrzane odbicie naszej rzeczywistości, w żaden sposób nie zniekształcone, do bólu prawdziwe, wyraźne, ostre. W fikcyjność opowiedzianej historii uwierzyć trudno, bo jej uchwycenie jest niemal reporterskie i (o zgrozo!)... nic nas tu nie szokuje i nic nie zadziwia, bo przecież pagfordczycy nie robią tak naprawdę niczego, co byłoby nam niezrozumiałe i obce.

Wychodząc naprzeciw truizmom zdobiącym okładkę książki, a głoszącym, że jest ona „wciągająca” i „poruszająca”, dodam jeszcze, iż jest bardzo... rozczarowująca. Zawiedzie każdego, kto oczekiwał zakamuflowanej historii o czarodziejach lub sielankowej pocztówki z urokliwej miejscowości. Zamiast czarodziejów – najprawdziwsi mugole, zamiast słodczy – gorycz i ludzkie cierpienie. *Trafny wybór* nie jest „powieścią do poduszki”, przy której można się rozmarzyć, przenosząc w lepszą rzeczywistość. Choć napisana przejrzystym, właściwym autorce stylem nie sprawi, że pochłoniemy ją w kilka godzin. Z tą powieścią trzeba się oswoić, a może raczej oswoić się z tym, że to, co w niej widzimy jest tak znajome i namacalne. Prowokująca do refleksji nad kondycją współczesności, opierająca się utartym schematom, wie-

lowątkowa, poważna – książka, po której kac trwa kilka dni...

W Pagford z powodzeniem odnaleźliby się wszyscy filistrzy, dobrze poczułaby się pani Dulaska, Marek Hłasko znalazłby niejeden temat na opowiadanie. Każdy kto mieszka bądź wychował się w niewielkiej miejscinie, będzie doskonale wiedział, o czym Rowling pisze. Może odnajdzie sąsiadów, lokalnego sklepikarza, wszechwiedzące, wścibskie panie, spoglądających spode łba małolatów. Życzę każdemu, aby jak najtrudniej było mu w *Trafnym wyborze* odnaleźć samego siebie, a jeśli już tak się stanie – życzę moralnej odwagi, która pozwoli przyznać się do tego w zaciszu własnego sumienia.

FELIETONY I ESEJE

PIOTR BIAŁOMYZY

LITERATURA POZA LITERATURĄ

Dzieło sztuki. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będzie można użyć tych dwóch słów do opisu czegoś stworzonego z abstrakcyjnych megabajtów. *The Path* stworzona przez „Tale of Tales” moim zdaniem zasługuje na słowa uznania graczy, polonistów... oraz artystów.

Czym jest *The Path*? Osoba, która obserwowałaby z boku monitor, stwierdziłaby, że to po prostu gra komputerowa. Jestem graczem od paru ładnych lat i mogę się temu sprzeciwić. Każda gra, z jaką się spotkałem, polegała na sprawdzeniu logicznego myślenia, zręczności, umiejętności strategicznych. W *The Path* tego nie ma. Nie musimy ratować galaktyki przed atakiem mutantów ani masakrować kolejnych tetrisowych klocków... Co nam pozostaje? Obcowanie z niezwykłym światem. Produktowi „Tale of Tales” - bel-

gijskiego studia zajmującego się produkcją gier komputerowych - bliżej raczej do interaktywnego filmu niż do gry. *The Path* wrzuca nas do pokoju, w którym przebywa siedem dziewczynek w różnym wieku. Każda z nich obdarzona jest indywidualnymi cechami i charakterem. Gdy dokonamy wyboru bohaterki, dziewczynka wstaje, bierze koszyczek i wyrusza w drogę do babci. Tak, dzieło jest inspirowane baśnią o Czerwonym Kapturku. Łąujemy na ścieżce prowadzącej prosto do domku babci i o dziwo – nie napotykamy żadnych przeszkód. Gdy dochodzimy do celu, nasza dzielna dziewczynka siada przy starowince... a nas zaskakuje napis *Game over*. Prawdziwa przygoda zaczyna się bowiem w momencie, w którym zignorujemy polecenie, by nie schodzić ze ścieżki. Gdy tracimy dróżkę z oczu, nie możemy już zawrócić.



Wszystko zaczyna się w pokoju. Potem spokojnie już nie jest...

Las nas pochłania i osacza freudowską symboliką i surrealistycznymi wizjami. W głuszy możemy znaleźć fortepian, telewizor, pole słoneczników oraz wiele tajemniczych rzeczy. W chaotycznej płątanie miejsc i przedmiotów musimy odszukać wilka. Nie jest on jednak zapchlonym chytrusem łasym na nocne koszule babć – wilk w *The Path* to uosobienie lęku, czyhającego zagrożenia, którym może być zarówno gwałcieciel, jak i demon unoszący się nad łodzią. Spotkanie z wilkiem kończy się wyrzuceniem dziewczynki na ścieżkę, obok domku babci. Nieprzytomna bohaterka szybko się budzi i idzie ze zwieszoną głową do chatki.

Samotnia babci zmienia się. Nie jest to już przytulny domek z buchającym wesoło kominkiem i stojącym obok niego wypchanym wilkiem. Teraz jest to piekło, przez

które bohaterka musi przejść. Dziewczynka goniona przez mrok, krzyki i przerażające wizje trafia w ślepy zaułek, w którym zmierzyć się musi z konsekwencjami swego nieposłuszeństwa. Śmierć, szpony nałogu, choroba, depresja. Kły wilka mogą przybierać różny kształt.

Po tym, jak doprowadzimy młodą bohaterkę do końca, znowu lądujemy w pokoju z dziewczynkami. Jednej jednak brakuje... Po spotkaniu z potworem naprawdę trudno ponownie zejść ze ścieżki.

Czym jest *The Path*? Metaforą życia i ścieżki? Krytyką, czy też pochwałą buntu? Przestrożą dla niegrzecznych dzieci? Każdy będzie musiał odpowiedzieć na to pytanie sam. Ja przebrnąłem przez wszystkie ścieżki i mogę stwierdzić, że unowocześniona historia Czerwonego Kapturka przerosła literacki oryginał. Muzykę z *The Path* wgrałem do swojego odtwa-

rzacza, zapakowałem plecak i potwarzając wierszyki małych bohaterów, ruszyłem w dalszą drogę.

A czy Wy odważycie się wejść na Ścieżkę...?



Gdy jest się na ścieżce, las nie jest straszny.
(źródło screenów: <http://tale-of-tales.com/ThePath/>)



Piotr Białomyzy: student filologii polskiej. Aktualnie piszę biogram. Interesuje się literaturą bardzo piękną (fantastyką), grami komputerowymi i pisaniem (nie tylko biogramów). Największe osiągnięcia: wyróżnienie w konkursie literackim *Świetlne Pióro*, zdobycie pierwszego miejsca w konkursie recytatorskim w zerówce (niekoniecznie taka kolejność).



MAŁGORZATA WOJTOWICZ

KILKA UWAG O EDUKACJI PATRIOTYCZNEJ W DZISIEJSZEJ SZKOLE

Ostatnio zawitałam do szkoły podstawowej, w celu odbycia praktyki pedagogicznej. Wizyta w miejscu dotychczas znanym z innej perspektywy, uświadomiła mi kwestie, nad którymi wcześniej się nie zastanawiałam. Przede wszystkim zwróciłam uwagę na to, że dzieci we współczesnej szkole są nie tylko słabo przygotowywane merytorycznie, ale również, a może nawet przede wszystkim, wychowawczo. Na powodzenie kształcenia wychowawczego najistotniejszy wpływ

ma środowisko rodzinne, które coraz częściej okazuje się dysfunkcyjne, niezdolne do odegrania roli nakazywanej mu przez społeczeństwo. Rodzice zbyt często mają stosunek obojętny lub roszczeniowy, co ma wielki wpływ na zachowanie dzieci. Niestety wpływ negatywny...

Po drugie dostrzegłam, jak bardzo zaniedbana edukacja patriotyczna i historyczna. Uświadomiła mi to wycieczka do siedziby suwalskiego pułku w dniu obchodów jego święta.

Dzieci będące już w IV klasie nie potrafiły wykazać się podstawową wiedzą historyczną i świadomością patriotyczną. Pomimo usilnych starań nauczycieli nie pojmowały rangi wydarzenia, a zainteresowały je wyłącznie pokazy militarne. Czy to oznacza, że dzieci ignorują historię, przerzucając się jedynie na mało ważne dodatki, do których (moim zdaniem) należą tego typu inscenizacje plenerowe? Z czego wynika ten fakt? Jakie skutki spowoduje reforma edukacji, wedle której kształcenie historyczne ma zostać zepchnięte na margines, poprzez znaczne obniżenie ilości godzin lekcyjnych przeznaczonych na ten przedmiot? Jak w takich warunkach ma się kształtować nowoczesny, świadomy patriotyzm?

Jak można wysnuwać wnioski, skoro się nie zna przyczyn? Wreszcie – jak kształtować przyszłość, nie wiedząc nic o przeszłości? To tylko niektóre z pytań, jakie przyszły mi do głowy podczas przypatrywania się zachowaniu młodzieży szkolnej.

Nie podaję na nie odpowiedzi, bo też chyba ich jeszcze nie ma. Zwracam jednak uwagę, że środowiska szkolne i akademickie powinny zwrócić się w stronę tego problemu i we własnym zakresie (skoro państwo zawodzi) wspierać proces kształcenia historycznego i patriotycznego na wszystkich etapach edukacji. Wycieczki do muzeów są potrzebne, lecz wraz z nimi muszą być inicjowane rozmowy z dziećmi o przeszłości, wy-

jaśnianie im spraw trudnych, częstokroć kontrowersyjnych. Warto zadać sobie trud, by dotrzeć do niekwestionowanej wartości, jaką jest świadomy patriotyzm kolejnych pokoleń.

Małgorzata Wojtowicz – studentka III roku filologii polskiej UwB; niedoszły historyk; aktywny członek, a od tego roku prezes Klubu Humanistów; interesuje się literaturą staropolską i historią średniowiecza Polski i Europy oraz metodami wychowania przyszłych pokoleń w duchu patriotyzmu i znajomości przeszłości.

JAKUB OLSZEWSKI

MASKA

„Wszyscy nosimy maski, w sensie metaforycznym. Tłumimy sferę id, nasze skryte żądze i przybieramy postawę bardziej akceptowaną społecznie”. Słowa doktora antropologii, skierowane do zdesperowanego urzędnika bankowego, Stanleya Ipkisasa, bohatera filmu *Maska*, są doskonałym streszczeniem nie tylko fabuły obrazu, ale też pewnej postawy, którą przyjmuje każdy człowiek, niezależnie od poziomu rozwoju intelektualnego. Stanley to nudziarz, maruda i nieudacznik, który nie potrafi pokierować swoim przeznaczeniem nawet na tyle, by spróbować poderwać kobietę swoich marzeń. Wszystko zmienia się jednak za sprawą skandynawskiego artefaktu, należącego do boga psikusów - Lokiego. Zakładając toporną drewnianą maskę, przypominającą strój aktorów z greckich tragedii, nocą Stanley zamienia się w coś, co sam określa następująco: „Jak działa maska? To tak jakby spełniała twoje ukryte pragnienia. Jeśli jesteś w głębi duszy zamkniętym w sobie, beznadziejnym romantykiem, stajesz się osobą ogarniętą miłosnym szałem i dziką”.

Pomijając już nawiązanie do romantycznej idei nocy jako żywiołu ujawniającego prawdziwe oblicze świata, odkrywającego to, co utajone - maska pełni w filmie rolę zwyczaj-

nego katalizatora przemiany na lepsze. Dzięki niej bohater osiąga pełnię swoich męskich sił witalnych, przepoczwarza się z niezdanego *wiecznego chłopca* w świadomego własnej wartości mężczyznę. Organizm sam z siebie nie mógł dokonać tej przemiany, musiała ona nastąpić za pomocą dodatkowego stymulatora – maski. Sam motyw jakiegoś przedmiotu, za pomocą którego dokonuje się w nas przemiana nie jest niczym nowym. W wielu baśniach ludowych bohaterowie dążą do zdobycia jakiegoś cennego, niepowtarzalnego skarbu: Graala, złotego jaja, żywej wody. Próby i walki staczane po drodze hartują charaktery, zaś spełnienie marzenia to zaszczyt dostępny nielicznym.

Odkąd pamiętam – zawsze wzruszało mnie opowiadanie *Szynele* Gogola, gdzie w zhierarchizowanym, słuźalczym społeczeństwie tytułowy ubiór staje się dla pozbawionego wyobraźni i marzeń urzędnika symbolem luksusu i lepszego życia. Możemy się z tego śmiać, ale przecież nawet dzisiaj wielu osobom zakupy poprawiają humor, a potoczny zwrot: *podarować sobie odrobinę luksusu* oznacza właśnie najczęściej kupienie jakiejś nowej rzeczy. Stary carski urzędnik, kupując płaszcz, we własnych oczach stał się lepszym, bardziej wartościowym człowiekiem.

W społeczeństwach, gdzie duchowość i mistycyzm były fundamentami kultury, maska uosabiała wartości reprezentowane swoim kształtem. Nie bez powodu azjatycki tancerz w trakcie świąt religijnych zakładał maskę smoka, a średniowieczny rycerz hełm wykuty na kształt zwierzęcia heraldycznego. Obaj wierzyli, że poprzez to nabywają w pewnym stopniu duchowej siły. Noszenie maski oznaczało, że jej właściciel powinien podążać określoną drogą. Tak samo przebrania jasełkowo-kamawało-we: bezrolny chłop może choć przez chwilę poustawać, że jest cesarzem i ma klawe życie, żebrak, że jest rycerzem i już nie musi w pocie czoła żebrac. Świat na opak dawał ludziom bezkarną możliwość pocucia choć cząstki innego, lepszego życia. Najwięksi dandyści zakładając maski w trakcie weneckiego kamawału liczą na odrobinę emocji w swoim zblazowanym życiu. Wielka dama przeżywa romans z gondolierem, ubogi student bałamuci rajczynię, żona burmistrza daje się bałamucić turyście. Wszystko to za przyzwoleniem opinii społecznej, bo przecież w ten magiczny czas norm moralnych nie łamią ludzie, ale osoby pod maskami kryjące prawdziwą tożsamość...

Chronienie tożsamości kojarzy się potocznie z instytucją świadka koronnego, gdy na potrzeby jego ochrony zmienia się personalia, miejsce zamieszkania, fałszuje przeszłość. Ale nie zapominajmy, że maska jest figurą metaforyczną. To zasłona naszej duszy, jej wrażliwej, być może niedostatecznie ukształtowanej części.

Jaką naukę trzeba przejść, jakie cechy przyswoić, żeby nie zatracić samego siebie a równocześnie móc współpracować z resztą społeczności? Warto wyjść z „wieży z kości słoniowej”, getta własnej grupy rówieśniczej i zamkniętej na cudze zdanie subkultury. Zastosować zasadę dobrego wychowania uczącą, że z każdym trzeba rozmawiać jego językiem i dla każdego znaleźć kilka słów. Dostrzec człowieka w żebraku, nie pogardzać i nie skreślać nikogo, dać mu szansę na udowodnienie własnej wartości. Szanować ludzkie dążenie do poprawienia bytu materialnego i na odwrót: nie wyśmiewać ciągłego poszukiwania wartości wyższych. Trudne? Stanley Ipikiss nie potrafił poradzić sobie z taką dwoistością własnej natury. Postępując zgodnie ze swoją nową osobowością, jednocześnie zdawał sobie sprawę z jej ograniczeń. Pogodzony z sobą, chciał równocześnie stać się kimś lepszym. Prostą, ludzką a jednocześnie skuteczną powinna być rada udzielona Stanley’owi przez doktora antropologii: „Niech pan idzie (do niej) i jako pan, i jako maska, bo obie te postacie są tą samą, piękną osobą”.

Jakub Olszewski (1989 – jeszcze żyje...) Absolwent I (i jedyne) LO w Michałowie, aktualnie student V roku filologii polskiej białostockiego uniwersytetu. Pyskaty i wulgarny, jak mawiają jego koledzy „Poderżnie sobie gardło swoim językiem”. Starający się być najlepszy we wszystkich aspektach życia, przez co wszędzie jest tylko przeciętnym. Normalne życie: studia, hobby, rozrywka, praca. Na dokonania jeszcze przyjdzie czas

TRANSLATORIUM

Joanna Pietrzak-Thébault: jest italianistką, pracuje jako adiunkt w Instytucie Filologii Klasycznej i Kulturoznawstwa UKSW. Interesuje się wydawniczymi i czytelniczymi strategiami we Włoszech XVI-go wieku. Obecnie zajmuje się krytycznymi wydaniami francuskojęzycznych pism Adama Mickiewicza i Zygmunta Krasińskiego. Redaktorka wydanej niedawno książki *Mickiewicz – Turcja – Europa* (2012).



JOANNA PIETRZAK-THÉBAULT

SKRZYDLATY AMOR

Ottavio Rinuccini (1563–1621) umiał pisać do muzyki. To on napisał przecież pierwsze libretta do florenckich maskarad czy intermediiów odgrywanych podczas dworskich uroczystości weselnych, a także do pierwszych scenicznych baśni muzycznych: *Dafne*, *Eurydyka* i do pierwszych oper, jak *Ariadna* mistrza Monteverdiego. Jego wiersze powstawały w przerwach między tymi pracami, zlecanymi mu

przez władców z rodów Medyceuszy, Gonzagów, Walezjuszy. Sam pochodził ze szlacheckiej rodziny, więc na dworach czuł się swobodnie, a nad takimi „użytkowymi” utworami pracował chętnie. Te wiersze, wydane w kilku tomikach, były w istocie... tekstami piosenek.

Zwykle, mówiąc o muzyce wokalne XVI i XVII wieku, myślimy o wielogłosowych, skomplikowanych madrygałach, wywodzących się jeszcze z włoskiej polifonii XIV wieku, z czasem przybierających formy coraz bardziej złożone (aż do sześciogłosowej). Były popularne w całej Europie, a jako że to w obrębie tych kompozycji miały miejsce wszelkie muzyczne „eksperymenty” tamtych lat, w największej mierze przyczyniły się do powstania opery. Obok madrygałów, nieledwie codzienną muzyczną praktyką tamtego czasu były pieśni napisane na jeden głos, przeznaczone do wykonywania z towarzyszeniem jednego tylko i to najbardziej dostępny instrument. A grać na lutni potrafił wówczas niemal każdy. Melodie nie są szczególnie skomplikowane, nie mają bynajmniej wirtuozerskiego charakteru, ucho szybko je podchwytuje, usta chętnie nucą.

Cóż nas jednak może obchodzić dworska zabawa sprzed wieków, powiecie. Dworska, to pewno znaczy, że elitarna i trudno dostępna, a może także sztywna i trudna. Nieprawda – odpowiem – nie tylko dlatego, że dworów w politycznie rozbitych na państwa i państewka Włoszech było wówczas więcej, niż gdziekolwiek indziej, ale także dlatego, że to dwór właśnie był miejscem, w którym kształtowały się nowe modele obcowania z kulturą: dostępną wszystkim z tamtego środowiska, różnorodną, innowacyjną, by nie rzec – awangardową. Uczestniczyli w niej zaś nie tylko bierni widowie, bo każdy był jej współuczestnikiem, a dworskie zabawy i bale przypominają happeningi: dobrze zorganizowane i o przemyślanej idei przewodniej. Tak rozumiana „kultura” stawała się coraz bardziej celem i sensem istnienia mieszkańców dworu. Jakkolwiek w naszych uszach brzmiałoby to nieprawdopodobnie, zarówno nowoczesna kultura, z jej ideą współuczestnictwa, jak popularna przebojowa piosenka mają swoje początki w kulturze dworskiej! Kto mi nie wierzy, niech poczyta *Dworzanina* Baldassara Castiglione (pierwsze wydanie w 1528 r.). Dziesiątki kolejnych wydań, w oficynach dużych i małych, najczęściej w poręcznym, „kieszonkowym” formacie in-8°, świadczą o niezmiennej popularności traktatu – w istocie zapisu fikcyjnych, choć stylizowanych na autentyczne, rozmów autentycznych mieszkańców dworu w Urbino. Najlepiej sięgnąć jednak po oryginalną wersję dzieła, bo polska adaptacja Łukasza Górnickiego (pierwsze wydanie w 1566 r.) zbyt wiele fragmentów mówiących o muzyce, śpiewie, malarstwie, lekturach, o tańcu i dwornej rozmowie, o elegancji i związanej z nią nieodłącznie dezynwolturze, pomija, modyfikuje, usuwa w cień¹.

¹ Takiego wiernego tłumaczenia *Dworzanina* na język polski do tej pory jednak, niestety, nie ma...

Tymczasem posłuchajmy uważnie, co mówi Rinuccini: Amor jest tutaj na usługach dworzanina, dla którego przebywanie w wesołym towarzystwie to codzienność i sens życia. W życiu tym trzeba zatem podtrzymywać i szanować dobry nastrój, dbać o pogodę innych., trzeba szanować ich dobry nastrój i pogodę, dbać o spokój wszystkich. Należy to do najważniejszych obowiązków dworzanina i tego uczy też Castiglione. Nie wolno zasmucać innych, a zasepionej twarzy nie przystoi obnosić publicznie. Smutek i tęsknotę należy przepędzić nie dlatego więc, że są one nieznośnymi skutkami nieodwzajemnionej miłości, a może tylko długiego rozstania, ale dlatego, że stają się dotkliwe i przykre dla towarzyszy zabaw. Nikt nie chce widzieć pełnego trosk i frasunków zakochanego! Amor sam jest dworzaninem – i doskonale rozumie takie argumenty. Bohater najwyraźniej liczy na to, że te same argumenty zrozumie i jego ukochana, nawet gdyby pochłaniały ją, na chwilę tylko czy zbyt już długo, inne rozrywki.

Znajdujemy tu też wiele motywów, do których powracać będziemy w kolejnych odcinkach cyklu: spróbujemy bowiem odpowiedzieć na pytania kim jest w istocie Amor, jak wygląda Ukochana, dlaczego tak często powtarzają się sceny z ogrodu, z polowania. I co począć z pozomą monotonią powtarzających się obrazów, zwrotów poetyckich, które faktycznie pozwalają przecież nawet żyjącym daleko od siebie i mówiącym różnymi językami ludziom doskonale się porozumieć. Wychowani zostali w tym samym kręgu kulturowym, więc wspólny był im madrygał, pieśń lutniowa, miłosna, ujęta w karby sonetu czy ballady, poezja. Proste faktury, taneczne rytmy, klarowna kompozycja, przewidywalne rymy – oto klucz do długotrwałego sukcesu tych form. Umiały dać wyraz silnym emocjom – ale nie w sposób nieokiełznany, potrafiły ująć je w ramy – choć nie po to, by uczucia tłumić, tylko po to, by piękniej jeszcze je wyrażać. Trudno nam może pojąć dzisiaj, że stosowanie się do ścisłych reguł nie wyklucza autentyczności.

Tak być jednak chyba musiało, formuła zaś okazała się szczęśliwa i atrakcyjna, skoro *Skrzydlaty Amor* do muzyki Giulia Cacciniego (1551–1618), twórcy garściami pisanych „przebojów piosenkarskich” tamtych lat, jest nadal przebojem. Proszę zajrzeć choćby do You Tube: znajdziemy tam profesjonalnych muzyków (niezrównany Marco Horvat!) i amatorów. O Amorzem śpiewają dzieci i chórki leciwych panów w malowniczych kryzach, śpiewają Japończycy, Czesi, Australijczycy. Jest w programach wysmakowanych koncertów i szkolnych popisów. Jak dobrze, że ma skrzydła i potrafi fruwać! Niegdyś fruwał od dworu do dworu, po całej Europie (Castiglione przetłumaczono lub zaadaptowano przecież szybko i na wiele języków, z łaciną włącznie), dzisiaj skrzydła niosą go od szkolnej auli do sali koncertowej, od muzycznego konserwatorium do studia nagraniowego, po całym świecie. Jak dobrze, że jest bogiem i nigdy się nie męczy!

OTTAVIO RINUCCINI (1562–1621)

tłumaczenie Joanny Pietrzak-Thébault

O, Skrzydlaty Amorze

O ty, Amorze, Ty co masz skrzydła
Polecieć możesz,
Tam gdzie zostało serce me drogie,
Gdzie ono mieszka,
Znajdziesz doń drogę, bo poprowadzą cię me westchnienia
W locie pomogą.

Znajdziesz je, znajdziesz w przeźroczym tiulu
co piersi kryje,
W jasnych promieniach,
W słodkich spojrzeniach ócz mojej milej
W złotych spleceniach warkoczy drogich
Mojej jedynej.

Leć więc i błagaj,
Proś i zabiegaj, staraj się, staraj
Aby wróciła, dal porzuciła
Do mnie przybyła.
Jeśli nie zechce (myśli złowieszcze),
Rzeknij jej jeszcze:

„Smutek mu stale na licach gości,
I rozpacz, i ból, i łyzy tęskności,
Niszczyć radości
Psuć wesołości,
Gasić szczęścia swoich gości,
On nie może”.

Inni śpiewają, inni się śmieją, on nie potrafi,
Wierny kochanek w smutek ubrany
Wokół się snuje,
Jego oblicze troską zasnutę
Wszystkim wokoło zabawę psuje,
Nieledwie że śmierć zwiastuje.

Dumna łowczyni z psami gończymi
 Przebiega ciągle wzgórze, doliny,
 Dzikiego zwierza strzałą namierza.
 Kochanek wierny łzami wciąż plami
 Ach, piasek , granit i łąk aksamit
 Co będzie z nami?

U ptaków proszę litości trochę
 W ich skrzydłach szukam pociechy,
 Wytchnienia nieco, one polecą,
 Choć ja nie mogę wybrać w tę drogę lotu chylęgo,
 One pokażą szczerłość i prawdę
 Cierpienia mego.

Dworny Amorze, mój Przyjacielu,
 Mów do jej serca, niech do mnie wróci,
 Tęsknotę skróci,
 Niech wszyscy wokół znosić nie muszą
 Moich boleści, na twarzy pleśni,
 Niech do zabawy radośni wrócą.

Czy ona zechce widzieć mnie jeszcze?
 Ach, jeśli serce jej się odwróci
 Powiedz Amorze, powiedz, bo możesz,
 Że moje serce nigdy nie kłamie
 I że na zawsze przy niej zostanie
 Niezmiennie wierne.

Tu ch'ai le penne, Amore

Tu ch'ai le penne, Amore
 E sai spiegarle a' volo
 Fin la dov'è 'l mio core,
 Deh muovi un ratto un volo
 E se non sai la via
 Co miei sospiri t'invia

Va pur ch'ìl troverai
Tra 'l vel e 'l bianco seno
O' tra 'l dolce sereno
De luminosi rai
O' tra bei nodi d'oro
Del mio dolce tesoro

Vanne, lusinga e prega
Per che dal bel soggiorno
Faccia il mio cor ritorno,
E s'ei venir pur niega
Rivolto al nostro sole
Digli cotai parole:

“Quel tuo fedel amante
Tra lieta amica gente
Vive mesto e dolente,
E col tristo semblante
D'ogni allegressa spento
Turba l'altrui contento.”

Di che fra 'l canto e 'l riso
Spargo sospir di foco,
Che fra 'l diletto e 'l gioco
Non mai sereno il viso,
Che d'alma e di cor privo
Stommi fra morto e vivo.

Mentre per piagge e colli
Seguon fugaci fiere
La cacciatrici fiere,
Lass'io con gli occhi molli
Hor de cesto, hor del cesco
L'onda piangendo accresco

Non de gli Augei volanti
Miro le prede e i voli
Sol perche mi consoli
Versar sospiri e pianti;
Ma i ch'io non vorrei
Far noti i dolor miei.

Amor cortese impetra
Ch'a me torni il cor mio
O ch'ella il mandi ond'io
Non più sembri huom di pietra
Ne più con tristo aspetto
Turbi altrui diletto.

Ma se per mia ventura
Del suo tornar dubbiosa
Mandarlo a me non osa,
Amor prometti e giura
Che suo fu sempre e sia l'alma mia.

**Niebawem ukazą się, czekające w kolejce,
następujące madrygały:**

1. Nimfa i chór rewelersów
2. Tygrysie serce
3. Ten trzeci
4. Prosto od fryzjera
5. Kosztowna piękność o poranku
6. Złudne nadzieje
7. Kołysanka w cieniu krzyża
8. Dumna Nimfa



KRZYSZTOF PUŁAWSKI

CO TAK NAPRAWDĘ CZYTAMY, KIEDY WYDAJE SIĘ NAM, ŻE CZYTAMY TO, CO CZYTAMY?

Wiele lat temu w czasie studiów anglistycznych moja grupa miała nieprzyjemną, ale pouczającą przygodę. Kiedy wykładowca zapytał (a wiedzieliśmy, że może to zrobić, więc byliśmy przygotowani) jak brzmi pierwsze zdanie *Moby Dicka*, odpowiedzieliśmy chórem: *My name is Ishmael*. I jacyż byliśmy zawiedzeni, kiedy odesłał nas do domu z przykazaniem, byśmy przeczytali książkę *p o a n g i e l s k u*.

Czy miał rację? Pierwsze zdanie *Moby Dicka* brzmi: *Call me Ishmael*. Można je przetłumaczyć: „Nazywam się Iszmael”, ale ponieważ jest archaiczne i wskazuje na rodowód biblijny poprawnie brzmi: „Me imię to Iszmael”. Przy retranslacji aż kusi, żeby użyć bardziej współczesnej formy. Pozostaje jednak problem, którego nie rozwiązują podane polskie

przekłady tego zdania: w zdaniu angielskim bohater tworzy sam siebie, powołuje siebie do życia. W wersji polskiej informuje nas tylko, jak się nazywa, a to imię nie jest kwestią w y b o r u.

Ten przykład wyraźnie skłania do tego, by zastanowić się, czym jest tłumaczenie. I to nie dla językoznawcy, tylko czytelnika, który sięga po dany tekst. I tutaj duże zaskoczenie, gdyż okazuje się, że dla większości czytających osób jest niczym. Pytamy: „Czy czytałeś coś tegorocznego noblisty? Znasz powieści Kundery? Lubisz Kafkę?”, tak jakbyśmy rzeczywiście czytali i c h książki, a nie tłumaczenia. Czasami o przekładach wspomina się wtedy, gdy były trudne i zajęły dużo czasu – jak w przypadku *Ulissesa* i *Finneganów trenu* Joyce’a – ale potem znowu wracamy do dawnych przyzwyczajzeń i rozmawiamy o Joysie, jakby rzeczywiście pisał po polsku.

Czym więc jest tłumaczenie? Na to pytanie próbowało odpowiedzieć bardzo wielu językoznawców i oczywiście sprawa się coraz bardziej komplikowała, jak przy innych próbach zdefiniowania szeregu zjawisk. Bo czym na przykład jest stół? Czy ma cztery nogi, czy jedną? A może w ogóle? Do czego służy? I tak dalej...

Tłumaczenie niespecjalistyczne (bo takim chcę się zajmować) to coś znacznie bardziej skomplikowanego niż stół, chociaż najprościej można powiedzieć, że jest to tekst w języku docelowym, który można porównać z tekstem wyjściowym. Poza tym tłumaczenie może być wieloma różnymi rzeczami: żalonym skandalem, mniej lub bardziej świadomym zamachem na reputację autora, rzemieślniczą próbą oddania treści, a może nawet i formy tekstu oryginalnego, może też być próbą (nigdy do końca udaną) całej złożoności i dowcipu tekstu albo jej (mniej lub bardziej udaną) parafrazą. Nie zapominajmy też, że dla wielu tłumaczy jest ono pracą zarobkową. Tłumaczenie rzadko bywa jednorodne i myślę, że w każdym – albo prawie każdym – można znaleźć jeśli nie błędy, to przynajmniej potknięcia.

Czy jest twórcze? Na tak zadane pytanie ktoś dowcipie odpowiedział, że lepiej, żeby nie było, mając oczywiście na myśli różne „poprawki” i „udoskonalenia”, których czasami dopuszczają się tłumacze. Najlepiej, żeby zachowało w sobie jak najwięcej z litery i ducha oryginału, więc wydaje się, że być nie musi jednak wiele zależy od tego, jak bardzo trzeba być twórczym, by po pierwsze z r o z u m i e ć pewien fragment obcej rzeczywistości, a następnie umiejętnie go p r z e t w o r z y ć. Ponieważ tłumacz na początku jest przede wszystkim aktywnym czytelnikiem, kimś, kto próbuje przeniknąć często pogmatwane intencje autora.

Jest to oczywiście karkołomne zadanie, dlatego też tłumaczenie może stać się obsesją. Pewne problemy mogą prześladować tłumacza i nie dawać mu spokoju w najmniej oczekiwanych momentach. Sam pamiętam,

jak przetłumaczyłem dwa krótkie wierszyki w czasie wycieczki rowerowej, a potem wracałem do domu, wciąż przepowiadając je sobie w głowie. Oczywiście myślałem o nich już wcześniej, wydawało mi się, że trudno będzie przełożyć tak zwięzły dialog:

How odd
Of God
To choose
The Jews.

Not odd
Of God
Goyim
Annoy 'Im.

Jednak nie mogłem przypuszczać, że rozwiązanie dopadnie mnie dwadzieścia kilometrów od domu:

Co Bóg
W nich widzi,
Że właśnie
Żydzi?

Dlatego Żydzi,
Bo widzi,
Że goje
To nie to je.

Innym razem wydawało mi się, że znalazłem błąd w książce Tracy Chevalier *Dziewczyna z perłą*, którą tłumaczyłem. Opisując kafelki na podłodze w salonie Vermeerów autorka w jednym miejscu opisała je jako szaro-czerwone, a w innym szaro-brązowe. Natychmiast poczułem dumę i satysfakcję, że jestem sprytniejszy od Chevalier. Jednak ta sprawa nie dawała mi spokoju, wciąż o niej myślałem i kiedy już poziom wody sodowej w mojej głowie wyraźnie opadł, przywróciłem wersję Autorki. I to z kilku powodów. Po pierwsze, między dwoma opisami minęło trzynaście lat, kafelki mogły się przebarwić lub zabrudzić (co wskazywałoby na ogólny upadek Vermeerów). Po drugie, w pierwszej scenie bohaterka opisywała je wcześniej rano, a w kolejnej późnym popołudniem, co mogło zmienić jej sposób widzenia. I po trzecie, całą książka jest właśnie o zmiennej percepcji, o tym, że odciskamy nasze piętno na świecie wokół (okazało się zresztą, że Chevalier poświęciła jedną z kolejnych książek Williamowi Blake'owi).

Gdybym „poprawił” tekst, czytelnicy mieliby małe szanse na dostrzeżenie zmiany. Pierwszy opis znajduje się na początku książki, a drugi na jej końcu – trudno więc tak długo przechowywać w pamięci kolor ka-

felków. Nie sędzę nawet, by zauważyli to krytycy... Jednak dla mnie było to ważne doświadczenie, gdyż uzmysłowiłem sobie, że tłumaczenie wiąże się dla mnie ze świadomością i ciągłym wysiłkiem intelektualnym. Bo przecież mogłem dobrze przetłumaczyć te fragmenty, w ogóle nie zwracając uwagi na kolory, jednak zawsze wolę przebyć tę drogę: dostrzec jakiś błąd i uznać ewentualnie swoją pomyłkę, niż tłumaczyć bez większej perspektywy z nosem przy kolejnych liniijkach tekstu. Ale taka szersza perspektywa wiąże się niestety z obsesyjnym powracaniem do tekstu i badaniem tego, czy jest dobrze przetłumaczony.

Jak wspomniałem, tłumaczenie jest też nie tylko próbą zrozumienia tekstu źródłowego, ale też przekazania go potencjalnemu odbiorcy. Jest zatem przykładem k o m u n i k a c j i. Komunikacja przebiega zwykle od jednej osoby do drugiej, ale trudno założyć, że jest to czysty, niczym nie zakłócony przekaz i odbiór. Dwie osoby mogą inaczej rozumieć niektóre, niekoniecznie trudne, słowa. Jedna może być zmęczona. Druga źle słyszeć... Zatem komunikacja tak naprawdę nigdy nie jest sprawą łatwą...

W roku 1990 jako młody podchorąży trafiłem do jednostki lotniczej w Dęblinie, gdzie zajmowałem się między innymi cudzoziemcami, którzy odbywali tam kursy pilotażu. Odbywały się one rano, a po południu mieliśmy czas wolny na zwiedzanie okolicy. W czasie jednej z wycieczek z dwoma Amerykanami zatrzymaliśmy się przy małym gospodarstwie rolnym

- Tutaj jest dokładnie jak w Ameryce – powiedział jeden z nich.

Zdziwiony poprosiłem o wyjaśnienia.

- Tu jest jak u nas – powtórzył. – Bo jeśli ktoś ma już mnóstwo pieniędzy, to zakłada taką farmę. Jeden konik. Jedna krówka. Nie, żeby zarobić, ale dla przyjemności.

Oto przykład chybionej komunikacji – odczytania znaków w sposób utarty, wyłącznie w oparciu o własne doświadczenia.

Zadaniem tłumacza jest nie tylko właściwe odczytanie tekstu, wszystkich jego znaków, czasami wręcz ze stroną graficzną lub brzmieniową, ale też przekazanie ich czytelnikowi tak, by nie miał wrażenia, że w Stanach, Anglii, Bangladeszu jest „dokładnie tak jak u nas”. Tłumacz zatem wchodzi w proces komunikacji, jest tu pośrednikiem między dwiema komunikującymi się osobami i musi zadbać o to, by się porozumiały. Ma trudne (ale fascynujące) zadanie, a jego sojusznikiem jest to, że w przypadku tekstów ten proces komunikacyjny może się powtarzać, czyli mówiąc prościej czytelnik może czytać dany tekst dowolnie wiele razy.

Pamiętajmy jednak, że tłumacz (przynajmniej na razie) jest tylko człowiekiem, w dodatku odbiorcą pewnego komunikatu. Skoro nie ma idealnej komunikacji, on też może ją zniekształcać i po prostu się mylić. Różnice kulturowe też mogą być istotne. Weźmy choćby „to samo” słowo w

trzech różnych językach: ser-fromage-cheese. Założę się, że dla wielu Polaków pierwszym skojarzeniem będzie ser biały, Anglicy pomyślą raczej o żółtym, dość tradycyjnym, a Francuzi o całej pałecie najrozmaitszych serów, zupełnie innych od tych, do których są przyzwyczajeni Polacy i Anglicy. Ilustruje to następujący fragment z książki Bruce’a Chatwina:

[Francuz] wyciągnął w naszą stronę talerz z camembertem.

- *Monsieur, Ce Camembert n'est pas mûr.*

- Co mówi?

- Że nie jest dojrzały.

- Przecież to ser, a nie owoc.

A przecież mamy do czynienia z dosyć prostym przedmiotem i kulturami, które są nam bliskie. Co będzie, gdy zaczniemy mówić o modlitwie, sprawiedliwości, rodzinie czy miłości w kulturach zupełnie nam obcych? W dodatku pamiętamy już, że między tekstem wyjściowym i docelowym stoi tłumacz. I tutaj musimy powiedzieć, że wiele zależy od jego umiejętności. I to nie tylko tych, które służą do odkodowania tekstu, ale też takich, których używa do przekazania ich w języku rodzimym.

Nasuwa się więc pytanie: ile z oryginału pozostaje w przekładzie? Spieszę uspokoić czytelników. Zwykle całkiem dużo. Poza tym tekstami zajmuje się wiele osób i jeśli nawet tłumacz popełnia błędy to podlegają one weryfikacji. Po wysypie bardzo złych tłumaczeń w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku rynek się ustabilizował i mamy na nim całkiem sporo (choć tak naprawdę nie wiem ile) przyzwoitych tłumaczeń. Niestety, te najtrudniejsze przekłady są zwykle opłacone według podobnych stawek co te łatwiejsze, więc zwykle robi się je dla prestiżu. Inny problem stanowią już całkowite arcydzieła literatury światowej, zwłaszcza te, które operują specyficznym językiem. W najwyższym stopniu dotyczy to poezji, o „upiększaniu” której pisał ostatnio Jerzy Jarniewicz.

Powtórzę jednak: zwykle w tłumaczeniu mamy d u ż o oryginału, a błędy, przy odrobinie wprawy, można dostrzec gołym okiem. Zdarzają się tłumaczenia lepsze od oryginału. Często dotyczy to literatury słabszej, na przykład romansów. Weźmy choćby takie zdanie: *Our marriage might be sexless, but I am sure you will that agree that that is something that Only you and I should know.*

Trudno sobie wyobrazić tłumaczenie, w którym czterokrotnie powtórzyłyby się spójnik „że”, nawet wymiennie z „iż”. To zdanie jest po prostu fatalnie napisane i trzeba je poprawić w przekładzie.

Podobnie zresztą jak informacje na temat obcej kultury, gdyż musimy pamiętać, że autorzy też (na razie) są ludźmi i robią różne błędy, a te rzeczowe mogą prowadzić do nieporozumień.

Warto też wspomnieć, że przekłady tekstów dawnych operują często nieco bardziej współczesnym (choć archaizowanym) językiem, co pomaga przy ich lekturze, ale stanowi też niewątpliwą zmianę.

Bo ogólnie rzecz biorąc straty są nieuniknione i warto o nich pamiętać.

Czy zatem mój wykładowca miał rację, że lepiej czytać książki w oryginale? Jest to oczywiście łatwiejsze, gdy chodzi o powszechnie znany angielski niż na przykład chiński czy nawet litewski. W wypadku rzadszych języków jesteśmy zwykle skazani na tłumaczenia, bo niewielu stać na gest Iwaszkiewicza, który nauczył się duńskiego po to, by móc czytać (i tłumaczyć) Kierkegarda.

Zastanówmy się zatem nad angielskim. Jest to o tyle uzasadnione, że większość tłumaczeń na rynku dokonuje się właśnie z tego języka. Więc może lepiej byłoby czytać to wszystko po angielsku? Może wówczas udałoby się zminimalizować straty w komunikacji?

Oficjalnie jestem anglistą od 1989 roku, czyli uzyskałem odpowiedni dyplom. Mniej oficjalnie uczę się angielskiego od ponad trzydziestu lat. Być może robię to niedoskonale, mam opóźnienia oraz ograniczone możliwości, ale się staram. Od ponad dwudziestu lat zajmuję się zawodowo tłumaczeniami, co zmusza mnie oczywiście do uważnej lektury. A jednak kiedy mam przed sobą tekst po angielsku, zaczynam odczuwać niepokój, czy dobrze go rozumiem. Czy uchwycę ironię? Wyczuję subtelne poczucie humoru autora? Właściwie odczytam jego intencje?

Niestety, lektura w obcym języku wiąże się z uproszczeniami. To samo zresztą może dotyczyć jakichś trudnych do zrozumienia tekstów w języku rodzimym. Sam na przykład mam olbrzymie problemy z Micińskim czy Przybyszewskim... Ale czytanie w obcym języku zwykle powoduje pewne niedobory, zapełniane naszymi własnymi wyobrażeniami na dany temat. Tak jak w przypadku Amerykanów, którzy uznali, że „u nich jest tak samo”.

Poza tym od jakiegoś czasu obserwuję u moich młodszych przyjaciół potrzebę uproszczeń. Wszyscy czytają po angielsku i być może wynika to z takiej lektury. Jeśli coś nie jest napisane wprost, a stanowi jedynie podtekst książki – po prostu dla nich nie istnieje. Przykładem może tu być książka *Śmierć pięknych saren* Oty Pavla, w której jedenasto-, dwunastoletni narrator opowiada o ojcu. Z informacji, które nam podaje wynika, że był on co najmniej kobieciarzem, jeśli nie dziwkarzem. Oczywiście nie mówi tego wprost i w czasie rozmowy na ten temat z kilkoma osobami, żadna nie chciała uznać tego niejednoznacznego faktu. Na szczęście ktoś sobie przypomniał nakręcony na podstawie *Śmierci* film, który potwierdzał moją tezę.

Jednak w czasie wspomnianej rozmowy najbardziej naiwne wydały mi się pytania o to, dlaczego autor nie napisał tego wprost. Zresztą mylenie autora z narratorem to kolejny grzech naszych czasów, którego nie potrafię zrozumieć. Sam pamiętam jak na studiach (sic!) omawialiśmy *Buszującego w zbożu* Salingera tak jakby Holden Caulfield wyrażał poglądy autora, a nawet, prawdę mówiąc, jakby nim po prostu był. Do tego dochodzi jeszcze odczytywanie wszystkiego przez mentalność i moralność naszych czasów, jakby to właśnie nasze poglądy były miarą wszech rzeczy.

Zatem potrzebujemy tłumaczeń, bo są dla nas jednocześnie pewnego rodzaju „wytłumaczeniami” tekstu. Oczywiście potrzebujemy tych dobrych, bo złe niewiele nam dają i wtedy rzeczywiście lepiej odwołać się do oryginału. A jeśli ktoś studiuje anglistykę, to trzeba powiedzieć, że jest to niezbędne.

Krzysztof Puławski, urodzony w 1964 roku w Białymstoku – anglista, tłumacz i pisarz. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie następnie zaczął prowadzić warsztaty translatorskie w Instytucie Lingwistyki Stosowanej. Tłumaczył między innymi Williama Blake’a, Williama Butlera Yeatsa, Davida Lodge’a, Tracy Chevalier, Raymonda Carvera, Flanna O’Brien, Temple Grandin, E. L. Doctorowa, Bruce’a Chatwina, jak również współczesnych dramaturgów. Publikował w „Dialogu” i „Kartkach”. Pracuje w Katedrze Neofilologii Wydziału Filologicznego UwB, a także wyżej wspomnianym ILS UW. Mieszka w Nowym Sączu i Supraślu.



PIOTR BIAŁOMYZY

UGRYŻ SIĘ W JĘZYK. CUDZY

Oglądałem ekranizację *Wiedźmina* Sapkowskiego. Nie byle jakie to dzieło – mordęga rozłożona na odcinki. Pomijając wiedźminów – albinosów o pięknych, czarnych brodach, potwory uszyte z gumiaków i płytką (by nie powiedzieć – płaską) fabułę zirytowały mnie jeszcze napisy... po angielsku.

„Super” – można by powiedzieć, dopóki tłumacze (*too much* – jak mówi znajomy fizyk) nie zabiorą się za przekład neologizmów i innych słów rodem z przebogatego zasobu polszczyzny. Kluczowe słowo *wiedźmin* zostało zastąpione eleganckim *witchmanem*. Zaprawdę powiadam Wam – srogie baty dostał nie-szczęśny Geralt z Rivii. Dobrze, że nie został ochrzczony He-manem, czy innym Super-manem. Do komiksowych megabohaterów Geraltowi daleko (no może z wyjątkiem tych mangowych herosów o bujnych i barwnych fryzurach), choć i on potrafi skutecznie okładać zło po pysku.

Tłumaczenia są kwestią trudną i sporną, wymagają i wiedzy, i pomysłu, i nakładu pracy. Twórcy gry komputerowej opartej na przygodach wiedźmina Geralta nadali mu nazwę *witcher*. Można? Można!

Pewni panowie zmierzili się z tłumaczeniem pewnej gry (nazwiska i tytuły przemilczę, bo nie jestem plotkarzem). Mordowałem się w krainie

magii i smoków nie z przeciwnościami, a z... instrukcją obsługi. Usilnie próbowałem zmienić formację żołnierzy, lecz nie przyszło mi do głowy, że aby to zrobić należy kliknąć opcję „ukształtowanie”. Kształtów (poza niekwestionowanymi krągłościami głównej bohaterki) w grze nie znalazłem, dlatego dziwiłem się takiej nazwie.

Zgrzyt trzeci to filmy... bardzo krwawe filmy. Bandycko-sensacyjne kino, w którym nie ma miejsca na sentymenty. Skorumpowani gliniarze i psychopatyczni mordercy (nie oglądajcie w okularach 3D – jeśli jakiś bandzior zostanie postrzelony, może Wam pobrudzić dywan). W powietrzu świszczą nie tylko kule lecz również baaardzo soczyste przekleństwa. Słucham więc polskiego lektora. Okazuje się, że wizyta w Polsce odmienia wszystkich bohaterów. Musi tak działać nadwiślańskie powietrze... Przestępca już nie sypie mięchem na prawo i lewo, a swego wroga traktuje uprzejmym *kurde, niech to, ty draniu*. Czemu służyć ma to „odwulgaryzowanie” dialogów? Udawaniu, że takiego słownictwa nie ma? Dbaniu o delikatną psychikę młodego pokolenia? Skoro seks, przemoc i krew nie rażą, dlaczego gwałtem jest słowo, jego brzmienie i sens?

Ostatecznie film ściągnąłem. Z napisami. I bez reklam.

STREFA DIALOGU



ROZMOWA Z PROFESOREM JÓZEFEM BACHÓRZEM (UNIWERSYTET GDAŃSKI)

Z PANEM PROFESOREM ROZMAWIAJĄ:
WOJCIECH MUSZYŃSKI, MONIKA JANISZTA I MONIKA JURKOWSKA

- Czy nie uważa Pan, że Kraszewski w dzisiejszych czasach traktowany jest trochę „po macoszemu”? Znika z programu studiów, szkół średnich, zostaje trochę jakby zapomniany... Jak się Pan Profesor odniesie do tej sytuacji?
- Jeśli chodzi o zapominanie o Kraszewskim na studiach, to w moim przekonaniu nie jest tak źle. Jak się orientowałem, jest on obecny w programie studiów. Natomiast jest rzeczywiście nieobecny w szkolnictwie średnim i uważam, że to może nie jest nieszczęście, ale na pewno nic dobrego. Mam wrażenie, że w programie jest coraz więcej literatury nowej i to musi się korygować kosztem tej dawniejszej. Równocześnie Kraszewski istnieje także w

pamięci młodego pokolenia w takim sensie, że prawie w każdym polskim domu jest jakaś powieść Kraszewskiego. Istotnie, porównując tę sytuację z czasami mojej młodości szkolnej, kiedy pracowałem kilkanaście lat w szkołach średnich, gdzie były lektury Kraszewskiego, to teraz w szkole średniej jest źle. Natomiast jeśli chodzi o szkolnictwo wyższe, z satysfakcją i pewnym zdziwieniem stwierdzam, że w latach bodajże 2007-2012 powstało przynajmniej osiem skończonych doktoratów o Kraszewskim, dwa są jeszcze rozpoczęte, prawdopodobnie w najbliższym czasie zostaną ukończone. Tak więc jeśli chodzi o szkolnictwo wyższe – nie jest źle.

- Jak Pan myśli, czy współczesny czytelnik może coś znaleźć w twórczości Kraszewskiego dla siebie?

- To jest dla mnie taka kwestia, że jeżeli współczesny czytelnik czegoś szuka to i znajdzie. Ktoś może nie lubić Kraszewskiego i ja się najzupełniej temu nie dziwię, że są tacy, którzy go nie lubią. Jeśli jednak ktoś z założenia nie chce czytać, to nie zasługuje na moją uwagę, ponieważ nie można z góry powiedzieć, że coś jest złe, nie czytając tego. To dość ubogi sposób myślenia. Można się zawieść na Kraszewskim, ale jeśli jest autor, który napisał kilkaset utworów, to może warto poświęcić mu chwilę uwagi. Kraszewski napisał np. *Raptularz Pana Mateusza Jasienieckiego*, świetną gawędą i to się dzisiaj czyta, albo np. *Jak się Pan Paweł żenił i jak się ożenił* – dużo humoru, mimo że Kraszewski

bywa ironistą z poczuciem humoru raczej umiarkowanym. Natomiast gawędy są (co prawda nie wszystkie), naprawdę świetne. Ja ogólnie jestem „od Prusa”, ale Kraszewskiego także czytam.

- No właśnie. Dlaczego osoba badająca przede wszystkim twórczość Bolesława Prusa może tak wiele powiedzieć o Kraszewskim? Jest on dla Pana ważnym autorem?

- Tak, jest ważnym autorem, a powiedzenie dlaczego w jednym zdaniu sprawia mi kłopot. Natomiast są takie rzeczy, skoro jesteśmy już przy Prusie, to ja mam w *Lalce* parę takich fragmentów, części, partii, które lubię. Może to naiwne, bo nie wszyscy to lubią, ale jest to np. „Pamiętnik Starego Subiekta”. Otóż Kraszewski napisał drobiazg, który się nazywa *Z dziennika starego dziada*. *Dziennik starego dziada* jest to ustne wspomnianie starszego mężczyzny, emeryta, który mieszka na jakiejś facjatce, z której widać tylko dachy domów i interesuje się różnymi rzeczami, które nie należą do świata ludzi. Obserwuje on przez okno ptaki – wróble, denerwuje się gołębiami, ale w pewnym momencie zauważa, że przylatuje kilka wróbelków. Jest też myszka, która wysiedziała wróbelka i widzi, że ten jeszcze nie umie latać. Myszka natomiast, jak zobaczyła jakiś okruszek to ciągnie go, aby włożyć go wróbelkowi do dzioba... Napchała go, a sama pozostała głodna. W *Dzienniku starego dziada* są piękne, wzruszające momenty, np. wtedy gdy myszka, którą często

dziad spotykał, nie pojawia mu się przez dwa dni, on się zastanawia co się z nią stało. W pewnym momencie, po pięciu dniach ta myszka się jakoś odnalazła. Po jakimś czasie pojawia się w towarzystwie drugiej myszki i dziad wie, która jest jego, a która nowa. To takie piękne i wzruszające dla mnie.

- Takie mniej znane utwory Kraszewskiego pokazują jakim był on człowiekiem, czym się interesował?

- Tak, bo zazwyczaj mówi się tylko o jego biografii, o tym, że siedział w kryminale – najpierw rosyjskim, a potem pruskim, ale miał też różne zakłopotania np. romanse spóźnione. Tak to bywa... (śmiech).

Józef Bachórz – profesor nauk humanistycznych, członek honorowy Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, także Komitetu Nauk o Literaturze Wydziału Nauk Humanistycznych Polskiej Akademii Nauk. W pracach badawczych prof. Bachórz koncentruje się na romantyzmie i pozytywizmie, a zwłaszcza twórczości Adama Mickiewicza oraz prozie w tych okresach. Jest wybitnym znawcą i badaczem pisarstwa Józefa Korzeniowskiego, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Elizy Orzeszkowej, Bolesława Prusa i Henryka Sienkiewicza. W kręgu zainteresowań Pana Profesora znajdują się również problematyka morska oraz literatura popularna (kilka prac z zakresu tzw. powieści tajemnic w XIX i XX wieku).



Fot. <http://www.poranny.pl/apps/pbcs.dll/article?AID=/20130403/MAGAZYN/130329505>

ROZMOWA Z PROF. LEONARDEM ETELEM REKTOREM UNIWERSYTETU W BIAŁYMSTOKU

ROZMAWIAJĄ: MONIKA JURKOWSKA I MONIKA JANISZTA

– **Czy jest Pan zadowolony z pełnionej funkcji Rektora naszego uniwersytetu?**

– Nie jestem osobą, która lubi wykonywać funkcje administracyjne, a teraz wykonuję zadania przede wszystkim administracyjne. Sądziłem, że będę miał więcej czasu, aby realizować idee, które mi przyświecały, gdy obejmowałem to stanowisko.

Wyobrażałem sobie, że będę od tworzenia idei, a ktoś inny będzie zajmował się ich realizacją od strony technicznej. Tak nie jest. Gro czasu poświęcam sprawom *stricte* administracyjnym: bieżącym zarządzaniem, podpisywaniu dokumentów, sprawom pracowniczym, pełnieniu funkcji reprezentacyjnej (nie tylko w Białymstoku, ale i w innych miejscach

Polski i świata). To skutkuje tym, że tracę ogrom czasu. Tak to odbieram.

– **A jak Pan wyobrażał sobie pracę Rektora uniwersytetu?**

– Wyobrażałem to sobie tak: mam plan wypisany w punktach (plan wyborczy, który zresztą rozdałem i który znajduje się na stronie internetowej Uniwersytetu), wiele pomysłów na usprawnienie pracy uczelni, a zarządzał będę tak „od czasu do czasu” wtedy kiedy będzie konieczność, ale ona nie miała determinować mojego działania. Trzeba przede wszystkim przygotować ofertę kształcenia w języku rosyjskim, ofertę kształcenia w języku angielskim. Wyjść, otworzyć się na świat – w sensie: na ten Wschodni, ale nie tylko. Zaprosić do współpracy studentów, którzy by chcieli u nas studiować. Myślę, że ciekawym pomysłem jest podjęcie współpracy wszystkich uczelni Białegostoku, zadbanie o akademickość Białegostoku... Miałem cztery strony takich zamierzeń i tak myślałem, że te cztery strony, a przynajmniej ich część uda mi się zrealizować już po pierwszym semestrze. Myślałem, że po upływie tego okresu, gdzieś tak w marcu, na pierwszym senacie, wezmę ten mój plan działania i będę mógł powiedzieć: „to zrobiłem”, „to zrobiłem”, „to zrobiłem”, „to zrobiłem”, „tego nie zrobiłem, bo...”, „tego nie mogę, bo...”, „to jest zawieszono”, „a to nie wyszło”... Oczywiście tak zrobię, bo obiecałem to swoim wyborcom, ale widzę, że proporcje zamierzeń zrealizowanych i niezrealizowanych będą nieco inne.

– **Ale wdrożył Pan część swoich pomysłów?**

– Tak, wdrożyłem. Przede wszystkim, nie wiem czy to Panie zauważyły, inaczej funkcjonuje promocja. Jesteśmy dosyć mocno obecni wszędzie, gdzie powinniśmy być obecni, jesteśmy zauważani. Jeszcze 2–3 miesiące i ta komórka zajmująca się promocją będzie funkcjonowała w 100% tak, jak chciałbym, aby funkcjonowała: tak, jak na Wydziale Prawa. Sądzę, że dobrze też dzieje się w obszarze związanym z projektami zewnętrznymi, w tym projektami Komisji Europejskiej, bo udało się nam zatrudnić specjalistów w tym zakresie; ludzi, którzy tylko i wyłącznie zajmują się pozyskiwaniem pieniędzy zewnętrznych. Udało się nam skompletować dobry zespół i to funkcjonuje dobrze. Dobrze idą też sprawy związane z przygotowaniem oferty kształcenia w językach obcych. Mamy już wytypowane kierunki, które będą realizowane w językach obcych: rosyjskim i angielskim, albo w obu tych językach łącznie. Te kierunki to: informatyka, fizyka medyczna, międzynarodowe stosunki gospodarcze, ochrona środowiska. To oferta, która już się realizuje. Sądzę, że może jeszcze przed zakończeniem semestru będą przygotowane stosowne programy kształcenia we wspomnianych obcych językach, co pozwoli nam wyjść na zewnątrz; pozyskać studentów ze Wschodu.

– **A jeśli chodzi o studentów filologii. Na Wydziale Neofilologii nie ma wszystkich kierunków na po-**

ziomie magisterskim. Czy to się zmieni?

– Chcemy, aby wszędzie był drugi stopień, ale to jest uwarunkowane przede wszystkim minimum kadrowym. Minimum kadrowe to profesorem, których trzeba się dochować. Skończyła się era profesorów jeżdżących. Zresztą ja nie uważam, że jest to dobre rozwiązanie, żeby profesor dojeżdżał. My stawiamy na profesorów białostockich, którzy mieszkają w Białymstoku, są z miastem związani bardzo mocno, którzy w związku z tym mają więcej czasu. Dopóki się ich nie dorobimy, to drugi stopień nie powstanie.

– A jeśli chodzi o studia doktoranckie. Czy one również powstaną na tych kierunkach, na których ich nie ma? Czy będą prowadzone w systemie dziennym?

– Wszystko jest uwarunkowane prawem do habilitacji. Jeśli wydział ma to prawo, wówczas może uruchomić studia doktoranckie. Czym innym jest prawo do doktoryzowania, a czym innym prowadzenie studiów doktoranckich. Aby natomiast mieć prawo do habilitowania, musi być odpowiednia kadra profesorska. Jedno jest zależne od drugiego. Jak mamy odpowiednią ilość profesorów, to mamy możliwość nadawania stopnia doktora (uprawnienia doktoryzacyjne). Jeżeli mamy uprawnienia habilitacyjne to możemy prowadzić studia doktoranckie. Tak to mniej więcej wygląda.

– Jeśli Pan pozwoli, to mamy jeszcze parę pytań prywatnych. Co Pan lubi robić w wolnym czasie?

– Na co dzień czytam książki, a właściwie to kupuję bardzo dużo książek i często są to te same tytuły tylko z inną okładką. Ale jest to fajna sprawa jeśli chodzi o prezenty. Z synem mamy podobne zamiłowania. Bardzo często jest tak, że on i ja kupujemy tę samą książkę, czasami po dwa razy. Czytanie jest dla mnie pierwszorzędną rozrywką, dominującą, którą można robić w każdym momencie, w każdym miejscu. Przypomina mi się, *a propos* czytania, jak byłem kiedyś w Kandalakszy, mieście w północnej części Rosji, bardzo blisko kręgu polarnego. Spaliśmy tam w małych chatkach, a właściwie w chatynkach myśliwskich. Były one całkowicie zasypane śniegiem, aby tam dojść trzeba było iść takim korytarzem śnieżnym. A że mam taki zwyczaj, że zawsze przed zaśnięciem czytam, to czytałem również w tych warunkach, które tam były. I jeden z miejscowych, kiedy zobaczył, co ja robię, pomyślał, że się modłę: miałem latarkę czołówkę, książkę blisko twarzy, byłem skulony, bo tam wokół był mróz – na zewnątrz $-35/-40^{\circ}\text{C}$, w chałupce też nie było za ciepło, byłem w śpiworze itd. I tak siedziałem z tą czołówką i czytałem, nie pamiętam już co. Ta osoba pobiegła do takiego większego domu, w którym było przyjęcie permanentne i mówi, że ja jestem jakimś mużulmaninem albo kimś w tym rodzaju, który w ten sposób książki czyta. To książki. A druga moja pasja to wyprawy wędkarsko-turystyczne. Może bardziej turystyczne, ale wędkarskie też, bo bardzo kocham łowić ryby. Kocham ło-

wić ryby tam, gdzie one jeszcze są, nie po to, aby je zabijać, ale po to, żeby znaleźć się jeszcze w takich miejscach. A takich miejsc jest już mało. To są miejsca, gdzie nie ma zasięgu telefonicznego, to są miejsca bardzo czystutkie, to są miejsca praktycznie niezaludnione. I to jest takie hasło, które pozwala mi dwa razy do roku wyjechać. W ubiegłym roku byłem dwa razy w Wenezueli, m.in. na Paragua. Przepiękne miejsce... Nie ma Amerykanów – to jest bardzo ważne, bo oni wszystko dominują i wszystko momentalnie robi się plastikowe, a tam jest wszystko naturalne, bo oni się Chaveza boją, zresztą mają powody. Dyktatura ma to do siebie, że z jednej strony jest tania, ale z drugiej strony jest tak, że człowiek nie może się czuć bezpiecznie nawet na lotnisku. Paradoksalnie najbezpieczniej jest w środku dżungli, bo tam, wbrew pozorom, nic złego człowieka spotkać nie może. Najgroźniejszymi postaciami są pijani lub naćpani żołnierze, którzy chcą albo na jedno, albo na drugie i jak zobaczą białego, który tam podróżuje, to myślą: skarbonka przejeżdża i jak tu z niej nie czerpać. Zatrzymują itd. Wcześniej byłem zafascynowany Rosją, Rosją zimową. Jeździłem przez kilka lat za krąg polamy łowić ryby. To dosyć ekstremalne wyjazdy. Byłem też zimą w Mongolii na rybach. Dwa metry lodu... Zimą w Mongolii turystów nie ma w ogóle. Latem też klimat jest zupełnie inny, wtedy też byłem i łowiłem piękne rybki, ale to zupełnie coś innego. Zima ma to do siebie, że jest taka czarno-biała. Takie

bardzo surowe klimaty z jednej strony, z drugiej - niepowtarzalne. I właśnie po tych wieloletnich wyjazdach zimowych zachciało mi się w drugą stronę, do Ameryki Południowej. Chociaż akurat najbliższa wyprawa to znowu Mekong. Rzeka, w której żyje taka jedna ryba, której jeszcze nigdy w życiu nie złowiłem: ogończa. No i ona mnie tam zaciągnie. Będę starał się ją złowić, ale nie po to, by ją zabić. Zjadamy oczywiście niektóre ryby, bo trzeba się w jakiś sposób odżywiać, ale nie zabijamy tych ryb, aby je później sprzedać.

– **A czy Pana rodzina podziela Pana pasje?**

Z synem jeżdżę wszędzie, jeżeli chodzi o ryby. Żona nie chce w te szuwarzy nasze jeździć. Kobiety raczej by nie dały rady, zwłaszcza jeśli chodzi o te warunki zimowe. Tam są naprawdę trudne warunki. To trzeba lubić. Po tygodniu już się nie chce niczego, tylko do domu, ale jak się zajechało... To ma jedną zaletę szczególnie: ja kocham wyjeżdżać i kocham wracać. Mam w ten sposób dwie przyjemności. Najpierw jestem podekscytowany tym, że wyjeżdżam, tymi wszystkimi przeżyciami, a mniej więcej po tygodniu człowiek ma temperaturę, popękane ręce, jest brudny, głodny, ma dość wódki, bo to nie jest lekarstwo na nic. Człowiek myśli: Jezu, co ja tu robię!

– **A skąd u Pana taka pasja? W dzieciństwie, czy dopiero później się zrodziła?**

Chyba każdy chłopak chce być gdzieś tam daleko, gdzie jeszcze nie

był. Każdy chłopak chce rybki łowić, jeść kapibara, największego gryzonia, jak myśmy jedli ostatnio czy ścigać się z kajmanami – zabiliśmy dwa, znaczy - to Indianie zabili, my jedliśmy. To są takie przygody, na które apetyt wynosi się jeszcze z podstawówki, z wszelkiego rodzaju książek.

– **Były to książki przygodowe Alfreda Szklarskiego, Edwarda Niżiurskiego...?**

– Też. Szklarski nigdy nie był w Ameryce Południowej, nigdy nie wyjeżdżał poza granice, a pisał świetnie. Wszystkie „Tomki” były czytane parę razy, bo w tamtym okresie to było tak, że nie było innych książek. Były te ogólnie dostępne w bibliotece na przykład. Właściwie ja te książki dobrze wspominam. To takie pierwsze impulsy, które pobudzają wyobraźnię i marzenia. A jak jest możliwość realizowania tego, to dlaczego nie? Afryka na przykład jest piękna. Łowiliśmy też tam. A co najsmieszniejsze - najbardziej w życiu zmarłem właśnie w Afryce. Na granicy Sudanu i Egiptu jest Jezioro Naser. Byliśmy tam w lutym, ale że to pustynia w Afryce to mieliśmy lekkie śpiwory. Myśleliśmy, że będzie gorąco, ale tak zmarliśmy w nocy przy temperaturze 1-2° C, że nic nie pomagało. Spaliśmy oczywiście na łodzi, mieliśmy whisky, ale i tak nic to nie dawało. Mieliśmy takie drgawki, że ledwie wytrzymywaliśmy noc. A w dzień słońce, słońce, słońce... Mieliśmy czoła popalone od tego słońca, uszy, nos mieliśmy pokryte strupami. Sześciu facetów, średnia wieku mniejsza

o to jaka... Kochamy słońce i to słońce nam się pięknie odwdzięczyło.

– **Podróż do jakiego miejsca najbardziej zapadła Panu w pamięci? Gdzie się Pan najlepiej czuł?**

– Największe wrażenia i takie najbardziej przyjazne doznania, niepowtarzalne, to jednak Rosja zimą. To jest nie do podrobienia. W wielu miejscach byłem, ale jak jest się na przykład nad Morzem Białym, do którego dotarło się po całkowicie zamrożonej rzece, jak widzi się te wielkie przestrzenie, ten potężny śnieg, te chatynki gdzieniegdzie – bo tam wsi nie ma, wsie są praktycznie wyludnione – to są to wrażenia nie do zapomnienia. Pewnie tam jeszcze wrócę, kości już odtajały i pewnie za parę lat tam jeszcze wrócę do tej północnej Rosji, bo ona jest piękna i niezdeptana.

– **A w Polsce też Pan łowi czy nie?**

Tak, oczywiście. Na Mazurach, gdzie jestem przez całe wakacje. To już żony ulubione miejsce. Na wakacjach jestem w Polsce, za granicę wyjeżdżam tylko zimą i wczesną jesienią, czasami wrzesień, czasami październik, to takie najlepsze pory. Teraz już nie będę mógł w październiku.

– **A jaką rybę chciał Pan najbardziej złowić?**

– Zawsze chciałem złowić tajmienia. To jest bardzo rzadka ryba, występuje w kilku miejscach. W Rosji jest wpisana do tzw. czerwonej księgi gatunków objętych całkowitą ochroną, w Mongolii natomiast nie. I pojechaliśmy tam i złowiłem cztery. Żadnej nie zabiłem, wszystkie wypuściliśmy. Syn złowił więcej niż cztery. To była

taka wymarzona ryba, to jest ryba-legenda. A druga ryba-legenda to jest pajara. Myśmy złowili tych ryb dwieście łowiąc na rzece Paragua. Ta ryba jest o tyle charakterystyczna, że ma duże zęby dolne, które wchodzi jej w górną szczękę. O tej rybie dowiedziałem się w Afryce, łowiąc tigerfishe. To zła nazwa tych rybek, ale one też mają obie szczęki uzębione, które są ruchome. I wtedy jeden z przewodników powiedział, że tigerfishe to mają się nijak do pajar, które żyją właśnie w Ameryce Południowej. I w ten sposób podpowiedział mi, gdzie mam jechać na kolejną wyprawę.

– Czyli jak Pan jeździ to głównie żeby łowić ryby, czy zwiedza Pan też te miejsca, gdzie Pan jest?

– Niechętnie. Szkoda czasu, wolę łowić ryby. Nie wiem jak to zabrzmiało, ale ja nie lubię zabytków. Ja lubię przestrzenie, przyrodę. Np. gdyby ktoś mnie zawiózł na jezioro w Mongolii, gdzie łowiłem ryby jestem w stanie trafić z dokładnością do jednego metra w to miejsce, gdzie łowiłem. A jak widzę trzy kościoły, to widząc czwarty wydaje mi się, że już tu byłem. Z Luwru nie pamiętam nic. Tego wszystkiego było tak dużo, że mi się wydawało, że widziałem to wszystko w jakimś filmie lub innym miejscu... Czy może zachwycić Mona Lisa, przed którą jest pięćset osób i robią zdjęcia? Albo Notre Dame, gdzie wędruje się w wielkim ścisku i nie można się zatrzymać, bo blokuje się drogę następnym? Wtedy się tylko marzy, aby stamtąd jak najszybciej wyjść... Takie miejsca mnie rozczarowują... Dlatego znajduję spo-

kojne miejsce gdzieś indziej, nad rzeką najlepiej, w restauracji, kawiarni. Tam sobie myślę, co w tej rzece może pływać...

– A książki, do których sięga Pan często to głównie książki podróżnicze czy niekoniecznie?

Niekoniecznie. Ja czytam wszystko. Na dziesięć kupionych książek dwie są takie do zaakceptowania. Nie śledzę tych rankingów. Mam oczywiście swoich autorów, takich których lubię i ich książki staram się śledzić, a nawet kupuję wielokrotnie. Jest taki mało znany autor hiszpański Arturo Perez-Reverte. Świetnie tłumaczony przez Filipa Łobodzińskiego, który grał w *Panu Samochodziku*. Teraz czytałem ostatnią książkę Reverte *Oblężenie*. To taki ciekawy autor, do którego często wracam i kupuję książki. Są też i inni autorzy, do których wracam, ale nie mam serii wydawniczej czy pewnego rodzaju literatury, którą bym bardzo lubił. Ciekawa książka to jest ciekawa książka: powieść, reportaż... Teraz ostatnio czytałem *Dzienniki kołymskie* Jacka Hugo-Badera - takie króciutkie opowiadania oddające istotę Rosji. Na Kołymie, na drodze do Jakucka - tam jeszcze można spotkać takie zachowanie charakterystyczne dla Rosjan, w zasadzie dla ludzi radzieckich. Ono było specyficzne. Tam jeszcze jestem myślami...

– Bardzo dziękujemy za rozmowę.



ROZMOWA Z PROFESOREM TADEUSZEM BUJNICKIM (IBI „ARTES LIBRALES” UW, WARSZAWA)

ROZMAWIAJĄ: MONIKA JANISZTA, MONIKA JURKOWSKA

- Skąd u Pana zainteresowaniem Kraszewskim?

- Interesuję się właściwie nie samym Kraszewskim, to są bardziej powieścią historyczną, dziewiętnastym wiekiem. Jest to obszar, w którym Kraszewski się mieści i to jeden powód. W Kraszewskim zainteresował mnie szczególnie jego związek z Litwą, związek taki, który jest historyczny i dość aktualny, o czym mówi mój dzisiejszy referat - *Litewskie pogranicza Kraszewskiego*. To jest kolejny powód mego zainteresowania tym pisarzem.

- Pisywał Pan Profesor już jakieś artykuły czy rozprawy dotyczące Ignacego Kraszewskiego?

- Mam już na swoim koncie trzy większe rozprawy o Kraszewskim i mam nadzieję, że to nie jest jeszcze koniec (śmiech). A poza tym Kraszewski ciągle wchodził mi w paradę przy różnych innych pracach, jego miejsce w literaturze dziewiętnastowiecznej jest nie do zakwestionowania. Tak to widzę.

- Co najbardziej Pan ceni w swoim zawodzie?

- Hmm... To jest właśnie takie pytanie, na które się tak łatwo nie odpowiada, bo można odpowiedzieć

banalnie, albo zbyt poważnie. Tak naprawdę nie miałem być polonistą, tylko historykiem, ale jednocześnie jestem trochę rodzinie zdeterminowany do bycia filologiem. Mam to w genach. Mój ojciec był polonistą, dlatego tą literackość mam wpisana w swoją biografię. Wreszcie, ponieważ tak się złożyło, że moje losy związały mnie w pewnym momencie z Krakowem, a Kraków ma znakomitą polonistykę, więc te zainteresowania jeszcze dodatkowo się wzmocniły. Dla mnie osobiście jest to ważna rzecz być polonistą. Myślę, że nawet w obecnych, tak niechętnych humanistyce czasach, powinna być jakaś grupa ludzi, którzy mają swoje pasje i swoje marzenia. Także ja mam wewnętrzną motywację, by być polonistą nadal (śmiech).

- A jak Pan widzi szanse dalszego rozwoju polskiej humanistyki? Na jaki obszar badań powinni zwrócić szczególną uwagę studenci filologii polskiej?

- Generalnie rzecz biorąc, musiałbym to skonsultować (śmiech). Natomiast mi osobiście się wydaje, że jesteśmy w takim przełomowym momencie, kiedy formułuje się za-

sada dawnej lektury, dawnego czytania tekstu, czytania książki. Jesteśmy na rozdrożu, bo z jednej strony mamy czytanie wirtualne, przez Internet, a to jest inny rodzaj czytania. Są różne namiastki i są przejścia z literatury do różnych innych dziedzin sztuki. To powoduje, że trzeba się w tym nowym świecie i w nowych sytuacjach odnaleźć. Ja osobiście myślę, że pewien rodzaj tradycyjnego myślenia powinien się zachować, po prostu jest potrzebny. Czytanie jest bardzo ważnym i niezbędnym elementem ludzkiego życia. I ja właśnie myślę o tym, jako o jednym z elementów, o które warto się starać i którym należy poświęcić trochę uwagi.

- Ostatnie już pytanie, czy może ma Pan Profesor jakieś rady dla studentów, studentek ostatniego roku filologii polskiej związane z zawodem polonisty?

- Bycie polonistą jest to troszeczkę taka misja, ale jeżeli nie używamy słów największych, to wydaje mi się, że ten nasz zawód, zresztą nasze zawody (bo przecież to nie jest tylko jeden taki zwykły kształcący zawód), to one w moim przekonaniu powinny pozostać nadal takimi, które pozwalają dawać pewne satysfakcje z obcowania z czymś więcej niż tylko naszą aktualność. Wydaje mi się, że należy z tym zawodem odważniej eksperymentować, jeżeli się go uprawia w sposób bardziej nowoczesny, należy sięgać po nowe narzędzia, ale jakie to są narzędzia – tego młodym filologom raczej tłumaczyć nie trzeba (śmiejch). W każ-

dym bądź razie nie uważam, że nasz zawód jest zawodem straconym. Jestem optymistą!

Tadeusz Bujnicki – profesor, historyk literatury, krytyk literacki i edytor. W kręgu zainteresowań badawczych przede wszystkim twórczość Henryka Sienkiewicza. Zajmuje się systematycznie literaturą polskiej emigracji oraz literaturą i kulturą Kresów Wschodnich, dążąc m.in. do całościowego opracowania twórczości literackiej Wilna – temat ten jest profesorowi szczególnie bliski, ponieważ Wilno to jego miasto rodzinne.

SPOTKANIE Z JANEM KAMIŃSKIM NAD RĘKOPISEM KSIĄŻKI *CZAS BUDZIKA*

NATALIA GUZIEJKO, DOROTA WORONA

Spotkanie odbyło się z inicjatywy Klubu Humanistów, 18 grudnia 2012 roku, na Wydziale Filologicznym UwB. Prowadzącym był dr Krzysztof Korotkich. Tematem przewodnim rozmowy miała być uhonorowana Nagrodą im. Wiesława Kazaneckiego *Książka meldunkowa* oraz przygotowana do druku książka *Czas budzika*. Wypowiadali się o niej różni uczestnicy spotkania, przyznając, że ma niezwykle wprawnie poprowadzoną narrację, przez co wprowadza czytelników w inną rzeczywistość. Dla człowieka znad Wisły jest to opowieść o Podlasiu, małej, polskiej wsi. Oczywiście – oprócz książki zebranych interesowały także inne kwestie. Oto niektóre z zadanych pytań.

- Jaka jest Pana ulubiona epoka literacka?

- Romantyzm, zawsze chciałem być Werterem! Od dziecka byłem zafascynowany twórczością Mickiewicza. Miałem wtedy dziesięć lat. Uznałem go za geniusza. Mickie-

wicz w gruncie rzeczy był szkodnikiem. Zainfekował społeczeństwo szaleństwem. My jesteśmy romantykami. Nic się nie da z tym zrobić. Jesteśmy uwikłani w romantyzm.

- Najsilniejszy bodziec do pisania to życie czy wyobraźnia?

- Wiersz bez życia nie ma sensu, jak pisał Tadeusz Różewicz. W sumie jedno i drugie.

- Czym dla pana jest pisanie?

- Robotą, raz ciężką, raz lekką, raz przyjemną, a niekiedy trzeba się do niej zmuszać... Jest to najważniejsze zajęcie. Trzeba być przygotowanym, że nie zawsze się spodoba. Poczuję się dumny, że zostałem nazwany podlaskim Marquezem. To pisarz z wyobraźnią, którego bardzo cenię.

- Najzabawniejsze wspomnienie z czasów, kiedy był Pan nauczycielem?

- Przed sprawdzianem z języka polskiego uczennica postawiła na moim biurku szczura. Po czym powiedziała: „Jak Pan mi nie zaliczy, to on Pana przytnie tu, na szyi”. Teraz jest profesorką na WSAP-ie. Innego dnia, chcąc wyjąć podręcznik ze

swojej szuflady, znalazłem białego, najedzonego węża. Był też taki Grześ, który miał zawsze ze sobą butelkę coca-coli. Im więcej jej popijał, tym był weselszy. Okazało się, że połowa butelki zawierała wódkę. Jeszcze jeden z uczniów wymyślił hymn szkoły, którego refren brzmiał:

*Pałą w leb,
Pałą w leb,
Tak Popiołkowa
zarabia na chleb*

Naszą szefową była właśnie Pani Popiołek.

- Za co Pan ceni wieś?

- Ja się na wsi wychowałem, to jest powrót do dzieciństwa. Wolę przebywać na wsi, bo tam piszę. Tam nie ma spalin, mam zadbane dom, bibliotekę, domek dla gości. Mam ksywę na wsi – Jan „Kurwa” Kamiński. Ja tam za jakiegoś mędrca uchodzę, mimo że jestem ateistą.

- Jacy są Pana ulubieni autorzy?

- Zmieniają się, lecz mam paru stałych. Homera cenię za *Odyseję*, Konfucjusza, Cervantesa – jego wprawdzie źle się czyta, ale stworzył legendę; Villona, Rabelais’go, Moliera, Szekspira, Czechowa, Marqueza, Coetzee’ego. Kapuściński był bardzo dobrym pisarzem, chociaż się do niego czepiają, ale mogą go pocałować w d... Poza tym z polskich pisarzy lubię Stasiuka i Tokarczuk.

- Jakim mottem się Pan kieruje?

- Słowami Gianniego Vattimo: *Dzięki Bogu, jestem niewierzący.*

Podczas spotkania autor również zwrócił uwagę na pojęcie patriotyzmu i starości. O patriotyzmie powiedział: „Będziemy bez przerwy chcieć konspirować. Jest w nas lęk. Jest to zjawisko, którego nie potrafię zrozumieć”.

Starość nazwał „poczuciem smętności”, precyzując: „Przestają do Ciebie dzwonić, zapraszać. Urywają się znajomości. Starzenie się i odejście na emeryturę stało się bardzo korzystne. Nie boję się śmierci. Trzeba myśleć o tym, co jest teraz i co jest do zrobienia. To, co miałem do wygadania, opisałem w książkach”.

Na koniec uczestnicy mieli okazję usłyszeć kilka fragmentów z niewydanej jeszcze książki pisarza pt. *Czas Budzika*. Autor przyznał, że podczas spotkania nie czuł się skrępowany. „W ogóle mnie państwo nie zdeprymowali” – dodał.

Kolejne spotkanie z Janem Kamińskim planowane jest na wiosnę 2013 roku.

ROZMOWA Z PROFESOREM

MARIANEM
ŚLIWIŃSKIM

MONIKA JANISZTA I MONIKA
JURKOWSKA

- **Dzisiejsza Konferencja poświęcona jest Ignacemu Kraszewskiemu. Wygłasza Pan referat zatytułowany *Rzym Kraszewskiego*. Skąd u Pana zainteresowanie tą tematyką i tym pisarzem?**

- Zajmowałem się romantyzmem i całym wiekiem XIX, co świetnie pomogło mi to w przygotowaniu mego wystąpienia dotyczącego Ignacego Kraszewskiego. Moja metoda się sprawdziła, bo okazuje się że w twórczości Kraszewskiego mieści się cały wiek XIX i cała nowożytność. Przez niego można czytać wszystkich wieszczów i cały romantyzm, bo to jest ten sam typ świadomości, ta sama struktura świadomości. Czytając utwory Kraszewskiego można odtworzyć dziewiętnastowieczny światopogląd.

- **Pisał Pan może już jakieś artykuły, referaty na temat Kraszewskiego?**

- Nie. Dotychczas jeszcze nie.

- **Co w Pana życiu sprawiło, że zaczął Pan patrzeć na literaturę przez pryzmat filozofii?**

- Kiedyś wpadłem na inny sposób myślenia, a było to po studiach. Okazało się, że był to sposób myślenia, który istniał już przed nowożytnością, a większość ludzi tkwi w myśleniu nowożytnym i tego nie wie. Ja mam inny paradygmat europejski i akcentuję go.

- **To są takie dosyć filozoficzne spostrzeżenia.**

- Nie do końca. To są rzeczy prawie tak proste i elementarne jak codzienność. Latem byłem na jarmarku dominikańskim i zobaczyłem stoisko z książkami, przy którym stało dwóch kleryków czy księży – nie rozróżniam (śmiech). Zacząłem z nimi rozmawiać. Przedstawiłem się, powiedziałem, że jestem niepraktykujący, ale praktykuję w formie pisania o literaturze. Oświadczyłem, że piszę o Kraszewskim. Wywiązała się rozmowa między nami. W pewnym momencie powiedziałem, że katolicy to serce, a reformacja to rozwój. A oni na to, że: przecież jest odwrotnie (śmiech). Okazało się, że mam sprzymierzeńców, oni są lefebrystami, bractwem Piusa X (przyp. red.)¹.

¹ Lefebryści – Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X, katolickie, suspendowane stowarzyszenie życia apostołskiego. W szerszym znaczeniu obejmuje także osoby świeckie popierające cele ruchu. Podstawą działania Bractwa jest przekonanie o panującym kryzysie wewnątrz Kościoła katolickiego. Władze kościelne uważają to zgromadzenie kapłańskie za grupę schizmatyczną, rozłamową.

- **Interesuje się Pan filozofią, a po jakie książki sięga Profesor najczęściej?**

- Filozoficzne. To są głównie książki filozoficzne. Trzeba czytać filozofię.

- **A którego z filozofów najbardziej Pan ceni?**

- Nie można rozróżniać. Sama myśl filozoficzna jest niezwykle interesująca.

- **Dziękujemy za rozmowę.**

- Ja również.

WYWIAD Z PROFESOREM

JAROSŁAWEM
ŁAWSKIM

MONIKA JANISZTA I MONIKA
JURKOWSKA

- **Jest Pan Profesor autorem wielu prac naukowych, nie sposób wszystkich wymienić...**

- Ale to wcale nieprawda, jestem autorem tylko chyba pięciu książek, no i do tego artykuły. Nie ma ich zbyt dużo, ale za to są grube (śmiech).

- **A jak wygląda u Pana proces pisania rozprawy naukowej? Jest to trudne? Długo trwa?**

- Nigdy nie piszę rozpraw naukowych. W ogóle nic bym nie stworzył, gdybym chciał napisać, jak mówicie - rozprawę naukową. Chodzę po prostu długo, najczęściej pół roku, rok, czasem kilka lat z jakimś tematem, który mi się sam powoli klaruje, układa w głowie. Jest faza, kiedy przymuszam się (śmiech) do spisania tego, co wymyśliłem, najczęściej trwa to miesiąc, dwa miesiące, kiedy męczę się z tym, żeby zasiąść do pisania. I dopiero potem, w zasadzie bez przeszkód, najczęściej w ciągu dwóch dni piszę tekst. Podobnie rzecz się ma z książkami. Nie piszę ich od razu, jednym ciągiem, tylko piszę fragmentami równocześnie na przykład dwie, trzy książki.

- **Rozprawę doktorską pisał Pan Profesor w podobny sposób?**

- Równocześnie pisałem inne rzeczy. Nie było tak, że zmuszałem się do pisania rozprawy doktorskiej na jakiś termin. Prawdopodobnie bardzo wiele osób paraliżuje takie myślenie, że muszą napisać coś na bardzo określony czas.

- **A czy lubi Pan swój wykonywany zawód i pisanie?**

- Lubię, czasem nienawidzę.

- **To dlaczego akurat taką profesję Pan wybrał?**

- Bardzo chciałem być nauczycielem, ale takim nauczycielem w szkole. Cała rodzina pukała się w czoło i załamywała ręce nad moim

wyborem. Wszyscy pytali mnie dlaczego nie idę na prawo, na jakiś inny kierunek, który zapewni mi godne życie, karierę. A ja chciałem być właśnie nauczycielem i potem zaskoczeniem dla mnie też było, że zostałem nauczycielem akademickim.

– Co w ciągu tych dwudziestu lat pracy na uczelni sprawiło Panu największą satysfakcję?

– Ba, no to pytanie najczęściej się odpowiada, że studenci, dydaktyka, osiągnięcia naukowe... ale wiecie co mi sprawia w tym zawodzie największą satysfakcję? – WOLNOŚĆ. Wolność, że jak chcę to piszę, że jak chcę to uczę, że jak chcę to mam wolny czas. Wolność i taka możliwość bycia niepokornym, takim polonistycznym szatanem (śmiech).

– A czy może pamiętać Pan jakąś zabawną sytuację, która przydarzyła się Profesorowi u nas na uczelni?

– Były setki takich sytuacji. Ja lubię się śmiać, szczególnie jak widzę studentów to od razu chce mi się śmiać (śmiech). Także dlatego, że przypominam sobie samego siebie w tym czasie, a mam raczej niezłą pamięć... Ale taką największą radość sprawił mi kiedyś pomysł studentów, którzy postanowili spisać różne moje powiedzonka z zajęć, z wykładów. Później zostały one wywieszane na korytarzu naprzeciwko auli. To było fantastyczne! Niesamowita nobilitacja.

– A jakich studentów ceni Pan najbardziej?

– Spokojnych, pracowitych i ambitnych bez przesady.

– Te cechy łączą się ze sobą?

– Dzisiaj wiele jest takich osób, które mają dużo ambicji, za którymi nie idą wysiłki. Ludzie sobie wyobrażają, że można wszystko szybko osiągnąć bez czytania, pisanania, poprawiania, czyli tego wszystkiego, co się składa na taką „męczarnię polonistyczną”. Studenci coraz częściej zapominają, że czasem trzeba się zamknąć w czterech ścianach i posiedzieć z tekstem, z tekstami, pomyśleć... Chcieliby mieć wszystko szybko, efektywnie i jeszcze pieniądze z tego (śmiech).

– Czy mógłby Pan Profesor dokończyć zdanie? Studenci nigdy by nie zgadli, że w dzieciństwie marzyłem o:

– ...o tym, by zostać leśnikiem.

– To bardzo ciekawe. A dlaczego ten zawód Pana tak zafascynował?

– Ja jestem z lasu. Wychowywałem się w Puszczy Piskiej, w takiej miejscowości turystycznej – Spychowo. Wszyscy tam wokół związani byli z lasem i ja też chciałem być leśnikiem.

– I nie udało się Panu zrealizować tego marzenia?

– No niestety nie. To moja największa klęska życiowa. Pozostało mi jedynie chodzenie po lesie, zbieranie grzybów i to, że wiem (co jest dzisiaj można powiedzieć nawet nienormalne wśród humanistów) jak się poszczególne rośliny i zwierzęta nazywają. Nie mówię,

kiedy widzę ptaka: ptak, ale potrafię powiedzieć, czy to wrona czy zimorodek.

– **A co lubi Pan Profesor robić w wolnym czasie? Oczywiście już poza pisaniem, czytaniem...**

– Bardzo lubię kino, film.

– **Polskie kino czy niekoniecznie?**

– Niekoniecznie. Chociaż moim ulubionym filmem, takim numer jeden na świecie jest *Rękopis znaleziony w Saragossie*. Uważam, że to najwspanialszy film i najmądrzejszy, jaki kiedykolwiek nakręciono. A co jeszcze lubię? Hmm... zostawię to innym do namysłu. Moi wrogowie będą wiedzieli co mam na myśli (śmiech).

– **A jaka jest Pańska dewiza życiowa?**

– Nie jest źle.

– **A gdyby Pan mógł coś zmienić w swoim życiu, to co by to było?**

– Niczego bym nie zmienił w swoim życiu. Nie chciałbym być znowu młody...

– **Dlaczego?**

– Bo człowiek jest obliczony na jedno właśnie takie życie, jakim żyjemy wszyscy.

– **Czyli teraz jest Profesorowi lepiej niż wtedy, gdy był Pan młody, studiował ...?**

– Tego człowiek się dowiaduje, jak jest już starszy, że każdy etap życia, także młodość ma swoje blaski i cienie. Człowiek młody ma dużo siły, naiwności i nie za wiele czegoś takiego, co można by nazwać życiową mądrością. Dlatego czasem się śmieję, kiedy widzę studentów (śmiech).

– **A jak się układa Pana współpraca ze studentami w takim razie?**

– To pytanie w zasadzie do Was ☺. Z mojej strony współpraca układa się całkiem dobrze. Nie cierpię dydaktyki, nie cierpię iść na zajęcia, ale gdy już tam jestem, to jestem zachwycony i szczęśliwy.

– **A woli Pan wykłady czy ćwiczenia?**

– Teraz jestem już w takim okresie życia, że najbardziej lubię seminaaria. Krótkie, konkretne i zazwyczaj pełne śmiechu.

– **Czy chciałby Pan jeszcze coś osiągnąć w swoim życiu naukowym? Marzy Profesor o czymś związanym z wykonywanym zawodem?**

– W zasadzie już niespecjalnie mogę coś osiągnąć, ale chciałbym jeszcze wychować kilku zdolnych doktorów, którzy będą pracować w tym zawodzie.

– **A marzenia związane z Pana życiem prywatnym?**

– Hmm... żeby dzieci były zdrowe... Jak chłop, który sieje na polu, takie mam marzenia (śmiech). I by pojechać z rodziną gdzieś do ciepłych krajów na wakacje.

– **To życzymy tego Panu serdecznie i dziękujemy za rozmowę.**

– Ja również dziękuję.

MAŁGORZATA WOJTOWICZ

NA STRAŻY HISTORII – UWAGI O PRACY
ARCHIWISTY POŁĄCZONE Z FRAGMENTAMI
ROZMOWY Z RYSZARDEM JARMOŁOWICZEM
– PRACOWNIKIEM ARCHIWUM
PAŃSTWOWEGO W SUWAŁKACH

Archiwum to miejsce, które dla większości z nas kojarzy się z przeszłością i zapachem starych akt. Z osobami cicho pochylonymi nad księgami lub starymi papierzyskami, niczym w średniowiecznym skryptorium... Z podmuchem historii, wydobywającej się z każdego zakamarka spokojnego, wypełnionego po brzegi księgami pomieszczenia, w którym samotny człowiek ze stoickim spokojem i poczuciem powagi swego zadania, oddaje się pasji, której poświęcił życie – porządkowaniu źródeł, które należy pozostawić przyszłym pokoleniom...

Okazuje się jednak, że w dobie postępującej informatyzacji i rozwoju społeczeństwa, archiwista staje się postacią o wiele bardziej ciekawą i barwną niżby wskazywał na to jego stereotyp. Jak dowiedziałam się od Ryszarda Jarmo-

wicza – pracownika suwalskiego Archiwum Państwowego - dzisiejszy archiwista to człowiek o wszechstronnych zainteresowaniach, idący z duchem czasu, dostosowujący się do wymogów nowoczesnej instytucji, którą coraz częściej staje się właśnie archiwum. Obok dawnych zadań gromadzenia i odpowiedniego przechowywania zasobów archiwalnych, pracownicy tych instytucji stają przed zadaniem zdigitalizowania akt (poprzez wykonywanie mikrofilmów czy skanów) oraz nowe sposoby kontaktu z użytkownikami. Odbywa się to przede wszystkim dzięki poczcie internetowej oraz komputerowym bazom danych, pozwalającym na zapoznanie się z zasobami archiwum, bez konieczności wychodzenia z domu i ponoszenia dodatkowych kosztów.

„Archiwista nie może obecnie ograniczyć pola działania jedynie do szperania w dokumentach, ale musi zgłębiać tajniki informatyki – powiedział Jarmołowicz. – Co więcej, musi posiadać szeroki wachlarz kompetencji i wiedzy pozahistorycznej. Nie wystarczy bowiem znać historię, lecz trzeba również doskonale orientować się w kwestiach prawnych, zasadach działalności różnych instytucji czy obsłudze zaawansowanych technologii”. Mój rozmówca uświadomił mi również, jak ważna w pracy archiwisty jest umiejętność słuchania drugiego człowieka i umiejętność dialogu. „Użytkownicy, przychodzący do archiwum, bardzo często nie są specjalistami, tj. historykami czy archiwistami i nie orientują się w gąszczu spraw ewidencyjno-sprawozdawczych. Potrzebują wsparcia i pomocy, by po pierwsze móc zacząć a w rezultacie owocnie skończyć swoje poszukiwania” – powiedział pan Ryszard.

A jakiego typu badania prowadzą przychodzący ludzie? „Najczęściej genealogiczne. Wielu szuka swoich korzeni, tak dla siebie, po prostu – informuje Jarmołowicz. – Chociaż czasami zdarzają się i poszukiwania własnościowe, potrzebne przy ustalaniu spadków czy darowizn. Rzadko natomiast, zwłaszcza w ostatnich latach, odnotowujemy poszukiwania w celach naukowych”.

Jak widać praca archiwisty okazuje się niezwykle ciekawa.

Nowoczesny archiwista to człowiek doskonale obeznany w przeszłości, na rzecz kreowania rzeczywistości bliskiej, współczesnej. Ma możliwość ciągłego kontaktu z ludźmi, pomagania im w rozwiązywaniu problemów, szukaniu rodzinnych korzeni. Stoi na straży prawdy historycznej nieskażonej żadnymi interpretacjami. Bo przecież aby mogły powstać opracowania, podręczniki, relacje - ktoś najpierw musi dotrzeć do źródeł...

OTWIERAMY SZUFLADY

– NASZA TWÓRCZOŚĆ

KATARZYNA WOJNO

Przyznanie

Nie mam was w pogardzie – tylko ciszą parzę
I dziś się nie odważę
I dziś nie chcę nawet
Przekraivać duszy
Wydzielać jej części oczom nieznanym
- spragnionych poczęstunku uniesień
Nie ma – jeszcze – szans, że podzielę się z wami tym bochenkiem
Wypiekałam go starannie, zbyt długo, a teraz nasiąka powietrzem
I – podobno (o czym mówi przez sen) – dojrzewacieje
I nie wiem, kiedy przestanie – czekam zatem
Czekam – na wyznanie

Pocałunek

Ty...
- tak pięknie brzmi
Twoje imię, które we mnie krzyczy
Rozsadza zmysły
Dreszczami nieogarnięte
Jak szkło pękające
Powodując nagłe ocknięcie
Kiedy spada i trzaska o ziemię
O struny mej aorty
Krew zbliżając do gardła
I muśnięciem wydechu
Mą wewnętrzną czerwonością
Wyciska ślad na Twoich boskich koralach

Fraszki starszych małżeństw

Ganisz mnie za wczorajszy lament
O bzdet wyimaginowany
O pisk niemiłosiernie czarny
A ja tupię dalej
Tup!, tup!, tup!
A Ty w śmiech, żem silna tak
Że ubłagać nie dam się
Niewyobrażalna
Zadziwiająco kobieca
I tak przystanę na swoim
Trochę pownerwiam
Porobię różki kózki, skacząc z lewej do prawej nózki
I jeszcze raz przytupię – dla śmielszej jasności
Upewniając się, że dalej chcesz zostać
Zostać – na starych kościach

Goniąc

Świat przyśpiesza
Mrok wszystko dobre przygasza
Złudzeń mara nas osacza
Zdarzeń wielu
Bezpowrotnych
Bezsensownie wielkich mownych
Sporów o nic
Gdybań błahych

A życie dalej przecieka przez palce
Niedotknięte gestem
Nieuznane sercem
Nieutulone
Niem

Mózgoczaszce

Nic niewarte jest twoje pisanie
Krzyczą głosy na mnie
Jak drapieżne pioruny nad ranem
Choć słucham ich z niedowierzaniem
Ganię je za to ostre szczekanie
Już kolejny raz jest mi głupio
I nie wiedzieć jak – smutno (?)
Że tak bez serca je odganiem
Jak kury sąsiada na mym podwórku
A one też dopominają się o głos
O chwilę uznania
O niewidzialny cyrograf ze światem
O dzień bez siedzenia w klatce
Skonstruowanej z sieci żył, z sieci ciasnej

Kuszenie

To zabawne
Udało mi się wygnać bestię
Tak po prostu
Gdy skradała się do mej sypialni
O nieprzytomnym czasie
O wyciszonym głosie
Chciała wtulić się w pościel
I posmakować dobroci
Krzywdząc moją ciepłotę

To zabawne
Wygnałam bestię
Której przejadły się rozpustnicy
I wyzyskiwacze srebrnych tacy

To zabawne
Że padło akurat na mnie
Na diabelskość odzianą w skrzydła białe

Bezbolesność

Świat przepływa bezboleśnie
dla tych, co nie widzą:
błagalnych oczu o łyżkę stawy
nieprawdy w rutynie
zguby w pieniądzu
wiary w ludzkie dobro
uśmiercania serc
w niesprawiedliwym osądzaniu
w nieczystym graniu
z własną wrażliwością
wciąż zamiataną przez pociągi piasków
przez burze huraganów
przez zastępy grzesznych
i w czyścicu błąkających

Nie widzą siebie
Nie wiedzą, że „Jestem”

Bez żalu

Nie mam żalu do spóźnionych bohaterów
O karty rozdane bezrękim oczom
Nie mam żalu do zmęczonych powiek
Przejętych codziennością
Obsianą grozą
Mają prawo

Nie mam żalu do spóźnionych otarć o rany
Do kwadransów kochania
Do przebłysków jasnego patrzenia
Zbyt późnych do ocalenia

Nie mam żalu do próżni, której zabrakło
Próżni, gdzie wrzuciłabym wszystkie smętne
I niepotrzebne myśli
Które są jak wsysacze energii
Gubiące czujność

Nie mam żalu do świata, który nie przetrwał
Do resztek natury, których bezrefleksyjny ochłap

Otwiera stare blizny
Smutniejące w duchu

Nie mam żalu do okrzyków *carpe diem*
Nieczułych na dotyk
Zapomnianych w sobie

Nie mam żalu o to, czego nie było
Co jest i co chceć przybędzie
Co wyzwoliło żądzę przetrwania

Nie mam żalu o ludzką nieidealność
O niedopowiedzenia w oczy
O instruktaż jak żyć

Nie mam żalu o tlen zalegający w synapsach
O nadpobudliwość dzieciątek
Z godzinnym planem na każdy wtorek i piątek

Nie mam żalu, że zabrakło Ciebie – Ojczy
W najgorszym dla świata obłędzie:
Zabijania i rodzenia na siłę

Nie mam żalu, że nie istnieję
Że... chciałam zobaczyć jak to jest
Jak to jest być częścią Twoich stworzeń

Ratunek w złym

I znów widziałam oczy diabła
Krwią wścieklej nocy przeżarte
Odmawiały lucyferyczną litanię:
Za więcej zerwanych rajszych jabłek
Za warkocz kobiecych rąk deptany
Za ufność pokładaną w szaty
Za rzeź niewiniałek błędnych
Za nieposłuszeństwo nasze
Za śmiech faryzejski
Za chichot czarny
Za zgnicie wiary

I znów płakałam

Sercem rozgrzanym od piekielnej stawy
 Pokornie klękając do smutnej ściany
 Szukając w niej bajek pocieszenia
 Od Boga, którego jeszcze rano widziałam
 Zanurzając się w tafli wschodzącego słońca
 Wiedząc, że głaskającym spojrzeniem przytulał moje oczy
 Przemęczone nocną bezczynnością

Wolni oszuści (?)

Dziś wolność nic nie znaczy
 Jest ideologią egoizmu
 Kłamstwem jak pacierz
 Wymysłem na potrzeby marketingu
 Abstrakcyjnym robactwem
 Zamkniętym w klatce
 Uwitej ze złudzeń
 Że coś znaczysz, że masz prawo

Nie wierzę im – nie wierzę wcale

WOLNOŚĆ istnieje tylko tam, gdzie
 Wszelkie granice
 Nakazy i zakazy
 Nie mają prawa głosu

Przeszłość nie-przeszła

Momenty nie-zatrzymań
 Nie-wykwitłych zdarzeń
 Nie-wymówionych oczarowań
 Nigdy niewpatrzonych oczu
 I nigdy niewykorzystanych szans
 Przyłgnęły do mego cienia
 Udając dzieci nieukołysane
 Niedorośnięte
 Niepełnosprawne
 Niezmaterializowane
 Jedynie powstałe w załączku

W łonie psychicznej Marzycielni

A ja pytam: dlaczego?

Dlaczego mam niańczyć

Przeszłość bezbarwną

Ubraną w melancholijną bańkę

W której wszystkie zdarzenia

Dawne

Przeszłe

Dziś nieważne wczorajsze

Wrzucone są jak podłamane kwiaty

Nieuleczone

Nieoddane do kliniki chorób niewykrywalnych

IZABELA GRZEGORZEWSKA

Świst

Świst.
 Jakiś... pisk?
 Może błysk?
 Czerwony reflektor
 Oślepiający sztos
 W powietrzu zgrzyt
 Rozlany skrypt.
 Załamanie bram
 Prętów dźwięk
 Karoserii brzęk
 Muzyczny zgiełk
 Lecz nie... nie ten.
 To nie klawiszy szept.
 Pęka skroń?
 To też nie to.
 Przekrwiony obraz.
 Wizjoner raz, przelotnie spadł.
 Ślady przetarte...
 Szlaki zatarte.
 Głęboki ryk?
 Płacze krzyk?
 To nic... rutyna drwi.



Izabela Grzegorzewska – studentka I roku Filologii Polskiej UwB, interesuje się szeroko pojętą twórczością (zarówno poetycką, jak i prozatorską), czyta liczne książki, sama również tworzy, gra w siatkówkę, słucha muzyki, a w wolnych chwilach uwielbia spotkania z przyjaciółmi i rozwijanie swoich teatralnych zdolności.

JULITA ZBIEGIEN

Czas narodzin, czas życia i śmierci
Czas radości, czas zabawy, żaloby
Czas miłości, tęsknoty i smutku
Czas nadziei, modlitwy, zadumy

Narodzeni, żyjący, umarli
Radośni, rozbawieni, płaczący
Zakochani, zamyśleni, zasmuceni
Wierzący, że wszystko się zmieni

Rodzimy się, żyjemy, umieramy
Śmiejemy się, bawimy, łzy lejemy
Kochamy, tęsknimy, pamiętamy
W modlitwie Boga błagamy

O zdrowe dziecko, szczęśliwe życie, dobrą śmierć
O radość, którą możemy innym nieść
O miłość bez tęsknoty i smutku
I o to wszystko walczymy pomalutku

Po głowie wciąż chodzą myśli te same
Od wieków niezmiennie, niezrozumiane
Gdyż wiek to jak dzień, gdy jesteś kochany
A dzień jak wiek, gdy jesteś niechciany
Człowiek stworzony jest do miłości
Bo Bóg go stworzył z czułości
Czeka na nią jak na życiowy test
Lecz czy miłość każdemu przeznaczona jest?
Żyjesz wciąż z myślą, że spotka ona cię
Że będzie jedyna, gdy zakochasz się
Jednak po każdym przeżytym dniu
Zapada nadzieja na ten mały cud...



Julita Zbiegien – jestem studentką II roku filologii polskiej, od zawsze zakochaną w poezji, nie potrafiącą żyć bez muzyki, dźwięki gitary są dla mnie źródłem wielu inspiracji. Uwielbiam podróże, nowe doznania wyzwalają we mnie chęci do życia. Nie potrafię usiedzieć w miejscu, wszędzie mnie pełno, a zarazem uwielbiam błogą ciszę i spokój. Wciąż poszukuję swej własnej drogi, mam nadzieję, że jestem na dobrym tropie... :)

Narodziny to początek naszej drogi.
 Nikt nie wie, gdzie nas doprowadzi.
 Życie to księga z pustymi kartkami.
 A my to długopis, co ją zapełnia.
 Każda sekunda – to wyraz.
 Minuta – całe zdanie.
 Godzina równa się strona.
 Dzień – miesiąc, rok – rozdział.
 Z dnia na dzień, z roku na rok.
 Zapełniamy ją powoli.
 Sukcesy, porażki.
 Co cieszy a co boli.
 Czasami pusta strona.
 To strata po kimś bliskim.
 Udręka, cierpienie.
 To, o czym nie chcesz pisać.
 Pustka oznacza samotność.
 Gruba czcionka nowy okres w życiu.
 Ilość kartek – to, co było nam dane.
 Grubość książki – długość życia.

Przez życie idźmy polonezem!
 Dostojnie kroczy w takt,
 bądźmy tak dumni jak paw.
 Razem pobijajmy świat!
 Niech ta chwila w pamięci trwa,
 bo gdy się skończy, będzie nam żal.
 Cza-cza do zabaw nam się przydaje,
 uśmiechem będzie w pochmurne dni.
 Wszystkie spotkania z przyjaciółmi
 w jej rytmie upłynął mi.
 Rumba to taniec miłości,
 uczucia i namiętności.
 Zatańczmy go razem,
 wirujmy w alei gwiazd.
 Chcę być z Tobą przez cały ten czas!
 Walca zaczniemy późnym wieczorem,
 przy świetle ulicznych lamp.

W parku samotnie krążąc nad mołem,
to będzie taniec nasz.

W siebie wpatrzeni, zauroczeni,
nie odrywając oczu od rąk.

Jedno spojrzenie i świat się zmienia,
w naszym tańcu to ostatni krok...

Sama, – choć wkoło tłum.
Sama, – choć rodzina obok.
Sama wśród ludzi, w domu.
Sama, ale nie samotna.

Bez słów patrzymy na siebie.

Rozmowa prowadzi do nikąd.

Każde z nas myśli co innego.

Każde z nas coś innego chce.

Oddalamy się od siebie.

Popadamy w rutynę życia.

Mały dotyk – czasem wystarczy.

Krótką pieszczota – utuli ból.

Kocham, – lecz samotnie cierpię.

Kocham – łzy smutku wycieram.

Kocham – czy to nam jeszcze wystarczy?

Kocham i szukam pocieszenia.

Noce bez czułego dotyku.

Dni bez małego uśmiechu.

Razem, lecz obok siebie.

Wspólnie, choć oddzielnie.

Patrzymy nie widząc siebie.

Rozmawiamy nie rozumiejąc słów.

Dotykamy nie czując bliskości.

Kochamy się, ale czy z miłości?

Razem – mieliśmy dzielić życie.

Razem – iść przez świata znój.

Razem – dawać, śmiać się, płakać.

Razem – kłaść się i wstawać.

Samotność dopada każdego.

Nawet tego, co kochał całe życie.

Samotność, ona właśnie na nas czeka.

Czy to na początku, w środku czy na końcu życia.

HAIKU – DEBIUTY LITERACKIE
(WARSZTATY ZORGANIZOWANE W RAMACH
DNIA WYDZIAŁU FILOLOGICZNEGO)

Kwiat płonie szybko
Złoty opada na dno
Gdzie się podział smok?
(Anna Brańska)

.....

Słońca to rozkaz
Słuchaj rosnącej trawy
Esencja życia
(Marta Kozieradzka)

.....

Rozbłysło wszystko,
Ale nie wiem dlaczego –
Nie wiem, co robić
(Małgorzata Wojtowicz)

.....

Liść jesienny!
Spada co dzień
Odchodzę
(Anna Nosek)

.....

Nowy poranek –
Brudnoszare popioły
Straconych marzeń
(Marta Tarasiuk)

.....

Nieodwracalnie –
Zieleniąc drzew pąki
Wiosna nadchodzi
(Marta Bartoszewicz)

.....

Śpiewają ptaki
Wiatr szumi w koronach drzew
kołysze się trup
(Ewa Gorlewska)

.....

Kolory wiosny
A wszystko wokół smutne
Czy dla każdego?
(Małgorzata Wojtowicz)

.....

Zimowy bałwan!
Stoi pod moim domem
Straszy ptaki
(Anna Nosek)

.....

Promienie słońca
Odsłaniają krople krwi –
Czas zmartwychwstania
(Ewa Gorlewska)

.....

We włosach drzenie –
Dłoń spragniona zapachu
Aż po nocy śmierć
(Krzysztof Korotkich)

.....

Wieczór grzyw i róż płonących
Pobudka głowy – świątyni bólu
Ktoś obok niego
Oby kobieta
Zerka
O Boże!
(Marta Tarasiuk)

.....

Otwiera ją, dozuje, wsypuje
Wlewa kleiste wnętrze
Oblewa mlekiem,
Dosypuje nasion
Wykonuje koliste ruchy
I wkłada do pieca
Wyjmie jak się zarumieni
Tak się piecze chleb
(Anna Brańska)

TWÓRCZOŚĆ LAUREATÓW KONKURSU LITERACKIEGO IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO I CZESŁAWA MIŁOSZA (I I II EDYCJA)

KAMILA CIEŚLUK
III LO BIAŁYSTOK

PIĘKNA

MADA

„(...) przecież jesteś drgającą struną
w chorale żywych!”

DIALOG

Staszek

Staszek mieszkał w zapadającym się domku przy wjeździe do wsi, od dziadków odgradzał go tylko płot. Życie, które od czasu do czasu wiódł, polegało na osiadaniu kolejnych warstw kurzu na parapetach, wstawianiu tekturek w miejsca wybitych przez burzę szyb, układaniu nóg na krzesła i spoglądaniu w terażniejszość. Powoli mijały minuty, których Staszek nie liczył, bo nawet zegar stał jako ozdoba.

Czas zatrzymywał się dla niego pod sklepem. I tam życie odzyskiwało dawny blask. Nie musiał zajmować się trudną rzeczywistością. Nie musiał życia wieść za uszy, ciągnąć go jak ciężki wózek za sobą. Słońce dawało mu siłę do picia, Słońce było jego najlepszym kompanem, jedynym zresztą. Słońce odbijało się w ciemnym szkle butelek,

tańczyło na puszkach. Od czasu do czasu Babcia nosiła zupę do zapadającej się chałupki. Pewnego dnia kryta strzechą stodoła, która stała na straży Staszkowego domostwa zawałiła się. Pewnego dnia Słońce zmrużyło oczy.

Dzień się kończył, wracałam ze szkoły. Zadzwoiła Mama.

Staszek się zapił.

Spojrzałam na tryskające życiem fontanny, woda, wszystko jest wodą. Wszystko, co żyje, musi mieć wodę; woda – *arche*.

Spojrzałam na bezkres otwartego, majowego nieba. *Arche* to powietrze; powietrze, które przesiąknięte jest tchnieniem – dusza świata.

Otworzyłam oczy szeroko i wtedy dopiero zobaczyłam wieczny wir, w którym się obracamy. Uświadomiłam sobie zmienność świata, i tempo, tempo życia przeciekającego przez palce. Stachu, Słońce to też *arche*, Twoje własne *arche*, wiecznie zmieniający się ogień.

Wiesz, co jest dobre w tym

wszystkim? – pyta mama. – Proboszcz powiedział, że przed Wielkanocą Stach był u spowiedzi.

Babcia i Dziadek

Oto przed nami stoi mały zielony domek - zielony drewniany domek. Zielony to ulubiony kolor Dziadka, dlatego dom przemalował na zielono.

Babcia co roku maluje jajka w *cybulniku*. Robi palemkę z barwinku i bibułkowych kwiatuśzków. Ma tysiąc pomysłów na kolorowe życie, wycina fragmenty z opakowań po herbacie i przykleja je na puszki do kawy. Jest pełna swojej spokojnej życiowej mądrości i niezachwianej wiary w „co ma być, to będzie”...

Ludzie przestrzegali ją przed tym małżeństwem. Ksiądz mówił, że ona nie wie, co to znaczy pijak, wódka w rodzinie. Babcia zawsze mówi „mamusia”, nigdy „mama”, „matka”.; Mamusia babci zmarła bardzo wcześnie. Młodziutka Ela została z Tatusiem i starszą siostrą Anią. Kiedyś dotarliśmy z mamą do starych dzienników i znalazłyśmy Babci cenzurkę; miała same piątki.

ASt.

*„(...) A droga umyka
spod nóg tak szybko, ślad biały się smuży,
że ledwo wzrok wypowie powitanie,
już słabnie uścisk rąk, westchnienie, już po
burzy.”¹*

POWOLNA RZĘKA

Moja Kochana, na Ziemi mija październik.

Wtedy też był październik, koniec października. Wiał wiatr; myślałaś, że idziesz sama. Jak zwykle o mnie zapominałaś, a przecież „Angelis suis mandavit, ut custodirent te in omnibus viis

tuis”. I takie zimne jesienne słońce wylaniało się z oddali, późne słońce, prawie wieczorne. Myślałaś, że jesteś sama, zamknięta w swoim kolorowo – szarym pudełku po zapalkach. Wyjęłaś wszystkie zapalki i cieszyłaś się, że wreszcie jest ciemno i cicho. A ja byłem w Twoich uczuciach, obserwowałem jesienne słońce i czułem całym sobą ciepły młody wiatr.

To wspomnienie automatycznie ewokuje we mnie inne chwile: kiedy byłaś mała, bezbronna, żyłaś tak krótko, że życie cię jeszcze nie doświadczyło. Wieczorem cicho przysiadłem na skraju twojego łóżka. Śmiałem się, kiedy niecierpliwie nasłuchiwałaś, aż ucichną kroki Mamusi. Nakrywałaś głowę kołdrą, brałaś lampę do środka i już byłaś gdzieś indziej. Płakałaś razem z porwaną Danusią Jurandówną, prowadziłaś szablę Bohuna i Wołodyjowskiego, biegałaś tajemnymi ścieżkami Soplicowa i razem z Wokulskim szukałaś prawdy i miłości, młoda literatka.

Nie sposób streścić całej taśmy czasu, ale jedna noc szczególnie utkwiła mi w pamięci. To ta przeplakana, kiedy dowiedziałaś się, że nie pójdziesz do szkoły; nie będziesz nauczycielką. Od każdej uczennicy wymagano skrzypiec, a chory Tatus ledwo wiązał koniec z końcem. I jeszcze jednej nie mogę zapomnieć – kiedy okazało się, że państwo zapłaci za skrzypce, ale było już za późno. Nie przyjęli cię do szkoły. Wciąż czuję te chwile, kiedy postanowiłaś być twarda jak głaz, nie dać się zmóc życiu. Zabrakło Janka, poszłaś do pracy. Spędzałaś całe dni w fabryce tkanin pilnując, aby materiał wychodzący spod taśmy produkcyjnej był bez skazy. Wracając nie miałaś sił ani na Skrzetuskiego, ani na Bohatyrowicza.

¹ Tamże, s. 27

ELA

*„Czymże to wszystko było, jest i będzie -
świat napelniliśmy wolaniem naszym.”²*
POSĄG MAŁŻONKÓW

Biegłam przez wieś niesiona wczorajszym wieczorem jeszcze. Kochałam i byłam kochana, to takie proste szczęście, ale największe zarazem. I przy nim wszystkie smutki wyblakły: nieszczęsne skrzypce, tęsknota za tatusiem, ciche łzy za mamusią, niespełnione marzenia i świadomość beznadziejnej rzeczywistości każdego przeżywanego przeze mnie dnia. Weszłam do sieni, gdzie pachniał suszony rumianek, który matka Janka zbierała każdej wiosny. Siedziała przy stole w kuchni. Przywitała mnie rozbawionym uśmiechem.

Tej drogi nigdy nie zapomnę. Mam zapisaną w pamięci każdą chwilę. Tak, Janku, to były najpiękniejsze chwile w moim życiu. Rok później na spowiedzi ksiądz Wiesław powiedział mi, że takie jest odwieczne prawo natury: ciało przemienie, ciało to materia, która na ziemi zostanie, ale dusza wznosi się zawsze wyżej, dusza ma ważniejsze zadania, dusza będzie trwać. Klękałam wtedy u konfesjonału będąc jak w matni; otepiała, nierozumiejąca. Klękałam nie wierząc w siłę Boskiego Światła, nie wierząc w odżywcze lekarstwo, w jego potęgę. Nie chciałam płakać, ale płakałam i przepraszałam, a wtedy ksiądz powiedział mi „Musisz płakać, bo łzy pomagają”.

I te łzy były tak blisko mnie już wtedy, kiedy zśliśmy razem nad rzekę, ja i ty, oboje pełni nadziei i szczęścia, choć wtedy nie wiedzieliśmy o tym. Wiedziałam wtedy, że masz głębokie oczy i tyle cierpliwości.

Nad rzeką była też Ania, Zoja i Staszek. Zostałam na brzegu, rozmawiałam z Zoją. Wskoczyłeś do wody i popłynąłeś przed siebie; patrzyłam na twoją jasną głowę powoli oddalającą się od brzegu. Szłam bosa po ciepłym piasku, czułam każde ziarenko z osobna, każdy mały mineralik, który fale Narwi przyniosły na brzeg.

*„Miłości moja, gdzieś są, dokąd idą
Błysk ręki, linia biegu, szelest grud -
Nie z żalu pytam, ale z zamyslenia.”³*

SPOTKANIE

Ten rok po twoim odejściu był napisany ołówkiem na pustej kartce. Powoli wymazywałam gumką czyjś zapis moich kroków, otwierałam księgę życia tylko po to, żeby znowu ją zamknąć. Obserwowałam, jak promienie słoneczne pozwalają jabłkom dojrzewać, jak rozlewają się na ganku. Słyszałam, jak śpiewają muchy za firanką, chcą dostać się do środka i wpaść w kompot śliwkowy. Wąchałam zapach pierwszych jesiennych kropel, wstawałam coraz później i coraz wcześniej się kładłam. W końcu poczułam na policzku biały puch i ulepiłam pierogi z kapustą. A kiedy puch zniknął i pojawił się świat zapachów i kolorów, poszłam pochodzić boso po ciepłym piasku. Poszłam uwierzyć, że Ty, Boże, nie traktujesz ludzi jak zwartej masy, ale jak oddzielne ziarenka. Poszłam uwierzyć, że każde ziarenko rzeka może przenieść w dowolne miejsce na mapie, że ziarenko nie ma wpływu na potężny żywioł, jakim jest rzeka. Małe ziarenko musi dać się unosić. Rzeka każde ziarenko potraktuje indywidualnie.

Żeby nie stracić tej wiary, wzięłam w garść mój ciepły piasek i bosa poszłam na plebanie. Takiej spowiedzi nie

² Cz. Miłosz, dz. cyt., s. 29

³ Tamże, s. 42

przeżyłam jeszcze nigdy. Wróciłam. Wróciłam, choć na krótko.

ASt.

Przyglądałem się, jak wstajesz rano i szepcesz „Cholera, jak późno...”. Widziałem, że nie masz pomysłu na walkę z czasem. Miałaś w sercu wielką dziurę i próbowałaś ją zapchać gałgankami.

Chciałaś tak wiele, tak wiele zrobić, tak wiele od życia wziąć.

Wieczorem wracając szłaś pełna tego letniego oddechu, pełna oddechu różowym niebem, ciepłą nocą i oddechu oczekiwaniem.

Nie wiem, dziś, teraz, nie wiem, czasem zastanawiam się, czy Ty sama wiesz, dlaczego za niego wyszłaś. Czy to była miłość? Czy to była taka miłość jak tamta do Janka, czy po prostu tęsknota za kimś, kto byłby ważny?....

*„Serce moje zmęczyło się
Zachwytem,
Rozpaczą,
Gorliwością,
Nadzieją.”⁴*
TAK MAŁO

Przez całe to małżeństwo słyszałaś tylko słowa tego mądrego człowieka: „Nie wiesz przecież, co to pijak w domu”.

I nie wiedziałaś; później często myślałaś o miłości i tej jej „idealnej” postaci, która cukierkowo różowi się w telewizji. On właśnie wyszedł na tydzień i może kiedyś wróci. A może też dojdzie do życiowych podsumowań i któregoś dnia wyłowią go z rzeki. Twoje serce szybko się postarzało. Nie wytrzymało jego nieobecności, nie wytrzymało chodzenia od domu do domu i pytania o niego. Nie miało ochoty na

ciągłą niepewność, na nieustanne myśli o tym, czy on jeszcze żyje.

Czy ty kochałaś? Czy kochałaś na początku, czy kochałaś potem, kiedy rzeczywistość cię przygniotła?

To nie jest dobre pytanie. Czy on kochał?

Myszę o tym, co to znaczy miłość i trwanie w świetle waszego małżeństwa. Myszę o załamanych kobietach po rozwodzie, o tragedii każdej jednostki ludzkiej i tobie, kiedy tuliłaś małe córeczki do snu, kiedy nie wiedziałaś, co będzie dalej. I to trwanie w tym momencie jest dla mnie największą zagadką.

MADA

*„W lesie z obłoków, z piany i ze srebra
żyjemy, pieszcząc pod nogami ziemię.”⁵*
POSAĞ MAŁŻONKÓW

To już koniec października, rano świat zastygł w przymrozku. Niebo jest bezchmurne, słońce zimne, ale to wciąż słońce wibrujące srebrzyście w złotych liściach rozrzuconych wokół nas. Późno popołudniowe promienie zaglądają mi w oczy. Nie odpowiedział na moje pytanie. Chyba zapomniał, zamyślił się. Okno kuchenne wychodzi na ulicę, ulubiony obiekt jego obserwacji. Wpatrzył się w przechodzących ludzi, biegające dzieci, wsłuchał w odległy odgłos szczekających psów. Był na rybach, przed chwilą wrócił; rzeka go bardzo uspokaja. Zastygł pochylony nad ruchem tamtych po drugiej stronie. Ze swojego bezkresu myśli, rozczarowań, wspomnień, spogląda na cudzy bezkres przeżyć. I nie wie być może, że w tym momencie uwalnia swój wewnętrzny ocean. W ciszy wypływa cały ten jego

⁴ Cz. Miłosz, dz. cyt., s.360

⁵ Tamże, s. 29

bezkres, którego nie potrafię objąć,
bezkres tak ambiwalentny.

- Tak, tak.... – odpowiada po chwili.

Dziadku, musisz mnie uwolnić od
twojego bezkresu, bo utonę w nim, utonę
w morzu pełnym sprzeczności i
przeciwieństw. Nie wolno mi wchodzić
w waszą przeszłość do tego stopnia.

Nie mogę tego robić, bo bezkres to
twoje arche, to materia wiecznie odra-
dzająca się, wiecznie żywa.

Cicho zamykam drzwi.

ASt.

*„A serce nie umiera, kiedy, zdawałoby się,
powinno,
Uśmiechamy się, jest herbata i chleb na sto-
le.”⁶*

ELEGIA DLA N. N.

Jednym z trudniejszych wydarzeń
ostatnio był dla ciebie pogrzeb Ani.
Czułaś, jak łyzy zbierają ci się pod gar-
dłem; „Nie odchodź”, myślałaś, „nie
rań”. Kątem oka spostrzegłaś Madę sto-
jącą przy piecu, przy tym ulubionym
piecu Ani, od którego zawsze biło cie-
pło i przy którym zawsze siadałyście,
żeby porozmawiać. Zdziwiłaś się pa-
trząc na to dziecko, tak przerażone i
zdezorientowane. Myślałaś o tym, jak
ona boi się śmierci, czytałaś z jej po-
stawy bezgraniczny lęk i przyjrzałaś się
sobie. Nie, nie znalazłaś w sobie lęku -
tylko pustkę; nie wiedziałaś, kto ci ją
zastąpi. Zostałaś sama, oni wszyscy
zniknęli, a Ty czekałaś na przejście gra-
nicy i nie mogłaś jej przejść.

MADA

Cisza, całe pomieszczenie ogarnęła
głęboka cisza, taka cisza, która towa-
rzyszy przemijaniu. Przestraszyłam się

nagle tego zwykłego pieca, który był
niemym, a przecież tak wymownym
świadkiem przemijania. Zawsze przytu-
lałam się do niego z ufnością i czeka-
łam niecierpliwie na ciepło w ciszy roz-
lewające się po całym ciele. Odczuwa-
łam wtedy bardzo silnie moją cieles-
ność; ciepło było potrzebne mojej skó-
rze. Odczuwałam też „cielesność” pie-
ca, cichą, milczącą, statyczną. To ciepło
mijało, kiedy tylko odchodziłam od pie-
ca. Przypomniłam sobie chwile, w któ-
rych przytułałam się do babci, kiedy
miałam zziębniętą duszyczkę. Napeł-
niałam się ciepłem, które nie przemija-
ło, ale trwało. Spojrzałam na babcię i
usłyszałam ciszę, taką ciszę, która towa-
rzyszy trwaniu.

Cisza, pomyślałam, to arche, cisza to
wiecznie zmieniający się ogień.

ELA

*„Dziś ja, uczeń, poznałem nicość form po-
wabnych (...).”⁷*
DO KSIĘDZA CH.

Cmentarz się nie starzeje. Cichy i
niezłomny, wciąż trwa na straży wie-
czystego spokoju tych, których przyjął
w gościnę. Czterdzieści lat temu nie
pomyślałabym, że Zoja ufunduje kaplicę,
która stanie tu, niczym oaza wy-
tchnienia. Pięćdziesiąt lat temu nie my-
ślałam, że będę przychodzić tu, żeby
porozmawiać z najbliższymi osobami.
Mijam Anię i Piotra - jej męża, Stasz-
ka, za chwilę stanę przed Mamusią i Ta-
tusiem. Zoja, jako fundatorka kaplicy,
spoczywa w grobowcu. Mijam go. Wo-
kół szepce las, a ptaki rozśpiewują się
na słodkich wysokich dźwiękach, ciepły
majowy wieczór. Komary snują się nie-
pewnie wokół mnie. Dobrze, że obok
Janka stoi ławeczka. Postawił ją jego

⁶ Cz. Miłosz, dz. cyt., s. 354

⁷ Tamże, s. 32

brat, chciał ulżyć trochę nam wszystkim, pewnie też sobie, bo przychodziliśmy tu tak często. Muszę złapać oddech. Nie czuję się najlepiej w upalne dni.

Grób księdza Wiesława jest zapomniany i zaniedbany. Na omszałym krzyżu wisi wąty różaniec. Na ziemi rozsiały się konwalie. Groby zapomniane są najpiękniejsze w maju, tak, wtedy są piękne. Natura o nich nie zapomina. Obficie wyściela je konwaliami i bratkami, nawet gdzieś rzuca garść stokrotek.

Chcę pokochać to miejsce już teraz. Czuję się jego częścią, bo ludzie, którzy się mu powierzyli na wieczność, wciąż są żywą częścią mnie.

Natura daje ludziom ciała, i o te ciała się upomina. Bóg ubierając duszę w cielesność musiał przecież wiedzieć, jak bardzo się te dwa elementy muszą zintegrować, musiał docenić dzieło natury. Dzieło tak niezwykle – ciało, które potrafi żyć, które badane od początku dziejów ludzkości wciąż pozostaje do końca niezbadane. Ciało to piękno, czasem piękno w brzydocie, ciało to młodość i starość. Dusza nie zna lat. Czas zostawia swoje ślady tylko w ciele, bo to natura czas odmierza. Nie próbuje mieszać się do spraw boskich. Jak Bóg wzywa duszę do siebie, to ona najpierw zabiera ciało, żeby nie ograniczało duszy w jej pozaziemskich wędrówkach.

ASt.

*„Za mało. Życia jednego za mało.
Dwa razy żyć chciałbym na smutnej planecie,
w miastach samotnych, we wsiach pełnych
głodu(...)”⁸*
ŚWITY

Siedziałaś z Madą, byłyście tylko wy i cichy sierpniowy wieczór. Stół w

kuchni udawał, że śpi, nie chciał przeszkadzać waszym słowom. Powiedziałaś bardziej do siebie niż do niej, ale powiedziałaś – to były ważne słowa, dla niej i dla ciebie:

Przecież to życie takie piękne jest...

Czułyście wtedy, że obie stanowiące tylko oczekiwanie, aż oczekiwanie, że w was obu bije wielkie serce świata, bije potężnym, rezonującym dźwiękiem. Nie płakałaś, bo wiedziałaś, że każdy element tej opowieści był częścią niesamowitej całości, wiedziałaś, że każda chwila rodzi nową i tak bez końca; że to, co się zamknęło było matką dla tego, co się otworzyło. Potomstwo dziedziczy geny po rodzicach i nie ma takiej możliwości, żeby Dziś nie miało na sobie znamion Wczoraj. *Dies diem docet*. Ale Dziś komponuje swoją własną sonatę i będzie grać nową muzykę; swoją własną, niepowtarzalną muzykę.

*„A jednak, twierdzą, to jest ziemia czarów
I w podarunku niesie wieczną młodość.”⁹*

WEZWANIE

Moja Kochana, tak długiego listu nie napisałem już dawno. Właściwie nigdy nie napisałem tak długiego listu.

Piszę do ciebie teraz, bo Dziś daje ci możliwość przeczytania go. Wiem, miałaś nadzieję, że się wreszcie spotkamy, ale Szef wysłał mnie na drugi koniec Wszechświata. Wyobraź sobie, że budujemy nową konstelację. Gwiazdy też potrzebują Aniołów Stróżów, wiesz? Muszą świecić najjaśniej i potrzebują pomocy aby wydobyć z siebie najpiękniejsze światło.

Moją ulubioną modlitwą jest uwielbienie. Tego, który ma Światło Tworzenia uwielbiam w twoim życiu, w każdej jego ranie. Uwielbiam Go w twoim pragnieniu życia, w twoim za-

⁸ Cz. Miłosz, dz. cyt., s. 21

⁹ Tamże, s. 357

chwycie nad życiem mimo wszystko i w tym, że we wszystkim, przez co przeszłaś, zostawiłaś swoje serce i ludzkość.

To zabawne, ale towarzysząc ci na Ziemi nauczyłem się nawet uwielbiać Go w lekkim tykaniu zegara. Pomyślałem, że jednym z największych błogosławieństw dla ludzi w wieczności będzie świadomość, że to nie oni przemijają, ale czas przemija; dlatego w wieczności czasu nie ma. Pamiętasz, ile razy ci tłumaczyłem, że TY TRWASZ? Przecież jesteś tym wszystkim, co przeżyłaś, nosisz w sobie cząstkę każdej chwili. Chwile nie mogą trwać, bo Stwórca nie dał im takiej własności. Gdyby wszystkie chwile trwały, wkrótce cały Wszechświat szczelnie zappełniłby się drobnymi chwilami rozpychającymi się i walczącymi między sobą o to, która jest najważniejsza. Stwórca ulepił CZŁOWIEKA – mały magazyn miliona chwil – ulotnych, nietrwałych. Stwórca wiedział, że te chwile człowiekowi będą potrzebne do zbudowania fundamentu na wieczność. Człowiek szybko jednak zdezorientował się w sytuacji i wymyślił teorię, zgodnie z którą to on jest bytem podatnym na przemijanie. Ciało jest wynikiem działania czasu, dlatego przemija. Ale, na litość boską, czy człowiek to ciało, tylko ciało?

Dziś obsypało cię mnóstwem wiadomości.

Wszechświat jest ogromny, wieczność nieprzenikniona, więc spotkamy się na pewno. Staniemy przed sobą twarzą w twarz, trwanie z trwaniem, i będziemy myśleć jak to możliwe, że czas istnieje w swoim nieistnieniu.

Aeterna, aeterna...

Z miłością -
Twój Astróż

MADA

*„Dane wam będzie biec niebieskim ogniem,
Żagle rozpalać o świetle płomieniem
Kiedy okręty wloką dym i wstają,
Strzając z włosów miedź, archipelagi.”¹⁰*

WEZWANIE

Patrzę w przyszłość i widzę Babcie – tylko że w postaci Mamy, widzę Mamę – tylko że w postaci Siebie. Patrzę jeszcze dalej i widzę nowe pokolenia, które rosną i odkrywają nowe *arche*, szukają Boga i świata, stałości i zmienności, szukają wczoraj, dziś i jutro. Widzę rzekę płynącą swoim odwiecznym nurtem, fontanny tryskające wodą, krople deszczu stukające w zieloną blachę. Widzę cmentarz i Karpiniec – stary las, a jednocześnie tak młody. Na miejsce tego drzewa, które spróchniało, rośnie nowe. Co pozostało po starym drzewie? Tlen pozostał, dawca życia; czyste powietrze – *arche*.

¹⁰ Cz. Miłosz, dz. cyt., s. 356



KINGA DUSZAK

NOWY ŚWIAT

Walczyłam przeciwko złu i kończę.
Daremne są wasze prośby

To nie oznaka mojej słabości,
to wasza wątpliwość mnie otacza

Widzę tylko nienawiść ducha
ukrytego w czeluściach serca

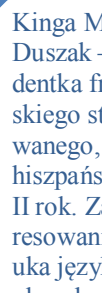
Człowiek to grzech, nie rozumiem.
Wszelkie jego porażki to efekt
zarozumiałości i niezrozumienia innych

Świat zbudowany na gruzach umarłych
nigdy nie będzie silny

Wasze kłamstwo uspiło umysły.
Ja mówię językiem prastarych przodków,
którzy znali granice

Umieram w imię zasad, których
znać nigdy nie będziecie.

Nie życzę szczęścia na końcu świata,
lecz bycia roztropnym tam, gdzie to niemożliwe.



Kinga Maria
Duszak – stu-
dentka francu-
skiego stoso-
wanego, z
hiszpańskim
II rok. Zainte-
resowania: na-
uka języków
obcych, eko-
nomia.

JAN K. GOSIEWSKI

WYBUDOWALI POMNIK

C hłodny marszałek dumnie spoglądał na nas z góry, mimo że w tych stronach ludzie już dawno przestali go szanować. Znałem go. Był tam ilekroć tamtędy przechodziłem. Jedyne święty Marcin zawsze patrzy na niego ze szczerym uśmiechem – pomyślałem. Zbliżała się godzina dwunasta, a Emil Grochowski dalej się nie pojawił. Razem tworzyliśmy poetycki duet i uwielbialiśmy poszukiwać inspiracji w codzienności Białostoczan. Potrafililiśmy całe dni spędzać na obserwacji ich zachowań. Po chwili nadbiegł Emil i bez słowa ruszyliśmy w drogę.

Miasto przeżywało tego dnia prawdziwe oblężenie. Ludzie z okolicy szturmowali Jarmark na Jana. Cały rynek zastawiony był dziesiątkami kolorowych straganów, które od rana wypełniały się podejrzanymi serami, mięsami, dziadowską porcelaną, prowizorycznymi meblami, naczyniami i innymi wyrobami rękodzieła ludowego. Poruszanie się po jarmarku wymagało dużej sprawności w pokonywaniu ruchomych przeszkód – ludzi chodzących w różnym tempie i zatrzymujących się w najmniej spodziewanym dla ciebie momencie. Przez chaos jaki panował w rynku nawet odrapane kamienice nie wydawały się takie odrażające jak zawsze. Wraz z nami na plac wlewała się fala ludzi, którzy od razu po skończonej

mszy kierowali ku straganom. Tę sytuację postanowił wykorzystać jeden z wiecznie kręcących się w tej okolicy bezdomnych, który podchodził do wychodzących z kościoła prosząc o kilka groszy. - „Idź pan stąd”- krzyczeli ludzie, omijając mężczyznę szerokim łukiem. Zaraz potem, kolejni wyzywali go i odpychali w pogardzie. Szliśmy dalej, naszą uwagę przykuł kram z ceramiką, wokół którego zebrała się spora grupa ludzi. Sprzedawca – starszy mężczyzna, na którego twarzy widniało niezadowolenie. Kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyliśmy, że zrobił się cały czerwony i nerwowo ścisnął woreczek z pieniędzmi. Młody turysta postanowił targować się z nim o cenę wazonu (wyraźnie zawyżoną przez chciwego sprzedawcę). Zdziwiałe jak zatwardziały musiał być ten człowiek, że za nic nie pozwalał zmienić

cenę.
- Dam trzydzieści złotych! – proponował chłopak

- Niżej pięćdziesięciu nie zejść! – wrzeszczał zdenerwowany kupiec.

- To jakieś zarty! – burknął sfrustrowany turysta po czym odszedł. My również odeszliśmy stamtąd zniechęceni zachowaniem przekupnia. Równoległe do nas przez tłum przesciskało się starsze małżeństwo, a przed nami, na środku przejścia, stała para młodych kochanków ostentacyjnie okazująca swoje uczucie. Najwidocz-

niej nie przejmowali się spojrzeciami innych, coraz odważniej dotykali się i widowisko trwało by dalej, gdyby nie staruszka, która zwróciła im uwagę. Wielkie kolejki ustawiały się do stoisk obłożonych kielbasą, straganów z chlebem smarowanym smalcem oraz kramików z kwasem chlebowym i podpiwkami. Jedna z czekających kobiet wpuściła przed siebie znajomych, co spowodowało żarliwą kłótnię między petentami. Nie chcąc słuchać wyzywających się Polaków, przyspieszyliśmy.

Emil zwrócił moją uwagę na ruch jaki spontanicznie utworzyli uczestnicy jarmarku, kursujący po wszystkich degustacjach. W tej grupie przeważali starsi, rubaszni panowie zachwalający wszystkie wyroby, widać było, że umiar w jedzeniu nie jest im znany. Ja z kolei wypatrzyłem dwóch panów w garniutrach, którzy najwidoczniej nie widzieli się od lat – ścisnęli serdecznie swoje dłonie, następnie zaczęli opowiadać o swoich jarmarcznych zdobyczach. Jeden z nich tanio kupił jakiś przedmiot (nie usłyszeliśmy dokładnie co), zadowolony przechwalał się przed kolegą. Drugi, słysząc te słowa, wyraźnie posmutniał, a na jego twarzy widać było zazdrość. Przy jednym ze straganów nie było zbyt wiele osób. Zadziwieni tym faktem postanowiliśmy dociec, dlaczego tak się dzieje. Zapytana o cokolwiek przekupa nie odpowiadała chętnie na pytania klientów, w tym również nasze. Nawet wizja zarobienia nie była w stanie przewyciężyć jej lenistwa.

Kiedy już okrążyliśmy cały rynek, drogę zastąpiło nam trzech młodych chłopców – jeden przebrany za rybaka, drugi udający muzyka, a trzeci rolnika. Zapytali nas, czy poznaliśmy już Saligę. Nagle rozstąpili się, pod-

biegła do nas mała dziewczynka i złapała mnie za rękę, ciągnąc mnie w stronę marszałka. Pobiegłem z nią nie wiedząc, czego chciała. Gdy staneliśmy pod Domem św. Marcina, wyciągnęła dłoń, by pokazać obraz świętego. W pierwszej chwili nie zrozumiałem, czemu nas tu zabrała. Mój towarzysz krzyknął jak opętany:

- Zamknął oczy!

- Innego końca świata nie będzie – wyszeptałem.

KAROLINA KLEJBUK

SPACER Z MIŁOSZEM

Cóż mi Pan dzisiaj opowie?
Dokąd pójdziemy tym razem?
Pustką, aleją, wąwozami niemych
– *gdzie wiatr na szepty każdy głos zamienia.*

Mijamy Dolinę Issy,
chętnie Pana posłucham:
O klepkach i wanczosach, które Niemen splawi,
O dukatach liczonych wieczorem przy świecy.

A może mi Pan opowie
o magii deszczu w Paryżu.
Czy rzeczywiście to miasto
jest najpiękniejsze na świecie?

Czyż nie piękniejsza Wileńszczyzna –
kwieciste łąki litewskie,
leśne jezioro ogromne,
Chmury szerokie, rozdarłe, cudowne...

Błękitne wody Niemna
wolę od nurtu Sekwany.
Cierpkie są ulice Paryża,
tłumne, lecz obce i smutne.

Uciekam od nich.
Przywołuję *Mew* krzyk,
zachodów czerwień,
bo tęsknię za krajem.

Ciężki jest czas rozłąki.
Cierpię w dzień i w nocy i spać nie mogę.
 Tęsknota rozrywa mi serce
 i kradnie duszę.

*W mojej ojczyźnie,
 do której nie wrócę...
 nie wiedząc, kim była naprawdę.
 Zadawałem jej ból, goniąc za moją uludą.*

Niech mi Pan odpowie,
 choć wiem, że to trudne pytania.
*Jak życie ludzkie myślami otwierać?
 I co żyć znaczy, co znaczy umierać...*



Karolina Klejbuk – ur. 1994 r. w Białymstoku. Uczennica III klasy VI Liceum Ogólnokształcącego w Białymstoku. Debiutowała w 2004 roku wierszem „Dzieci Europy” w Miejskim Konkursie Poetyckim o laur „Złotego Pióra” pt. „Dzieci w Zjednoczonej Europie”, gdzie zajęła III miejsce. W kolejnych latach brała udział w licznych konkursach literackich na szczeblu miejskim i wojewódzkim. Laureatka m.in. I Wojewódzkiego Konkursu Poetyckiego „Artur Grottger poezją malowany”, III Edycji Miejskiego Konkursu „My z Podlasia”, XVII edycji Konkursu Poetyckiego Młodych „Przekroczyć próg nadziei”.

KAROL KOPAŃKO

BARDO

Śniłem...
Chcecie wiedzieć, o czym?
Hmm... Sam nie wiem, czy chcę się Nim z Wami podzielić. Dlaczego? Bo, zawsze tak mam, że gdy komuś powiem o swojej Tajemnicy, to ona przestaje być moja. Podzieliłem się Nią z kimś.

Ale nie lubię Tego przeżywać sam. A teraz jestem sam. Nie licząc Was. Ale kim Wy jesteście? Nie znacie mnie i nie poznacie. Lubię myśleć o Sobie jako o niezgłębionej głębi umysłu panującego niepodzielnie nad uczuciami; jako o niezrównanej jednostce, w której lubuje się świat. Czuję, że obraziłem siebie słowem *jednostka*. Jestem *Legion*, gdyż jest Mnie wielu. Nie grzeszę skromnością... wiem.

Są takie chwile, kiedy w sobie wątpię. Wtedy myślę, że moją osobowość można rozpisać na niewielkiej kartce papieru za pomocą kilku skreśleń pióra. Sądzę, że jestem płytki jak kałuże herbaty rozlanej na stole, płaski jak tafla wody w bezwietrzny dzień. Boję się wtedy nie na żarty. Nie chcę być tylko krótkim tchnieniem dla tego świata, popiołem rozsypanym między żyjącymi.

A może zbyt dużo czasu poświęcam rozmyślaniom o swojej naturze? Gdybym je kontynuował, byłbym hipokrytą. Wróćmy więc do początku. Zacząłem mówić o śnie. Chociaż gdyby tak się zastanović, to sen jest dziwny. Nie mówię tu o moim śnie, ale o śnie w ogóle. Mianowicie, traktujemy mówienie do siebie jako oznakę niezbyt

dobrej kondycji psychicznej. A przecież sen jest właśnie taką dyskusją z samym sobą. Ale kogo z kim? Jajogłowi już dawno ogłosili, że mózg w czasie snu przetwarza informacje. Jest to więc rozmowa umysłu ze swym lustrzanym odbiciem. A umysł to nic innego jak zlepek neuronów pobudzanych przez impulsy elektryczne. Szczerze mówiąc wolę myśleć, że tam w środku nas siedzi jakiś mały *ktos* będący naszą kwintesencją i steruje naszymi poczynaniami. Ludzie wymyślili różne nazwy na jego określenie. *Daimonion* na przykład. Przyjemniej brzmi jednak *jestestwo*.

Znowu odszedłem od tematu. Tak już mam. Nie mogę zatrzymać myśli na jednym obiekcie. Puszczam ich wodze. Chcę, aby mnie niosły. Nawet na manowce racjonalizmu. Nie mogę Wam zagwarantować, że w momencie, kiedy to mówię, moje myśli nie są już daleko stąd; gnane wiatrami podniet buchających z każdego zaułka tego świata. Nie obrażajcie się, jeśli nie poświęcę Wam dostatecznej uwagi. Jest tyle głosów, które w tym momencie do mnie mówią, choć wciąż jestem sam. Teraz myślę, że jeśli podzielę się z kimś moim Snem, to poczuje się, jakbym należał do jakiejś Wspólnoty. Ale przecież Ja gardzę Wspólnotą – nie ma w niej miejsca dla indywiduum. Wszyscy są równi i niscy, a jak ktoś nie jest to zostanie skrócony. Najlepiej o głowę. Takie myślenie jest wygodne i usprawiedliwia odosobnienie. Czuję jednak w swoim *jestestwie*,

że chciałbym być częścią społeczności. A może to zwykłe spięcie neuronalne (o ile coś takiego istnieje?). To już nieważne. Zdecydowałem. Zaczynam. Tak to jest ze snami, że zaczynają się ni z tego, ni z owego. Ot, jesteśmy tu, gdzie jesteśmy i się zaczyna. Więc...

Krystalicznie czyste niebo, bez żadnej skazy, jaką niewątpliwie byłaby choćby najmniejsza chmurka – to pierwszy obraz jaki ujrzałem, gdy otworzyłem oczy. Podniosłem się, usiadłem na łóżku i zorientowałem się, że znajduję się na bezkresnej łące pokrytej żółtymi mleczeniami. Daleko stąd horyzont ostro łączył się z dziewiczą zielenią. Nie było wiatru, a mimo to rośliny bezwiednie kiwały się to w prawo, to w lewo. Wstałem z łóżka i przeszedłem kilka kroków. Czulem, jak pod moim ciężarem łamały się kwiaty. Obróciłem się do tyłu. Łóżko znikło. Nie przeszkadzało mi to – nie będę chyba spać we własnym śnie.

Było jasno, ale chociaż z uporem szukałem jakiegoś źródła światła, moje starania poszły na marne. Mój umysł zdawał się zapomnieć o tak błahym detalu, jakim było Słońce.

Nic ciekawego się nie działo, więc podbiegłem do pobliskiego drzewa i usiadłem opierając się o jego silny pień. Doznałem wtedy dziwnego uczucia. Mógłbym przysiąc, że to drzewo przed chwilą nie istniało, nie widziałem go. Jednakowoż słowo *istnieć* jest bardzo przewrotne w stosunku do rzeczywistości somnambulicznych. Tak samo jak słowo *rzeczywistość*. Zaakceptowałem pojawienie się drzewa, delektowałem się odpoczynkiem w jego cieniu (cieniu bez Słońca). Było to bardzo przyjemne, choć bezproduktywne zajęcie. Nie byłem tu sam. Majestatyczne jednorożce pasły się leniwie na łąkach. Poruszały się jak

baletnice. Były pełne blasku i opanowania znamionujących świadomość własnego piękna, ukoronowanego olśniewającym rogiem. Moje obserwacje przerwał cichy szelest dochodzący z góry. Wstałem i spojrzałem nad siebie. Jakiś kształt przesunął się po najwyższych gałęziach. Bez chwili namysłu chwyciłem leżącą obok drabinę i przystawiłem ją do drzewa. Zacząłem się wspinać po jej szczeblach. Było to uczucie o tyle dziwne, że dziewicze, ponieważ jestem obdarzony skrupulatnym lękiem wysokości. Tak skrupulatnym, że od drugiego szczebelka drabiny zwykle zaczynam czuć się nieswojo. Teraz się jakoś tym nie przejąłem.

- Po co tu wchodzisz? - zapytał mnie nagle Głos dochodzący z góry, na oko, a raczej ucho dobre kilka metrów nade mną. W koronie drzewa było tak ciemno, że nie mogłem dobrze rozemnić kształtów nadawcy pytania.

- Czy mam stąd odejść? - rzuciłem w ciemność, choć nie czulem strachu, to przestałem się wspinać.

- Ty decyduj, to nie mój świat.

- A czyj?

- Ooo... to jest dobre pytanie przyjacielu – odpowiedziała mi ciemność. – Mogę się tak do ciebie zwracać *przyjacielu*?

- Jeśli tylko sprawi Ci to przyjemność.

- Nie jestem pewien czy mogę czuć coś takiego jak *przyjemność*.

- Dlaczego?

- To długa historia... – odpowiedział enigmatycznie Głos. – A ty przecież nie masz czasu.

- Przeciwnie, mam go pod dostatkiem – w tym momencie nie czulem potrzeby żadnego pośpiechu. nie w tej Arkadii.

- Tak Ci się tylko wydaje, przyjacielu. Być może za chwilę ziemia się rozstąpi

i pochłonie Nas do swojego wnętrza. Co wtedy powiesz?

Zapadła chwila dość kłopotliwego milczenia. Nie pamiętam dokładnie, co wtedy czułem. Głos przemawiał do mnie z wysokości. Dosłownie i w przenośni. Był taki mocny a jednocześnie słaby. Potężny a bezsilny. Jakby jego siła została uwięziona w niewidocznej klatce blokującej wszelkie dążenia. Był w stanie gotowości, a jednocześnie nie mógł nic zrobić. Nie wiedziałem, co o Nim myśleć. Na pewno chciałem go lepiej poznać. Zaintrygował Mnie.

- Ty Mnie widzisz, ale Ja Ciebie nie – zacząłem.

- To jakim byś Mnie zobaczył nie byłoby Moim obliczem. Byłoby tylko odbiciem tego, czym Twój umysł jest karmiony – tu przerwał na moment jakby dla zebrania odpowiednich słów - Czas daje perspektywę do oceny tego, co się zrobiło. Ja dziś już widzę, że zrobiłem Coś, za co powinienem przestać Istnieć. Po prostu Nie Być. A jednak niewątpliwie Jestem, przecież z Tobą rozmawiam. Chyba, że Ciebie też Nie Ma. Ale wtedy to Wszystko nie miałoby sensu, więc odrzucam taką opcję. Istnienie oczywiście ma sens. Lubię myśleć, że nawet Moje.

- Dlaczego *nawet Twoje*? – zapytałem.

- Postawmy sprawę jasno: gdybyś wiedział Kim lub Czym jestem nawet byś na Mnie nie spojrział.

- Tego nie wiesz – zaprotekowałem.

- Wiem. Zaufaj mi przyjacielu. Zrób dla Mnie chociaż tyle.

Jakkolwiek teraz ta rozmowa brzmi dziwnie, wtedy taka nie była. Tak to już czasami jest, że kiedy coś przebiega to rozumiemy tego istotę, ale gdy się skończy, zachodzimy w głowę jak było możliwe.

Moja rozmowa z Głosem skończyła się

bardzo szybko; Po prostu powiedział, że muszę już iść, bo mogę mieć nieprzyjemności. Nie wyjaśnił o jakie nieprzyjemności chodziło, właściwie to nic nie wyjaśnił. Gdy schodziłem zdawało mi się, że zobaczyłem Jego oczy. Nie należały do człowieka, a przynajmniej nie do żadnego, którego znałem. Miały żółte, pionowe źrenice, które dosłownie świdrowały Mnie swym smutnym spojrzeniem. Gdy Głos zorientował się, że patrzę Mu prosto w oczy, szybko odwrócił wzrok i skrył się w jeszcze głębszym cieniu. Wykrzyknąłem do Niego na zakończenie „Bywaj, przyjacielu”, ale moje słowa odbiły się jedynie od dojmującej ciszy.

Gdy moje nieobute stopy spoczęły na kwiecistym dywanie zobaczyłem horyzont, który nie graniczył już z zielenią, a z lazurem wody. Gdzie się tylko obróciłem, wszędzie woda. Ciężki jak rzucała jabłoń (wcześniej nie zastanawiało Mnie, jakie to drzewo) skurczył się, oznaczało to, że to, cokolwiek oświetla tę krainę, jest teraz w zenicie. Jednorożce nie wydawały się zajmować tym problemem. Leniwie kłusowały wyrzucając w górę puch mleczowy. Brutalnie ogołoczone badyle sprawiły, że łąka wydawała się smutniejsza niż wcześniej.

Coś w środku pchnęło Mnie do pasącego się niedaleko samotnego jednorożca. Podchodziłem do Niego powolutku, a On nie przerywał skubania trawy. Zawsze lubiłem patrzeć na płynność, z jaką kopytne wyrzywały ziemi trawę. Gdy zbliżyłem się na odległość wyciągniętej ręki usłyszałem pytanie:

- Dlaczego z Tym rozmawiałeś?

- Kto tu jest? – wykrzyknąłem i obróciłem się wokół własnej osi.

- Do Ciebie mówię – powiedział

Jednorożec.

- Ty umiesz mówić?

- Widzisz w tym cokolwiek dziwnego?

Byłem lekko skonsternowany, ale skoro sen chciał ze Mną grać na takich zasadach, to dlaczego nie...

- Właściwie to nic. Po prostu pierwszy raz rozmawiam z... no – ze zwierzęciem.

- Co?! – wykrzyknął Jednorożec stając przez moment na tylnych nogach. – Czym jestem?

- No to chyba oczywiste – zdeorientowanie weszło na wyższy poziom. – Dokładnie jednorożcem – dodałem widząc, że wcześniejsza odpowiedź nie zadowoliła Mego rozmówcy.

- Dobrze, że przynajmniej Tym – uspokoił się nieco – No, muszę przyznać – pierwszy raz spotykam się z taką formą wizualizacji. A jak na jednorożca to jak wyglądam?

- Raczej normalnie. O ile mogę tak powiedzieć, to jak zwykły biały koń z kręconym rogami na czole.

- Licz się ze słowami! Nie lubię być pospolity. Czy to jasne? – potaknąłem nieznacznie, a On kontynuował – Pytałem Cię na początku dlaczego z Tym rozmawiałeś.

Jakoś nie poczułem sympatii do Jednorożca. I te Jego dziwne pytania o wygląd.

- Czy ma znaczenie? Rozmawiałem i już.

- Mój kochany – zaczął z udawaną manierą – tu każde Twoje słowo, tak samo jak każda Twoja myśl, ma znaczenie. Więc odpowiadaj na pytania.

- A właściwie dlaczego nazywasz Go *Tym*?

- Kiedyś może i był *Kimś*, ale teraz jest tylko, a może aż *Tym*. Nie jest godzien obmyć moich stóp, choćby nawet własnymi łzami.

Nie podobał Mi się pogardliwy sposób,

w jaki Jednorożec mówił o Mieszkańcu Jabłoni. Chciałem dać temu wyraz, ale Mój Śnieżnobiały Rozmówca nie oddawał inicjatywy:

- Ja jestem teraz w hierarchii znacznie wyżej niż *To* kiedykolwiek było. Tak w ogóle, to ujmą dla Mnie jest, kiedy o *Tym* rozmawiamy więc zmienimy temat; porozmawiajmy o tym, czego Ty chcesz.

- Czego Ja chcę? – zapytałem zaskoczony zmianą tematu.

- No tak, każdy kto Tu przychodzi czegoś chce. A to, żeby komuś szepnąć dobre słówko, albo zadbać o korzystny rozwój wydarzeń, czy tym podobne.

- Ja niczego nie chcę – odpowiedziałem zastanowiwszy się niezbyt głęboko.

- Coś Mi tu się nie podoba... Czy Ty wiesz dlaczego tu jesteś?

- Nie rozumiem... co to za pytanie?

- A wiesz w ogóle, gdzie jesteśmy? – zapytał Jednorożec powoli opuszczając głowę tak, że rogiem już prawie celował w Moją głowę.

- No właściwie to nie... po prostu... jestem Tu... - wyjąkałem.

- No nie! Po raz kolejny tracę czas na wątpliwe przypadki! – wykrzyknął w eter i dodał po chwili do Mnie – musisz porozmawiać z Rybakiem. Koniecznie.

- Nic nie rozumiem. O co chodzi?

- Nawet nie pytaj.

- Ale Ja nie widziałem Tu żadnego Rybaka!

- Bo nie chciał Ci się pokazać.

- Więc gdzie On jest?

- Posłuchaj, nie mam już dla Ciebie czasu – po tych słowach odwrócił się i pobiegł w kierunku jabłoni.

- Dokąd mam iść? – wykrzyknąłem widząc oddalającą się sylwetkę Jednorożca.

- W stronę Słońca!

„No pięknie. Tylko, że tu nie ma Słońca”, pomyślałem i jeszcze raz

obejrzałem się dookoła. Byłem sam na pustej łące. Nie widziałem już ani jednorozców, ani jabłoni. Wydłużył się cień rzucany przez żalosne kręgosłupy mleczy. Czyżby nadchodził zmrok? Niebo przybrało pomarańczową barwę. Zaszła też pewna niepokojąca zmiana. Mianowicie, wyspa jakby się zmniejszyła. Coraz większą powierzchnię zajmowała woda. Nie wyglądała Ona jak zwykła woda. Dominował w niej kolor granatowy zmieszany z głęboką czernią.

Ku swojemu zdumieniu, na plaży dostrzegłem człowieka siedzącego na rozkładanym krześle. Postanowiłem do Niego podbiec. W miarę jak jego postać rosła w moich oczach, dostrzegłem wędkę trzymaną w obu rękach. Rybak?

- Przepraszam, czy Pan jest Rybakiem? – zapytałem.

Nie otrzymałem odpowiedzi. Zobaczyłem, że w wodzie pływają małe, białe kulki. Wiadro stojące obok Mnie było nimi w połowie wypełnione. Te wyłowione stawały się powoli czarne i puste w środku. Nagle człowiek siedzący na rozkładanym krześle zaczął coś wrywać z wody. Po chwili szarpaniny w jego ręku znalazła się zdjeta z haczyka kulka.

- Ta wyjątkowo chciała jeszcze popływać – powiedział i przeniósł na Mnie swój wzrok. – Aha... i tak możesz Mnie nazwać Rybakiem.

- Co Pan robi? – zapytałem, dostrzegając kątem oka ewidentnie podnoszący się poziom wody. Widocznie szedł przypyływ.

- Wędkuję.

- Tak, ale co Pan łowi?

- To są takie małe stworzonka. Wydaje Mi się, że kiedyś je nazwałem... Ale już nie pamiętam.

- Po co je Pan łowi?

- Nadeszła ich pora.

- I co się stanie z tymi z wiadra?

- Ich już tam nie ma.

Zerknąłem do wiadra. Wciąż tam były.

Czarne, ale jednak.

- Widzę, że są.

- Powtarzam, ich już tam nie ma. Są daleko stąd.

Postanowiłem dać za wygraną.

Poczułem jak woda zaczyna dotykać Moich stóp.

- Nie powinniśmy się gdzieś przenieść. Chyba idzie przypyływ.

- Och nie... Zdecydowanie nie. Tu jest wybornie.

Poczułem strach. Z wody nie wystawał już żaden mlecz. Woda sięgała Mi do kolan. Jedyne krajobraz stanowiła gładka tafla oceanu. Zaczynało zmierzchać.

- Poznałeś Węża i Jednorozca.

- To był Wąż? Na jabłoni? – zapytałem.

- Tak. Co o Nim sądzisz?

- Wydawało Mi się, że czułem do Niego pewien rodzaj sympatii.

- Interesujące... naprawdę.

- Dlaczego?

- Wąż pokutuje.

- Czy zrobił coś złego?

- Tak... Tak można to określić.

- Wydaje mi się że On nie cieszy się sympatią Jednorozca.

- To mało powiedziane. Widzisz, ktoś kto spogląda na wszystkich z góry ten nie dostrzega zmian w ich wnętrzu. Widzi tylko bezwymiarową płaszczyznę. Ale dość o Nich - teraz Ty jesteś najważniejszy.

- Nie wiem dlaczego jestem tu, gdzie jestem? – zapytałem, zauważając, że woda sięga Mi do pasa.

- Także nie wiem. Musiał nastąpić błąd, za który Cię serdecznie przepraszam. Nie nadszedł jeszcze Twój czas.

- Nie rozumiem.

- Nie dziwię się. Życie nie jest proste. A tym bardziej śmierć.

- Czy Ja utonę?
 - Obawiam się, że tak. Właściwie...
 musi tak się stać.
 - Ale ja chcę żyć.
 - Niewątpliwie. Któż by nie chciał.
 Ogarnęła Mnie panika. Stawało się co-
 raz ciemniej. Woda dotykała Moich ra-
 mion, zachowywała się dziwnie wokół
 Rybaka, jakby od Niego odstępowała.
 - Nie bój się. Jeszcze się spotkamy. Co
 się odwlecze...
 Woda zaczęła Mi się wlewać do ust.
 Czułem, że to Moje ostatnie sekundy.
 - Gdzie jest Słońce? – zapytałem ostat-
 nim tchnieniem.
 - To ja Nim jestem...
 Dalej pamiętam tylko ciemność...
 ...ciemność...
 ...ciemność...
 ...i nagle pałace w oczy światło...

Obudziłem się na szpitalnym łóżku.
 Człowiek w białym kitlu poinformował
 Mnie, że znajdowałem się przez 3 mi-
 nuty w stanie śmierci klinicznej.

To był Cud, że wciąż żyję.

KAROL KOPAŃKO

ECCE HOMO

I

13 VI 1920

- Tatku.
 - Tatooo.
 Wóz podskoczył na głazie wystają-
 cym na drodze. Dziewczynka wykorzy-
 stała ten moment, aby wyswobodzić
 swoje kruczoczarne kucyki z uścisku
 młodszego brata.
 - Jak dojedziemy... yyy... tam, gdzie
 mamy dojechać, to ja pójde do *Dziadka* –
 zaczęła rezolutna dziewczynka z kruczo-
 czarnymi włosami – i poproszę go, żeby-
 śmy nie musieli wyjeżdżać z Grodna.
 - Ależ Julio, przecież Ci mówiłam, że
 Piłsudski chce nas obronić przed złymi
 panami...
 - Przegna ich za Ural – przerwał żonie
 mąż, po którym córka odziedziczyła ko-
 lor włosów – i wrócimy do domu.
 - Ale mi Radek w szkole mówił, że już
 tam nie wrócimy – odezwał się ósmio-
 letni blondynek – bo... bo oni są fiole-
 towi.
 Na twarzy rodziców zagościł gorzki
 uśmiech. Chłopak zaczerwienił się i
 opuścił oczy na swoje trzewiczki.
 - Fioletowi czy nie... ekhm... konie
 muszą odpocząć – powiedział (z prze-
 rwą na chrząknięcie) woźnica. Kwa-
 drans odpoczynku... ekhm... co, panie
 Kiliński?
 Pan Kiliński odpowiedział ledwie za-
 uważalnym skinieniem głowy.

Gdy woźnica wypręgał konie obie przedstawicielki płci pięknej udały się na krótki spacer. Mały Kuba uznał ten moment za stosowny, aby indagować tatę, który jak to miał w zwyczaju, na każdym postoju zapalał fajkę.

- Tato, bo wiesz co? – powiedział Kuba przenosząc wzrok z lewego buta na prawy.

- Słucham.

- Ja chyba zostawiłem w domu Leona, no wiesz...

- Synu, mężczyzna w twoim wieku i pluszowe misie? – ironizował ojciec. Zanim się obejrzyś wrócimy do domu i będziesz śmiać się z tej tęsknoty.

Nastąpiła chwila milczenia, którą ojciec wykorzystał na wyrzucenie z siebie kłębow dymu i ponowne skorzystanie z fajki.

- Tato, bo wiesz co? – zapytał chłopiec.

- Słucham Cię.

- Co my tam będziemy robić?

- Będziemy bronić Ojczyzny – patos tej wypowiedzi zadziwił chyba na nawet samego nadawcę.

- Jak, tato?

- Ja założę mundur a mama biały fartuch – powiedział ojciec będąc przekonanym, że jego syn nie zrozumie tej myśli.

- I to pomoże?

- Oczywiście – odparł przyszedłszy oficer 1 Dywizji Litewsko-Białoruskiej.

- A ja co założę?

- Nic... ty po prostu wyrośniesz na dobrego człowieka – odpowiedział po chwili namysłu wiedząc, że jego syn nie pojął metafory z zakładaniem strojów.

„I dobrze” – pomyślał – „będzie miał jeszcze czas”.

Chłopiec nie był zadowolony z odpowiedzi ojca. Myślał, że mimo, iż jest już duży i wszystko doskonale rozumie,

to ojciec chce go zbyć traktowaniem jak jakiegoś maślaka.

Gdy ojciec opróżnił swoje płuca z dymu, Kuba spróbował jeszcze raz:

- Tatku, bo wiesz co?

- Taaak?

- Bo ja nie rozumiem...

Wielki Czwartek 1993

Dwie ulice dalej, przygłuchy kościelny pociągał energicznie za sznur wprawiając spiżowy dzwon w drganie. W zakrystii świeżo wyświęcony ministrant zakładał śnieżnobiałą komżę czując inną niż zwykle atmosferę. Zelatorka róży różańca kobiet siedząca w drugiej ławce („w pierwszej siedzą tylko dewotki”) odklepywała koronkę do Miłosierdzia Bożego, z rzadka odwracając głowę w tył, aby otaksować wchodzących wiernych.

Na pewno usłyszał dzwon.

Chciałby, aby teraz bił on jemu.

W mieszkaniu rozległ się huk, który wyrwał go z odrętwionej apatii. Poszurał kaptami do salonu. Jego oczom ukazało się otwarte okno, przed którym na podłodze leżała rozrzucona ziemia i połamana doniczka z ocalałym od upadku kwiatkiem.

- Człowiek otwiera okno na pięć minut, a los w ciągu tych pięciu minut zaciąga powietrze do błękitnych płuc i dmucha ludziom prosto w otwarte okna.

Kątem oka zerknął na ścienny zegar z dębowego drewna. Prezent ślubny wskazywał godzinę szóstą. Zamknął okno, które otworzył w południe jedynie na chwileczkę, aby przewietrzyć mieszkanie z dymu tytoniowego.

Starzy ludzie, którzy długo są samotni tracą, po pierwsze zdrową rachubę czasu, a po drugie, zaczynają rozmawiać sami ze sobą.

Starzy ludzie, którzy byli szczęśliwi, a potem długo byli samotni, żyją wspomnieniami. A ilekroć spojrzą na wyblakłą, starą, czarno – białą fotografię kryją głowę w dłoniach.

Nie sprzątnąwszy rozrzuconej ziemi i rozbitej doniczki, usiadł w zgniłozielonym fotelu naprzeciw szarej ściany.

- Mieliśmy wracać – powiedział zamknąwszy oczy – a zostaliśmy tu.

„Wtedy nic z tego nie rozumiałem” – pomyślał – „i nadal nie rozumiem.”

„Ale teraz inaczej.”

Rodzice zostawili go w wieku niespełna dziewięciu lat wraz ze starszą siostrą u rodziny w Białymstoku. Ojciec, jako rezerwista został zmobilizowany, a mama jako była pielęgniarka w grodzieńskim szpitalu została ochotniczo połową sanitariuszką.

- Nie dała mu pójść samemu – kontynuował rozmowę z samym sobą.

Na wojnie ginął żołnierz z Mauserami 98 w rękach, a nawet kobiety w białych fartuchach z czerwonym krzyżem.

Bitwa warszawska – w czasie tego cudu działa się tragedia tysięcy.

Poległych i ich rodzin.

„Ojciec wrócił zaraz po przegnaniu bolszewików, ale zamiast mamy przywiózł żal, rozpacz i kilka blaszanych orderów.”

- Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie... – spod zamkniętych powiek staroego Jakuba Kilińskiego wypłynęły dorodne łzy.

„Czas iść do kościoła” – pomyślał wycierając chusteczką twarz.

Posiedział jeszcze chwilę w zgniłozielonym fotelu i gdy już miał wstać ześlizgnął się na kolana.

- Bądź miłościw mnie grzesznemu – zapłakał. Panie, podczas Ostatniej Wierzy wiedziałeś, że dusza Judasza nie jest czysta, wiedziałeś, że będziesz

przez Niego cierpieć. Był częścią Twojego planu. Czy bez niego byś Nas nie zbawił?

- Boże, czy zanim powstał świat i Ziemia, Ty już wiedziałeś, że ja... że to... że to się stanie – w tym momencie głos urwał mu się w piersiach, jego ciało opadło bezwładnie na podłogę, a umysł pogrążył się w niebycie.

II

I IX 1939

- Nie! Panie Jakubie, tam niedaleko jest mrowisko. Czy ja wyglądam na Teli-menę?

- Dla panienki przybyłbym na pierwsze skinienie i walczyłbym z jedną mrówką jak św. Jerzy.

- Istotnie. Porównanie niczego sobie: smok i mrówka. O! Tu będzie wspaniale.

Zdjął na moment gogle. Przetarł białą chusteczką najpierw szkła a potem twarz. Trochę się denerwował. To była jego pierwsza akcja.

Rozesłał więc koc w miejscu wskazanym przez panienkę Tarnowską. Gdy oboje usadowili się wygodnie ich oczom ukazała się przepiękna zielona panorama złożona z lekko falujących na słabym wietrze liści i pni drzew.

- Pięknie – powiedział patrząc jej prosto w oczy.

- Istotnie – odrzekła nie odwracając wzroku od błękitnego nieba pokrytego pierzastymi chmurami – krajobraz jest uroczy.

- Miałem na myśli Ciebie – powiedział nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

Panna Tarnowska zarumieniła się lekko.

- Ależ z pana tani romantyk – odpowiedziała lekko ironicznym tonem – cóż za frazesy...

Ręce zdrętwiały mu od ciągłego ściskania drążka sterowania. Przetarł pal-

cem szybki wskaźników. Wszystko w normie.

„Każda kobieta uwielbia komplementy” – pomyślał.

Panna Tarnowska chociaż tego nie okazywała, każde pochlebne słówko katalogowała na dzień serca. Uważała, że inteligentna kobieta powinna znać swoją wartość, a nie spływać rumieńcem po czulszym słówku.

- Doszły mnie słuchy – zmieniła temat – że Twoja siostra otrzymała posadę nauczycielki w szkole przy św. Rocha. Czy zamierza przeprowadzić się gdzieś bliżej pracy?

- Nie, na razie opiekuje się ojcem. Nie jest z nim najlepiej.

- Dlaczegoż?

- Minęło już prawie 20 lat od jej śmierci a on cały czas nie może się podnieść. Upija się, aby zapomnieć.

Panna Tarnowska opuściła oczy i pomyślała ile czasu ona nie potrafiłaby żyć po stracie Jakuba.

- Mario, proszę Cię nie rozmawiajmy o tym.

Spojrzał w lewo na sąsiednią maszynę dowódcy, który pokazywał „dola-tujemy”.

- Jest wiele ciekawszych rzeczy – powiedział obrywając po kolei listki z kwiatka jakby wyliczał „kocha, nie kocha”.

- Na przykład? – zapytała trzepocząc rękami.

Zbliżył do niej głowę i ucałował w policzek. Miał obdarzyć pocałunkiem jej usta, gdy Maria raptownie odsunęła się do tyłu i ze strachem zapytała:

- Co to za hałas?

Sięgnął po fotografię żony i córeczki. Ucałował obie.

Tego dźwięku nie słyszał już od dawna. Mimo wszystko warkotu nadlatujących myśliwców nie da się zapomnieć.

Spojrzenie na dowódcę. „Teraz”.

Samoloty z wymalowanymi swastykami wyłoniły się zza wzgórza.

Machinalnie odszukał spust na drążku.

- Boże ratuj – szepnęła Maria.

Zdrętwiała ręka nie odmówiła posłuszeństwa.

Messerschmitt Bf 109 stał się lżejszy o kilka kilogramów bomb.

Wielki Piątek 1993

Gdy schodził z piątego piętra na jednej z klatek schodowych, minął się z panią w niebieskiej garsonce i berecie na głowie. Nie zdołał przyjrzeć się bliżej beretowi (zdaje się, że był mohero-wy), ponieważ jego właścicielka, mieszkająca piętro pod nim zmrzotała go pełnym jadu spojrzeniem. Gdyby nie jej przysadzista fizjonomia wyglądałaby w tym momencie jak bazyliśzek. Należała ona do tego typu ludzi, którzy najpierw oceniają i wyrażają sądy, a później dopytują się, o co chodziło. Wiedziała tylko tyle, że nie spotkała pana Jakuba w kościele, czyli zgodnie z jej tokiem rozumowania był on wyznawcą nie wiadomo czego, może nawet samego szatana. Gdyby miała u boku koleżankę, to na pewno zanosłaby w niebiosą gromką modlitwę za zbłąkaną owieczkę. Brak publiczności sprawił, że na razie nim pogardziła.

Wczoraj nie starczyło mu sił, aby wyjść z domu. Dziś natomiast nie było już śladu po tamtej paralizującej zmysły melancholii. Założył szary garnitur (co prawda nadgryziony przez ząb czasu a także ząb moli) i czarne pantofle. Nie spieszył się, miał jeszcze dużo czasu, choć szedł bardzo okrężną drogą.

Był spokojny.

Doszedł do przejścia dla pieszych oddalonego kilkadziesiąt metrów od bloku, w którym mieszkał.

Czerwone światło.

Rozejrzał się.

Droga pusta.

Ruszył.

Wtem gdzieś za nim rozległ się ryk niemieckiego Messerschmitta.

„Już po mnie” – pomyślał i zastygł w miejscu.

- *Boże ratuj – szepnęła Maria.*

Pierwsza bomba spadła jakieś 150 metrów od nich wyrzucając ziemię w powietrze na kilka metrów. Druga, sam nie wie, gdzie spadła; już biegł. Mignęło mu przed oczyma kilka obrazów: Maria, która skręciła kostkę zaczepiwszy o konar drzewa; on sam, który musiał nieść ją na plecach aż do domu. Ważniejszy od tych obrazów był jednak strach towarzyszący ucieczce. Przytłaczający i obezwładniający.

Kierowca zatrzymał się kilka centymetrów od niego. Mimo, iż trąbił przez kilka sekund intensywnego hamowania, przechodzień nie chciał się ruszyć.

Sam pan Kiliński niewiele zapamiętał z tego, co się stało. Jakiś człowiek w przepoconym białym podkoszulku zaczął skakać obok niego. Potem pamiętał, że bez udziału własnej woli został przeniesiony na chodnik.

Ani śladu po Messerschmittach.

Wrócił do domu. Usiadł w zgniłozielonym fotelu naprzeciw szarej ściany.

- Mario, czemu wtedy nie zginęli. Tak byłoby lepiej dla nas obojga.

- Ty, który umarłeś za nas na krzyżu, dlaczego nie zabrałeś nas do siebie.

- Nie miałbym wtedy tak wiele na sumieniu...

III

7 VII 1953

- Uwważaj! Jeszcze gorące.

- Nie mam czasu. Zaraz idę grać z kolegami w piłkę.

- Michaś, jak wszystkiego nie skończysz, to nigdzie nie pójdziesz.

- Nie mów do mnie „Michaś”.

- Dla mnie zawsze będziesz małym Michasiem.

- Dobrze, ale nikt poza nami ma się o tym nie dowiedzieć.

Maria podeszła do chłopca obdarzonego burzą rudych włosów na głowie i ucałowała go pieczołowicie w czoło.

- Kiedy wróci tata?

- Już powinien być. Co tam w szkole? – zmieniła temat.

- Mamy nową nauczycielkę od historii – odpowiedział poluzniając kołnierzyk mundurka.

- I jak? Jakie zrobiłeś na niej wrażenie? – dopytywała się nakładając mu jajecznicę na talerz.

- Nie wiem, czy rozróżnia nas zza swoich grubych okularów (szkła grubsze niż denka butelek na mleko!), ale ma krzepę.

- Podpadłeś jej na pierwszej lekcji? – zapytała podnosząc ton głosu i opierając ręce na biodrach.

- Ja? Nie. Bieńkowski spod trójki. Jak go walnęła linijką po palcach, to nie mógł pisać nawet na następnej lekcji – wypowiedź zakończył krótkotrwałym rechotem.

- Za co mu się dostało? – zapytała matka, po której minie widać było, że nie podzielała entuzjazmu pierworodnego.

- Za duży nos narysował.

- Nie rozumiem.

- No... przerysowywaliśmy do zeszytu znaczek.

- Jaki?

- Pocztowy.

- Po co?

- Tego sam nie wiem. Bieńkowski może nie ma talentu do rysowania ale według mnie wielkość nosa odpowiadała autentycznej.

- Michaś, na miłość Boską, mówże jaśniej – powiedziała zdezorientowana matka.

- Już mówię. Poczta Polska wydała znaczki z podobizną Bieruta, więc *Brzytwa* - to znaczy... nasza nauczycielka – zakupiła kilka i kazała nam przerysować do zeszytu.

- Na lekcji historii rysowaliście portret Bieruta? – powiedziała Maria próbując powstrzymać śmiech.

- Dokładnie. Najpierw powiedziała Bieńkowskiemu, żeby poprawił rysunek, ale on tak się zdenerwował, że zaczęła mu łać krew z nosa (zawsze tak się dzieje gdy podskoczy mu ciśnienie) i pierwsza kropelka spadła prosto na nieszczęsny nos.

Maria wybuchła śmiechem; nie był to jednak śmiech serdeczny a trochę melancholijny i z nutką goryczy, wyrażający coś w rodzaju pogardy. Gdy go opanowała powiedziała:

- Czysty absurd.

- Co to jest „absurd”?

Maria już miała rozpocząć wykład, gdy usłyszała walenie do drzwi. Pobiegła, aby je otworzyć. Gdy to zrobiła, jej oczom ukazali się trzej mężczyźni, z których dwóch podtrzymywało trzeciego. Dwóch stojących o własnych siłach poznała od razu. Byli to koledzy jej męża z pracy. Trzeciego rozpoznała po chwili.

- Boże, Kuba! Co Ci się stało?!

Trzecim utrzymywanym przez kolegów był jej mąż. Nie miał jednak pogodnego oblicza jak zwykle... Prawie cała twarz była zakrwawiona a nos w połowie długości nienaturalnie skręcał w prawo. Przednich górnych siekaczy nie miał na pewno, dolne (jeśli były)

zasłaniała spuchnięta warga, z której ściekała gęsta krew zmieszana ze śliną.

Zdawało jej się, że chwila, gdy na niego patrzyła trwała wieki, przerwał ją prozaiczne pytanie:

- Gdzie go położyć?

Wskazała im wersalkę w najbliższym pokoju.

- Michał, do kuchni – wrzasnęła widząc chłopca stojącego na korytarzu - zamykaj drzwi!

Gdy położyli Jakuba na posłaniu, zdobył się on na bolesny wysiłek. Chwytał Marię za rękę i wyszeptał plując krwią:

- Ja nie chciałem.

- Co?

- Nie chciałem... ale już nie dałem rady... to tak boli... chciałem, żeby przestali... musiałem podpisać... nie chciałem.

Wielka Sobota 1993

Podniósł się z kłęczek i usiadł w ławce. Na ołtarzu stała monstrancja i w najlepsze trwała jej adoracja. Młodzieżowy chór mrucał z lekka, ktoś brzdąkał na gitarze. Ktoś, mimo nie tak późnej pory chrapał pogrążywszy się w modlitwie.

Wreszcie zdobył się na przyjście do Domu Boga. Kiedyś przychodzili tu całą rodziną co niedziela. Teraz postanowił spędzić w kościele kilka godzin w oczekiwaniu na rezurekcję.

Do chóru dołączył niższy głos. Wiekowy ksiądz z głęboką, szpecącą blizną nad lewym okiem zaintonował jakąś pieśń, a później rzucił okiem na wierznych siedzących w ławkach. Jego wzrok zatrzymał się na Jakubie, który został przez niego obdarzony niezbyt miłym (delikatnie powiedziawszy) spojrzeniem. Ksiądz odwrócił się na pięcie i odszedł do zakrystii co jakiś czas dotykając blizny.

Widok księdza wywołał w Jakubie bolesne wspomnienia. Cierpienie psychiczne zostało dodatkowo spotęgowane przez fizyczne – dojmujący ból przeszył go w prawej ręce, gdy chciał się przeżegnać. Ten ból był pamiątką po wizycie dwóch esbeków.

Zamknął oczy.

Posadzili go w gabinecie przyozdobionym portretami ojców komunizmu.

Na początku delikatnie wyjaśniali: że tak będzie lepiej, że zarabiać można; że ojczyźnie ludowej przysłużyć się można.

Na jego wybuch śmiechu zareagowali groźbami: że jak podpisze to nic nie zrobią jemu samemu a później także jego rodzinie, o której wiedzieli zaskakująco dużo.

Jego stanowcze „nie” sprawiło, że w gabinecie pojawiło się kilku milicjantów uzbrojonych w pałki.

Przytomność stracił bardzo późno, tak że długo zginął się pod ciosami stróżów porządku przeplatany pytaniami „Jak teraz, co?” i swoim milczeniem.

Gdy ocucili go wodą, zorientował się, że bicie go przestało bawić oficerów Służby Bezpieczeństwa.

- Idziemy po twojego dzieciaka! – wrzasnął esbek.

Zimny dreszcz przebiegł po jego zbolałym ciele. Był romantykiem godnym poświęcić samego siebie za ojczyznę, ale rodziny nie mógł poświęcić.

Coś w nim pękło.

- Nie, proszę. Nie - powiedział głosem pełnym rozpacz - zrobię co chcecie.

Nie dał rady sam pisać więc zrobili to za niego.

Tortury stosowano do 1956 roku, potem je zawieszono ze względu na niską efektywność i wydajność pracy, tak zworbowanych „współpracowników”.

Pamiętał tamten ból, ale z nim sobie jakoś poradził. Nie mógł wymazać z

pamięci widoku twarzy żony, która go nie poznała (jak on musiał wyglądać!) i syna patrzącego na niego ze łzami w oczach.

„Gdybym wtedy umarł” – pomyślał – „wtedy oni dziś by żyli. Ile lat miałby Michał? Boże, byłby starszy niż ja wtedy byłem.”

Wyobraził sobie, że Maria wraz z Michasiem usiedli obok niego i modlą się za jego duszę.

Spróbował ich objąć.

Zniknęli.

Zapłakał.

Rzewnymi łzami.

- Jezu Chryste – wyszeptał – który pozwoliłeś, aby twoi najbliżsi patrzyli jak umierasz, dlaczego nie pozwoliłeś, aby moja rodzina płakała na moim pogrzebie? Czy za cenę mojego życia oni musieli zginąć? Dlaczego pozwoliłeś mi ich zabić?

Nikt nie słyszał jego słów. W kościele nic się nie zmieniło.

- Odpowiedz mi. Chcę się z nimi zobaczyć. Chcę Cię zobaczyć.

Ukrył głowę w dłoniach.

- Proszę. Jestem już zbyt zmęczony....

IV

Wielkanoc 1993

Najświętszy Sakrament jest niesiony pod baldachimem przez księdza ze szpecącą blizną nad lewym okiem. Ministranci w śnieżnobiałych komżach rozprawiają o (niekoniecznie zgodnym z Dekalogiem) święceniu dnia świątecznego. Żona wypomina mężowi, że przez to ciągłe chodzenie do kościoła nie zdążyła upiec jeszcze jednego ciasta i przez to święta nie będą udane. Córeczka żali się mamusi, że już ją bolą paluszki od sypania kwiatków. Matka w odpowiedzi rzuca tylko: „ Zachowuj się, ludzie patrz.”

Nikt nie zauważył.

Połowa uczestników zakończonej procesji udaje się do domów. Druga połowa wraca do kościoła. Dziewczyna trzymając za rękę swojego chłopaka zajmuje miejsce obok ciała pana Kilińskiego.

- Boże, Ty w dniu dzisiejszym przez Twojego Syna pokonałeś śmierć i otworzyłeś nam bramy życia wiecznego – słyhać z ambony.

Nikt nie zauważył.

Dziewczyna otwiera małe lusterko i wyjmuje tusz. Przecież musi ładnie wyglądać.

- Kto w Niego wierzy, w Jego imię otrzymuje odpuszczenie grzechów – słyhać pierwsze czytanie.

Ciało starucha siedzące obok dziewczyny zaczyna budzić jej niepokój – nic nie śpiewa i ma zamknięte oczy.

Wszyscy wstają na aklamację.

Wszyscy? Jeszcze nie zauważyła?

- Nie umrę, ale żyć będę – śpiewa organista.

Dziewczyna trąca zwłoki pana Kilińskiego, które przewracając się na bok doprowadzają ją do makabrycznego odkrycia:

- On nie żyje!

Jej krzyk ginie wśród gromkiego katolickiego „Alleluja”.

- Gdzie jestem?

- Dobiegł kres twej wędrówki człowiecze.

Południowe Słońce dawało mu się we znaki. Wytarł twarz skrawkiem togi, lecz nie spowodowało to zniknięcia z jego twarzy grymasu bólu. Przez migrenę nie mógł się skupić.

- Żądałeś spotkania z Bogiem człowiecze. Co chcesz mu powiedzieć? Po co żyłeś?

- Żyłem... żyłem... dla nich – sięgnął do kieszeni marynarki, ale nie odnalazł tam fotografii.

- Po co więc żyłeś, gdy Pan zabrał ich do Siebie?

Nie otrzymawszy odpowiedzi Piłat sięgnął do jego umysłu.

Przed oczyma Jakuba migały urywki gazet:

„Tragiczny wypadek na trasie...”

„Wiózł żonę i syna...”

„Ponieśli śmierć na miejscu...”

„Kierowca lekko potłuczony...”

„Sąsiedzi wstrząśnięci...”

„Kierowca w areszcie...”

„Dziś pogrzeb ofiar wypadku...”

„Czy pozwolą mu przybyć na cmentarz...”

Nagle wszystko wróciło do normy. Puste mury pałacu Piłata sprawiały wrażenie wykutych w litej skale a człowiek siedzący na tronie i trzymający się za głowę zdawał się być ich jedynym mieszkańcem.

- Nieszczęśliwy wypadek, przyczyny niewyjaśnione – wymieniał Piłat - skazany na trzy lata pod naciskiem opinii publicznej.

„Opinia publiczna... serce Bestii zmieniającej świat wedle swoich upodobań” – pomyślał namiestnik Judei.

- Zabiłeś ich, a sam ocalałeś... cud. Myślisz teraz o grzebaniu ich zwłok – powiedział Piłat jakby przeglądał jego umysł.

Dusza Jakuba została zbombardowana kolejnymi obrazami:

„On sam na cmentarzu...”

„Dwóch milicjantów rozkuwających go, aby mógł dotknąć trumien...”

„Jego spazmatyczny płacz...”

„Pogardliwe spojrzenia żałobników...”

„Ksiądz prowadzący nabożeństwo...”

„Jego wściekłość na słowa wypowiedziane przez księdza...”

„Kamień chwycony ukradkiem, sekundę później użyty jako broń...”

- Uderzyłeś księdza kamieniem? – zapytał nieledwie śmiejąc się Piłat – Wybornie. Co on powiedział?

- Przecież już wiesz.

- Chcę to usłyszeć od Ciebie.

- Powiedział do milicjantów: „Zabierzcie tego szatana, muszę skończyć ten cyrk”. A potem do mnie: „Gdyby nie Ty, oni by żyli”.

- „Szatana”... wybornie – powiedział Piłat, zaśmiał się a potem schwycił za głowę, ale kontynuował:

- Pewnie do dziś nosi bliznę? – familiarny ton, jakiego użył Piłat zaskoczył Jakuba

- Widziałem go w sobotę... I tak... nad lewym okiem.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia. Poncjusz Piłat obserwował go przenikliwym wzrokiem. Potem podniósł wzrok ku górze i przemówił:

- Na mnie już pora.

- A co się stanie ze mną?

- A co chcesz, aby się z tobą stało?

- Chcę zostać osądzony zanim trafię do piekła.

- Człowiecze, jaki mały jesteś. Jak nic nie rozumiesz. Twoje czyny zostały osądzone, zanim się narodziłeś. Zanim Słońce oświetliło Jordanię, Ty miałeś już swoje miejsce w Domu Bożym.

- Jestem jawno grzesznikiem.

- Nasz Ojciec jest Miłosierny, ale i Sprawiedliwy. Przed nim zdasz sprawę ze swego żywota.

Wtem cały pałac wypełniła światłość.

Źródłem tego światła był człowiek.

Człowiek we krwi.

Człowiek w koronie cierniowej.

Człowiek z przebitymi rękoma i stopami.

Człowiek upadający i podnoszący się.

Człowiek ukrzyżowany.

Bóg, który stał się człowiekiem.

Ukrzyżowany, abyś Ty mógł żyć.

Przybity gwoźdźmi twoich grzechów.

Ukoronowany twoimi słabościami.

Piłat wstał z tronu i wyrzekł do Chrystusa, wskazując na człowieka:

- *Ecce homo.*



Karol Kopańko – student I roku Szkoły Głównej Handlowej, przyszły ekonomista; zapałony twórca szeroko pojętej kultury, którą dzieli się na blogu i aktywny videobloger prowadzący kanał internetowy. Nieustająco zadziwiony ludźmi, szukający sensu istnienia i źródła emocji. Ubóstwia ciekawe filmy, wciągające gry, lubi zmęczyć się grając w siatkówkę, ciężko go oderwać od trzymających w napięciu książek.

TOMASZ KOWALCZUK

SPROSZKOWANE SŁOWA

Wiesz...

Kiedy tak wspominam nieodległe czasy
Tęsknię za nimi, choć odeszły bezpowrotnie
W nich były słowa proste, dziecinne i szczerze uśmiechy
Czuliśmy się lekko, pozbawieni barier
Żyjąc jak motyle... jak sarny... jak sowy...
Tak wolni, tak płosi a zarazem niedostępni
Mieliśmy świat, mieliśmy własną strefę
Która pomimo hałasu, zgiełku i kłótni dorosłych
Odcinała nas od tego wszystkiego
A my jak naiwni odkrywcy w bańce mydlanej
Dryfowaliśmy po ziemskiej czasoprzestrzeni
Kurs wyznaczony przez zegar życia
Oczywisty, odwieczny i tak nas zaskoczył
Nie wiem tylko czemu bańka prysła, a myśmy pozostali
Pytałaś mnie nie raz: „czemu?” A ja milczałem
Chowając lęk, bezradność i ułomność
Zdałem sobie sprawę, że z huśtawek, z boisk, z rowerów i rolek
Niczym rozbitkowie wyrzuceni przez parabolę czasu
Dobiliśmy do bezludnych wysp...
Niegotowi i nieprzystosowani do nowej rzeczywistości
Jakby *Robinson Crusoe* potrząsnął całym naszym światem
Ustawiając wskazówkę gdzieś pomiędzy dwudziestą trzecią a pierwszą
Zmuszając do szukania odpowiedzi: „co dalej?”
Ale nikt nie zapytał o dzień, o narodziny, o plany
Wiesz, bo takie jest życie – dzisiaj młodzi, jutro...

Barbara Medajska urodziła się w Wilnie, mieszka w Warszawie. Ukończyła Liceum Sztuk Plastycznych i Szkołę Muzyczną w Zakopanem. Studiowała reżyserię w Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi. Poza filmem zajmuje się twórczością literacką (poezja, esej, proza), plastyczną (malarstwo, grafika) i fotografią artystyczną.



BARBARA MEDAJSKA

KOMUNIKAT MIŁOSZA

Nie zgubiłem swojej twarzy
w zamęcie życia

odarty ze wzruszeń
zepchnięty w nicość

współczułem ludziom

dobrze wiedziałem co to śmierć
która zawsze ma rację

uwolniony od kłamstw
nie milczałem o prawdzie

krzychałem sercem
nie przerażał mnie koniec świata

wiem co to miłość



PIOTR KAROL SUSZCZYŃSKI

MIŁOSZOWI – PROROCTWO,
KTÓRE SIĘ SPEŁNI

Surowym sędzią byłeś – miałeś do tego prawo
bo człowiek sam dla siebie jest temidą i katem
lecz i ja pragnąłem uciec
od tego co sercu memu było najbliższe
romantyzm nie był epoką
tylko arkadią która musiała przeminąć
ja też poddałem się jej urokowi wierząc naiwnie
że wiara w człowieka nie przeminie
pisałeś niegdyś o obłokach
teraz dysputę prowadzisz z Mickiewiczem
spacerując po alei ofiar
niechcianych wersów i błędów młodości
wierzyłeś w moc słowa
pociechę miej więc w moich:
poeta pamięta
a po nim przybędą następni...

Piotr Karol Suszczyński: Wiersze pomogły mi przetrwać dość trudny okres w moim życiu. Śmierć i miłość są tym, co sprzyja wienie twórczej, a słowo pisane potrafi koić nawet największy ból...

Na codzien poświęcam się dziennikarskiej pasji bo lubię poznawać ciekawych ludzi i uczyć się nowych rzeczy. Interesuję się literaturą współczesną, choć nie obcy jest mi również okres Romantyzmu. Jestem na ostatnim roku filologii polskiej i obecnie piszę pracę magisterską o Ryszardzie Kapuścińskim. Współredaguję również białostocki portal Młody Wschód, który mam nadzieję sprawi, że młodzi ludzie odkryją w sobie potencjał i pomimo trudnej rzeczywistości, postanowią budować lepszą przyszłość dla siebie i przyszłych pokoleń.

KĄTEM OKA...
RECENZJE, OPINIE, REKOMENDACJE

URSZULA TROCHIMOWICZ

EDWARD REDLIŃSKI *TRANSFORMEJSZEN,*
CZYLI
JAK GOLONKA Z HAMBURGEREM TAŃCOWAŁA

Jesień 1989 roku zaprowadziła istotne zmiany w życiu Polaków. Wszechmocny kapitalistyczny zachód wdziera się do kraju drzwiami i oknami, a my przecież nie chcemy być gorsi od reszty świata i pochłaniamy każdy jego element po to, aby natychmiast wcielić w swoje życie. Czy wszyscy? Oczywiście nie.

Redliński przystępnym językiem opowiada o zdumiewająco dużej części tych, co „się nie dają” – zamiast wcinać hamburgery, walczą o golonkę. Golonka, bigos i schabowy przybývają na ratunek społeczeństwu zachwyconemu nowymi możliwościami, a zapominającemu o sarmackich ideałach. Bo jakże walczyć, gdy lu-

dzie jedzą nie po to, aby się nasyć, tylko tak, żeby nie utyć? Wbrew pozorom chodzi tu nie tylko o zmianę kuchni, ale i podstawowych wartości.

Między wierszami pojawia się pytanie, jak być sobą, gdy się nie wie, w jakim się jest miejscu. Zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. W powieści obok nowoczesnego przemysłu pojawia się nędza, fortuna kołem się toczy – a ten, kto żył pewnie i dostatnio, dzisiaj nie ma nic. Wszystko dzieje się szybko i nie zauważamy, kiedy własna żona zamienia nasze życie w piekło. Bo trzeba przyznać, że wielki świat w gruncie rzeczy jest piekłem, w którym nie ma miejsca na pierwotną naiwność Indian, jak

określa Słowian autor. Gdzieś w tym wszystkim mamy okazję obserwować jak zawsze energiczną i pełną zapału polską młodzież, pragnącą nowoczesności i wolności, a jednak tak podobną do tej z poprzedniego pokolenia, nie będącą w stanie się zorientować, że do tej wolności ktoś mimo wszystko prowadzi ją na sznurku.

Warto przeczytać *Transformeszen* choćby dla paru dialogów, w

których poszczególni bohaterowie mówią o własnych sposobach na wykorzystanie otaczającej rzeczywistości. Mimo małego dynamizmu i zastąpienia wulgaryzmów eufemizmami, słowo ma moc, która skupia się w przesłaniu. Całość jest pięknie zaszyfrowana poprzez wykorzystanie pewnego interesującego motywu z psem... zawczasu...

MONIKA ELŻBIETA DANIELAK

PRZYJAZNE DUSZE

Od zawsze fascynował mnie teatr. Sztuki teatralne dają możliwość bezpośredniego kontaktu widza z aktorem. Ostatnie oglądane przeze mnie przedstawienie to *Przyjazne dusze*, którego autorem jest Pam Valentine, natomiast reżyserem Wojciech Dąbrowski. Spektakl wystawiony został przez Teatr Dramatyczny im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku.

Jest to rodzinna opowieść, utrzymana w „przyjaznym” klimacie. Porusza wiele wątków życia codziennego, mówi o wartościach, pobudza do refleksji i skłania odbiorcę do przemyśleń oraz zadumy. Autor sztuki ukazuje

piękny dom pod Londynem, w którym od niedawna mieszka młode małżeństwo: Mary i Simon. W ich role wcielili się Katarzyna Mikiewicz i Bernard Maciej Bania. Z postaci emanuje radość i optymizm. Główni bohaterowie mieszkają w stylowym domu. Simon jest początkującym pisarzem. Młodzi są w sobie zakochani. Mary i Simon nie szczędzą sobie ciepłych słów, czułych gestów, są dla siebie wsparciem. Małżeństwo oczekuje narodzin pierwszego dziecka. Wydaje się im, że dom jest tylko ich własnością i tylko oni są jego lokatorami. Natomiast przed oczami widzów roztacza się zabawna sytuacja.

Okazuje się, że dom młodych bohaterów wcześniej zamieszkiwało inne małżeństwo: Susie i Jack Cameron, których role po mistrzowsku zagrali Krzysztof Ławniczak i Magdalena Kiszko-Dojlidko. Susie i Jack zginęli w wypadku samochodowym podczas wycieczki do Włoch. Jack był zdeklarowanym ateistą, w związku z tym para nie dostała się do nieba i pozostała w swym dawnym domu w roli tytułowych „przyjaznych dusz”. Teraz nadzorują oni, w sposób widoczny jedynie dla widza, życie nowych mieszkańców. Wspólne zamieszkiwanie pod jednym dachem młodego małżeństwa i „przyjaznych dusz” ukazuje widzowi szereg zabawnych sytuacji.

Młody Simon jest wielbicielem twórczości Jacka, cenionego autora powieści kryminalnych. Mąż Mary stara się na wszelkie możliwe sposoby osiągnąć sukces zawodowy. Kiedy rodzi się nowy człowiek, pojawiają się pewne komplikacje, zagrożone staje się życie dziecka. Wtedy Jack, deklarujący swą niewiarę w Boga, wchodzi w dialog ze Stwórcą, prosząc o zdrowie dziecka.

Przedstawienie zostało opatrzone bogatą i tworzącą specyficzny klimat scenografią. Wystrój wnętrza domu nadaje mu ciepły bezpieczny charakter. Rangi przedstawieniu dodaje również gościnnie udział Emilii Krakowskiej, która wcieliła się w postać Anioła Stróża, przywołanego przez Susie.

Sztuka jest pogodną, romantyczną komedią, która w niebanalny

sposób mówi o tym, co w życiu najważniejsze. Spektakl budzi refleksje nad przemijaniem i utraczonymi przez człowieka szansami. Jednocześnie dostarcza widzowi ogromną dawkę optymizmu. Wzniesła nadzieję i wiarę w dobroć człowieka. Jej prosta fabuła powoduje, że przedstawienie staje się wspaniałą formą rozrywki dla całej rodziny. Pogoda ducha wszystkich mieszkańców domu nastraja optymistycznie, pozwala uwierzyć w ludzką dobroć. Ta ciekawa historia daje nadzieję na życie pełne radości, miłości i szczęścia.

STUDENCI PO GODZINACH

Z PASJĄ W LITERATURĘ – KOŁO NAUKOWE POLONISTÓW

Koło Naukowe Polonistów powstało w 1998 roku z inicjatywy studentów białostockiej polonistyki. Kontynuuje ono tradycję Koła założonego w 1986 roku na ówczesnej filii UW.

Na czym polega nasza działalność? Przejawia się ona przede wszystkim w regularnych spotkaniach, podczas których poddajemy nasze odkrycia badawcze życzliwej, konstruktywnej, a czasem bezlitosnej krytyce.

Koło Naukowe Polonistów tworzą ludzie z pasją. Ludzie, których do bycia członkami KNP skłoniło pragnienie rozwoju, potrzeba samorealizacji. Działaniom takim sprzyja formuła Koła, dzięki swojemu swobodnemu charakterowi pozwalająca na nieskrępowane wyrażanie własnych poglądów na tematy związane z literaturą, kulturą i nauką. Wierzymy, że każde spotkanie jest okazją do dyskusji, wymiany poglądów i informacji przydatnych w naszych codziennych poszukiwaniach.

Faktem jest, iż większość projektów, jakie przeprowadzamy wiąże się z literaturą i sztuką najnowszą. Należy do nich chociażby organizowany przez nas cykl spotkań „Wiersz wychodzi z domu”, w ramach którego przeprowadziliśmy rozmowy z najważniejszymi polskimi poetami ostat-

nich lat. Członkowie KNP to jednak nie tylko badacze nowoczesności. Po le naszych zainteresowań jest niezwykle szerokie. Zajmuje nas fantastyka i lingwistyka kognitywna. Interesują *gender* i *queer studies*. Z chęcią śledzimy nastroje dekadentkie w młodopolskiej poezji i wtykamy nos w prywatne życie Juliusza Słowackiego. Jesteśmy poetami i *niepoetami*. Czytujemy baśnie Andersena i zachwycamy się impresjonizmem w malarstwie. Pochłania nas geopoetyka, intertekstualność i komparatystyka. Nasze badawcze zainteresowania mamy szansę przedstawiać na konferencjach, choćby na zorganizowanej przez nas ostatnio sesji naukowej pod hasłem „Literatura i doświadczenie”.

Poszerzanie wiedzy i umiejętności warunkowane jest naukowym charakterem naszego Koła, nie należy jednak zapominać, iż to nie Koło tworzy ludzi, tylko ludzie tworzą Koło. Atmosfera, zainteresowania i cele, jakie sobie stawiamy, zależą od tego, co nas pasjonuje, zaciękuje i porusza.

Wszystkich, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej o naszej działalności zapraszamy na:

www.knpuwb.blogspot.com

KOŁO NAUKOWE STUDENTÓW UWb „REGIONALNI”

Nasze Koło powstało wiosną ubiegłego roku, a pomysł na nie zrodził się, jak przystało na humanistów, w bibliotece. Jeden z pierwszych członków „Regionalnych”-Paweł Rzemieniecki, wtedy jeszcze rodzynek, wpadł na pomysł, aby zacząć działać trochę pozaprogramowo, wybić się z rutyny zajęć i stworzyć coś, co pochłonie nas bez reszty. Coś, co będzie dotyczyło regionu, bo Białystok i jego okolice kochamy wszyscy. To „coś” nazywamy teraz Kołem Naukowym Studentów UwB „Regionalni”. To „coś” stało się jedną z naszych pasji.

Dlaczego tematyka regionalna? Chcieliśmy zająć się jedną dziedziną, czymś, co będzie traktowało nie o wszystkim, a o konkretach. Chcieliśmy być twórcami, pionierami, stworzyć coś oryginalnego. Region dotyczy przecież każdego z nas, wszyscy z nim obcujemy, czemu by nie rozwinąć tematyki regionalnej w Kole Naukowym?

Pod koniec kwietnia nasze Koło było już zarejestrowane i zaczęło, najpierw powoli, potem coraz szybciej i intensywniej, działać! W, zamkniętej już niestety, kawiarence „Feniks” powstawały nasze pierwsze, skonkretyzowane pomysły. Poszukiwaliśmy nowych idei, nowych poglądów, nowych członków. Było nas coraz więcej i więcej, aż z pięcioosobowej grupy staliśmy się piętnastoosobowym zespołem (i ciągle czekamy na więcej!).

Aktualnie najwięcej naszej uwagi poświęcamy „Regiodniówce”, czyli gazetce, w której piszemy o sprawach dotyczących regionu (recenzje filmów,

spektakli, książek; sprawy bieżące, kultura białostocka, muzyka i wiele innych). Na drugim piętrze Wydziału Filologicznego mamy swój „regionalny kącik”, który przyciąga wzrok przechodniów dzięki kolorowym krzeselkom i gablotce pełnej regionalnych książek. Aktywnie działamy w Internecie. Prowadzimy własny blog (www.regionalni.blogspot.com), mamy fanpage na facebooku, realizujemy projekt „Polecanka”, który cieszy się dużym zainteresowaniem.

Nie zamierzamy zaprzestać działania i wprowadzania nowych pomysłów w życie! Serdecznie zapraszamy wszystkie chętne osoby, które chciałyby aktywnie spędzić czas po zajęciach. Wszystkich zainteresowanych zapraszamy na spotkanie Koła (informacje o terminie najbliższego zebrania znajdziecie na blogu, tablicy informacyjnej Wydziału Filologicznego UwB lub u przewodniczącej – Natalii Emert).



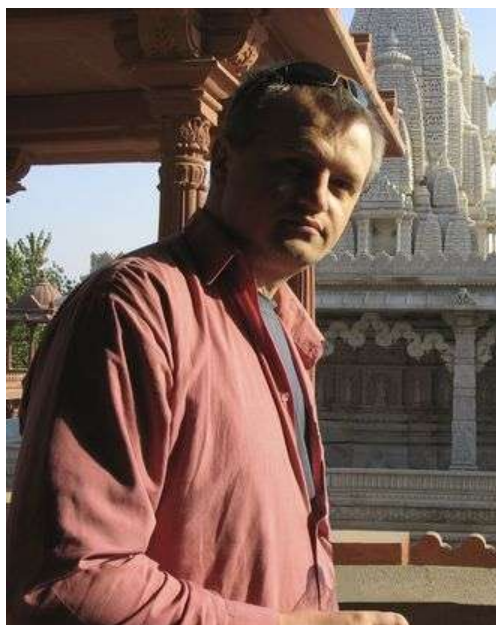
ZŁOTE USTA

ZBIGNIEW KAŻMIERCZAK

ILUZORIUM JASNOŚCI

1. Mistrzów musisz mieć. To taka twoja słabość. Ale pamiętaj, że ostatni mistrz kopnie ciebie w zadek. Tak go rozpoznasz.
2. Gdyby przestał być twoim wrogiem, miałbyś inną niedogodność, może znacznie gorszą: musiałbyś z nim obcować jak z przyjacielem. Wybór, jak to się mówi, należy do ciebie.
3. Tworzymy tak interesujące koncepcje, by polemizować z tak nudnymi ludźmi.
4. Jeżeli do cech starców należy nieprzewycięzalna koncentracja na własnym ego, to widzę wokół siebie samych tylko starców. Ten świat jest domem starców. My młodzi, nieliczni, prawie nieistniejący, poddajmy się, gdyż nie uczynimy nigdy zadość wymogom naszej troski. Nie damy rady z tak niebotycznym zadaniem opieki geriatrycznej.
5. Bądźmy razem, wilki, bądźmy razem!
6. Powiedział: „Ja, żeby się trzymać złotego środka, musiałbym po prostu trzymać swoją głowę w kiblu”.
7. Żeby uzyskać jasne słowo Boże ludzie odwołują się do świętych tekstów starożytnych, bardzo mętnych. Jaka logika się za tym kryje?
8. Umierają przeważnie w religii, agnostycyzmie albo ateizmie, w którym się urodzili i wychowali – co za lenie!
9. Ich obojętność jest taka sama, jak obojętność wszystkich ludzi na świecie – różni ich tylko to, że okleja ją etykietką „chrześcijańskie oddanie Panu”.
10. Kapłani przekazują ludziom trochę prawdy pod warunkiem, że ci są w stanie uwierzyć w ich gigantyczne kłamstwa.
11. Opowiadając swoje niemożliwe do rozwiązania paradoksy, na których rozwiązaniu tak nam bezwzględnie zależy, religia osiąga to, czego pragnie: sprawia, że mamy tego wszystkiego dość i wyrwamy się ku tamtemu światu.
12. Ludzie sądzą, że religia nadaje im wielką godność, bo podkreśla ich wartość przed Bogiem. Ale nie widzą, że przynależenie do konkretnej religii, która – ze względu na wielość religii na świecie – w dużej mierze musi być nieprawdziwa, zarazem strasznie ich ośmiesza.

13. Dlaczego wszystkie religie tworzą tak wielkie księgi, w których nikt nie może się połapać? (Zważcie: Jezus nie napisał żadnej). Powód jest jeden i ten sam: nikt, poza kapłanami, **nie ma prawa** się w nich połapać.
14. Kościół jest potrzebny – mówią ludzie Kościoła. Mają rację w tym sensie, że to, co dochodzi do nas jako tradycja Jezusa, jest niejasne i wysoce niepełne. Kościół jest potrzebny jako **iluzorium jasności**.



Zbigniew Kaźmierczak – dr hab. prof. UwB, (ur. 1965), filozof. Studiował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Znanca filozofii Nietzschego — autor wyjątkowej w literaturze przedmiotu, obszernej pracy *Friedrich Nietzsche jako odnowiciel umysłowości pierwotnej*. Publikował w „Idei”, „Zeszytach Politologicznych” oraz w piśmie „Logos i Ethos”. Autor książki *Paradoks i zbawienie. Antropologia mistyczna Mistra Eckharta i Jana od Krzyża*, Białystok 2009.

ROK JULIANA TUWIMA W BIAŁYMSTOKU

Julian Tuwim

W dniach 17-19 czerwca 2013 w Białymstoku odbywały się oficjalne obchody Roku Juliana Tuwima, cykl przedsięwzięć mających na celu uczczenie pamięci wieszca oraz przypomnienie jego niezwyklej twórczości literackiej. Na Wydziale Filologicznym Klub Humanistów zorganizował pod opieką dra Krzysztofa Korotkicha Ogólnopolską Konferencję Naukową *Julian Tuwim. Tradycja – recepcja – perspektywy badawcze*, której towarzyszyły: I Konkurs Recytatorski im. Poetów Polskich, inauguracja Galerii na Schodach – otwarcie wystawy fotografii Tomasza Modelskiego *Kwiaty Polskie*, wystawa prac plastycznych Konkursu „Kolory Tuwima” oraz spotkanie w Książnicy Podlaskiej z Panią Ewą Tuwim-Woźniak, córką Poety, która objęła honorowym patronatem białostockie obchody Jubileuszu.

Współorganizatorami konferencji odbywającej się w Instytucie Filo-





logii Polskiej byli: Fundacja im. Juliana Tuwima i Ireny Tuwim, Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku oraz Białostocki Teatr Lalek. Patronat medialny sprawowały Radio Białystok i Gazeta Wyborcza.

Udział w konferencji wzięli badacze z większości ośrodków akademickich z kraju oraz z zagranicy. Wygłoszono blisko 30 referatów, inne zostaną przysłane i opublikowane w książce, która powstanie jako zwieńczenie obchodów Roku Juliana Tuwima w Białymstoku.





Zdjęcia z obchodów Roku Juliana Tuwima (w kolejności): 1. Inauguracja Konferencji w Sali im. M. R. Mayenowej na Wydziale Filologicznym, 2. Uczestnicy obrad Konferencji Naukowej w Sali MRM, 3-4. Inauguracja Galerii na Schodach, wystawa *Kwiatów polskich* Tomasza Modelskiego, 5. Spotkanie z Panią Ewą Tuwim-Woźniak w Książnicy Podlaskiej im. Ł. Górnickiego w Białymstoku.